



PISARKA

KATARZYNA

MICHALAK

## Spis treści:

STRONA REDAKCYJNA  
Od Autorki  
ROZDZIAŁ I. EWA  
ROZDZIAŁ II. WERONIKA  
ROZDZIAŁ III. WIKTOR  
ROZDZIAŁ IV. MARZENA  
ROZDZIAŁ V. WIKTOR  
ROZDZIAŁ VI. STEFANIA  
ROZDZIAŁ VII. WERONIKA  
ROZDZIAŁ VIII. WIKTOR  
ROZDZIAŁ IX. STEFANIA  
ROZDZIAŁ X. STEFANIA  
ROZDZIAŁ XI. WIKTOR  
ROZDZIAŁ XII. STEFANIA  
ROZDZIAŁ XIII. WIKTOR  
ROZDZIAŁ XIV. STEFANIA  
ROZDZIAŁ XV. WERONIKA  
ROZDZIAŁ XVI. WIKTOR  
ROZDZIAŁ XVII. STEFANIA  
ROZDZIAŁ XVIII. EWA  
ROZDZIAŁ XIX. MARZENA  
ROZDZIAŁ XX. WERONIKA  
ROZDZIAŁ XXI. MAGDA  
ROZDZIAŁ XXII. WERONIKA  
ROZDZIAŁ XXIII. WIKTOR  
ROZDZIAŁ XXIV. WERONIKA  
ROZDZIAŁ XXV. HUBA  
ROZDZIAŁ XXVI. ZADRA  
ROZDZIAŁ XXVII. MAGDA  
ROZDZIAŁ XXVIII. DOKTOR  
ROZDZIAŁ XXIX. WIKTOR  
ROZDZIAŁ XXX. MAGDA  
ROZDZIAŁ XXXI. WIKTOR  
EPILOG

*Każdy ma swoją opowieść.  
Spraw, by Twoja była wyjątkowa.*

KATARZYNA MICHALAK

---

PISARKA



Copyright © Katarzyna Michalak, 2019

Redakcja:

Anna Nowak

Korekta:

Beata Sawicka, Robert Janicki

Projekt okładki i stron tytułowych:

Katarzyna Michalak

Opracowanie graficzne okładki:

PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

Fotografia na okładce:

Deborah Rabinowitz/Arcangel

Skład i łamanie:

Studio Graficzne DTP Piotr Kuliga

[www.kuligadtp.netgaleria.pl](http://www.kuligadtp.netgaleria.pl)

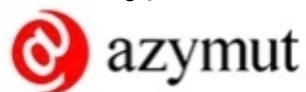
Wyłączny dystrybutor:

Platon Sp. z o.o.

ISBN 978-83-951992-0-2

Wydanie I

Publikację elektroniczną przygotował:



## **Od Autorki**

Książka, którą oddaję do Waszych rąk, nie jest autobiografią, ale... wszystkie zdarzenia w niej opisane miały miejsce naprawdę, a kanwą tej historii było życie bliskich mi osób.

Nie zgadujcie, ile Katarzyny Michalak jest w „Pisarce”, nie ma to sensu. Po prostu dajcie się porwać opowieści pełnej miłości i nienawiści, uczuć pięknych i uczuć podłych, ludzi po prostu dobrych i ludzi bezwzględnie złych. Zapadnijcie się w nią, czytając, tak jak ja się zapadłam, pisząc tę historię.

Mam nadzieję, że „Pisarka” skradnie Wasze serca. Pewien czarnooki drań również. Moje skradł...

## ROZDZIAŁ I

### EWA



Podmuch ciepłego, pachnącego solą wiatru wzburzył białe jak mgła i lekkie jak mgła firany. Wstała od pięknego, mahoniowego biurka, podeszła do ogromnego okna, wychodzącego na ocean, i zapatrzyła się na lśniący srebrem i złotem bezmiar. Morze zawsze dodawało jej sił. Fale uderzające o brzeg, bryza płacząca włosy, krople słonej wody na policzkach, wreszcie jedyny i niepowtarzalny smak i zapach morskiego powietrza — tak, to wszystko przywracało jej chęci do życia. Kiedyś.

Dzisiaj, gdy owych chęci miała aż za dużo, po prostu wychodziła na taras, opierała dłonie o balustradę i zachwycała się pięknem morskiego żywiołu, dziękując w duchu losowi, że dożyła, dotrwała. Długa droga z zakaraluszonyj nory na warszawskiej Białoleśce, poprzez wynajmowane klitki, szpitale, bagna, szczyty i depresje, doprowadziła ją w końcu do tego miejsca: domu nad oceanem.

Tropikalne lato ustąpiło wreszcie pola zimie. Temperatura spadała do rozkosznych dwudziestu sześciu stopni, deszcze ustały, słońce rozpanoszyło się na niebie, błękitnym niczym spełnione marzenie. W krystalicznie czystym powietrzu unosił się zapach plumerii, których różowo-złote gwiazdki zdobiły drzewa w ogrodzie. Uwielbiała plumerie, uwielbiała swój dom i ogród. Każdego ranka, zaraz po przebudzeniu, na bosaka, w koszuli nocnej biegła alejką do furtki, potem ścieżką przez tropikalny gąszcz, by wreszcie znaleźć się na plaży, siadała na mięciutkim, białym piasku, opierała brodę na podkulonych kolanach i... czuła. Chłoneła całą sobą piękno, ciepło i światło.

Zapłacała wysoką cenę, żeby być tu i teraz...

Dzisiaj po powrocie z plaży, zamiast przejść do jadalni na śniadanie, od razu ruszyła do pawilonu. Swojego azyłu. Małej, niedostępnej dla nikogo innego świątyni, gdzie oddawała się wymyślaniu historii i przelewaniu ich na karty powieści. Bo Ewa Kotowska była pisarką.

Nie zdążyła usiąść za biurkiem i otworzyć laptopa. Telefon rozdzwonił się jej w dłoni. Właśnie miała go wyłączyć.

Wydawca. Znowu. Nie musiała odbierać, by wiedzieć, po co dzwoni, ale miała swoje zasady: dopóki nie wyłączy telefonu, świat ma prawo się do niej dobijać. W momencie, gdy zaczyna pracę, świat musi czekać, aż ona, Ewa, do niego powróci.

— Słucham cię, Konrad — odezwała się, zanim rozmówca zdążył się przedstawić. Nie musiał, dzwonił ze swojej komórki, a Ewa nie cierpiała egzaltowanego „dzięęędobryyy”, jakim zwykle ją witał. Woląa więc zacząć rozmowę owym krótkim: „Słucham cię”.

— Ewuniu kochana, jeszcze nie przy biurku? — zaczął słodkim głosem, który miał tylko dla nielicznych wybrańców. Ewa Koti, przynosząca jego wydawnictwu gros dochodów, stanowczo do nich należała.

— Przy biurku, przy biurku, właśnie miałam wyłączyć telefon — odparła lekko zniecierpliwiona.

W duszy czuła lekkie drżenie, palce rwały się do klawiatury, a to znak, że czas siadać do pracy i pisać, pisać, pisać! — Od razu też odpowiem na twoje pytanie: nie zgadzam się.

— Ale jeszcze nie zdążyłem go zadać!

— Jestem jasnowidzem. Wiem, po co dzwonicz. W innym przypadku kontaktowałyby się ze mną twoja sekretarka.

— Ewo droga, chciałem po prostu się przywitać i pogadać po przyjacielsku. Bo jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

„Jeśli rekin może się z kimś przyjaźnić, to owszem”, pomyślała. Jedynym przyjacielem Konrada Dorady były pieniądze.

Biorąc jej milczenie za dobrą monetę, mówił dalej:

— Gdy tylko przylecisz do Polski, porywam cię na dobry obiad. Odkryłem nową restaurację na Starówce z naszym swojskim żarełkiem. Twoje ukochane pierogi podają w szesnastu smakach!

— Mnie wystarczą w dwóch: kapusta z grzybami albo z jagodami, polane śmietaną. — Aż się rozmarzyła...

— Mają! Sprawdziłem! Paluszki lizać. Jesteśmy umówieni?

— Jesteśmy — zgodziła się, bo i tak musieli się spotkać.

Co pół roku przylatywała do kraju, odwiedzić rodzinę i przyjaciół, ale również swojego wydawcę. Lubiła posłuchać ploteczek z pisarskiego grajdołka, który wykluczył Ewę dekadę temu, zaraz po jej debiucie.

— Będziemy celebrować twoje sukcesy, no nie, Ewcia? Pamiętasz, że w maju minie dziesięć lat od premiery twojej pierworodnej? Cała dekada na listach bestsellerów! Ależ miałem farta, że wyhaczyłem z rynku taki brylancik...

Rzeczywiście, to Konrad Dorada odkrył Ewę dla czytelniczego świata. To on wydał jej pierwszą powieść. Była mu do dziś za to zobowiązana, chociaż dług wdzięczności spłaciła dawno, przynosząc wydawnictwu i jego właścicielowi krociowe zyski.

— Będziemy celebrować — odezwała się miękko. Wspomnienie początków pisarskiej kariery zawsze ją wzruszało.

— Ewuś, a nie pocalebrowalibyśmy podpisania umowy na...? — zawiesił głos, wiedząc, że słowo „autobiografia” tylko ją wkurzy. — Nie musimy obwieszczać wszem i wobec, że to twoja własna historia. Możemy promować ją jako powieść opartą na faktach z twojego życia. Wiem, że jesteś skryta i nie obnosisz się publicznie ze swoją przeszłością, ale... O właśnie, przyszło mi do głowy genialne hasło promocyjne: „Ta książka nie jest autobiografią Ewy Koti, ale...”. Co ty na to, Ewuś? Czujesz to przeciągłe, wieloznaczne „aleee”? Czujesz? Zgódź się, zgódź się, zgódź się!

Zaśmiała się cicho, wyobraziwszy sobie Konrada, jak klęka przed nią, składa dłonie niczym do modlitwy i powtarza owo zaklęcie.

— Lubię twój śmiech! Dobrze wróży! — wykrzyknął z nadzieją, że Ewa zaczyna mięknać. — I chowam w zanadrzu niespodziankę, która sprawi, że od razu siądziesz za biurkiem i wyczarujesz pasjonującą historię swojego życia!

Słowo „niespodzianka” zawsze na Ewę działało, o czym ten drań dobrze wiedział. Była ciekawska z natury i uwielbiała być mile zaskakiwana. Milczała, czekając aż on nie wytrzyma i zdradzi, czym też chce Ewę przekupić.



— Gadałem z udziałowcami i są zdecydowani dać ci wszystko, czego zażadasz.

Ponownie parsknęła śmiechem.

— Wszystko?

— Wszystko, Ewuś. W granicach rozsądku. Podwoimy zaliczkę i podniesiemy wysokość tantiem! — wykrzyknął z dumą.

Gdyby Ewa umiała gwizdać, teraz zagwizdałaby ze zdziwienia. Ten centuś, skąpy jak Szkot, gotów był aż tak sypnąć groszem? Naprawdę musiało mu zależeć.

— Zarabiam wystarczająco dobrze — odparła wymijająco. — I nie chcę dzielić się z nikim moją przeszłością.

— Nie musisz! Masz bogatą wyobraźnię. Przecież to nie będzie twoja autobiografia!

Milczała nieprzekonana.

— Mam coś jeszcze, Ewa. — Wyczuł jej wahanie i postanowił zagrać *va banque*. — Dostaniesz to, o czym marzysz od... chyba od owych dziesięciu lat, gdy wydałaś pierwszą powieść: zekranizujemy twoją książkę, dowolną, tę, którą sama wybierzesz, a ty będziesz producentem. Pierwszą po Bogu. Będziesz miała wpływ na wszystko: od najmarniejszego asystenta, po obsadę i reżysera. Dostaniesz wolną rękę. I pieniądze na film. — Umilkł, czekając na jej odpowiedź, a ona... po prostu oniemiała.

Miał rację! Wiedział, drań, jak ją podejść! Film, ekranizacja książki, na co Ewa będzie miała wpływ totalny — oto marzenie jej życia. Jeśli ceną było napisanie powieści biograficznej...

— Wchodzę w to — odezwała się półgłosem, czując nagłą pustkę w sercu.

— Nie jesteś zachwycona? — raczej stwierdził, niż zapytał, odrobinę rozczarowany.

Wprawdzie zgodziła się..., czy on dobrze słyszy?! Ewa zgodziła się napisać książkę o sobie? O swoim życiu? Swojej przeszłości, której tak naprawdę nikt nie znał?!

— Mówisz serio? — musiał się upewnić.

— Tak. Wiedziałeś, jak mnie kupić i właśnie kupiłeś. Napiszę autobiografię. Przy czym będziesz promował tę książkę hasłem,

które wymyśliłeś: „Nie jest to powieść autobiograficzna, ale...”. Wieloznaczne „ale” jest bardziej chwytliwe od nudnego „Autobiografia Ewy Koti”. Podoba mi się ten pomysł.

— Bardziej podoba ci się perspektywa bycia producentką — zauważył z przekąsem. — Wiesz, ile nas ten film będzie kosztował?

— Na pewno na tym zarobisz — ucięła sucho. — W przeciwnym razie byś mi takiego układu nie proponował. Nie zdziwię się, jeśli już masz gotową umowę i na powieść, i na film.

Zachichotał.

— Podziwiam twoją domyślność.

— Znam cię, Konrad, od dziesięciu lat. Odgadywanie twoich zamiarów nie jest niczym trudnym. I motywów postępowania także nie. Dostałeś, czego chciałeś. Możemy się pożegnać?

— Zaraz, zaraz, koleżanko! Pozwól, że doprecyzujemy warunki naszego malutkiego *dealu*. Kiedy machniesz dla mnie ten klejnot w pisarskiej koronie?

— A kiedy chciałbyś ją wydać?

— Jak najszybciej! Możemy przesunąć termin majowej książki na sierpień i...

— I mam ci w trzy miesiące wyczarować powieść mojego życia? — rzuciła bez emocji.

Dziwne... właśnie spełniało się jej wielkie marzenie, a ona nie czuła nic. Może oprócz strachu, bo to marzenie może ją sporo kosztować. Powrót do przeszłości? Rozdrapywanie z trudem zagojonych ran? Wyciągnięcie blizn na światło dzienne i pokazanie ich światu?

„Będzie bolało”, przemknęło jej przez myśl.

I być może wycofałaby się z danego słowa, chociaż rzadko się jej to przytrafiało, bo co jak co, ale honor ceniła sobie wysoko, gdyby Konrad nie wyczuł jej wahania i nie zaczął:

— Ewa, nie wiemy o tobie zbyt wiele. Zawsze byłaś bardzo tajemnicza. Twoje prawdziwe imię i nazwisko również nigdy nie wypłynęło. Wiem, że masz się czego obawiać. Pamiętam nasze... początki i, jeśli ma cię to uspokoić i zachęcić do pracy, powtarzaj sobie: „To nie jest autobiografia, ale...”.

Zrozumiała, co chciał jej przekazać, i nagle poczuła, że Konrad Dorada naprawdę jest jej przyjacielem. A przynajmniej stoi po tej samej stronie barykady. Od dziesięciu lat wspierał Ewę, nie tylko jako wydawca, czego ona nie dostrzegała. I nie doceniała.

— Dziękuję, Konrad — odparła cicho, pilnując, by głos się jej nie łamał. Zbyt wylewne podziękowania skłonią tego chytrego lisa do renegotjacji warunków.

— Może zmniejszylibyśmy nieco zaliczkę i przesunęlibyśmy te parę złotych na dobry scenariusz? Co ty na to? — Nie byłby sobą, gdyby nie spróbował.

A Ewa... po raz pierwszy ustąpiła od razu.

— Jasne. Zgadzam się.

Krzyknął bezgłośnie: „Yes, yes, yes!”, zaskoczony i uradowany.

— A z procentu od sprzedaży byś zeszła? — spróbował ponownie, a nuż...

— Nie ma mowy, mój drogi — ucięła i zaśmiała się. Jak ona go zna... — Zarobisz na tym *dealu* krocie. Książka rozejdzie się jak świeże bułeczki, film kupią kina i telewizje. Przyślij draft umowy. Rzucę okiem i jeśli wszystko będzie w porządku, odeślę podpisaną.

— Uwielbiam cię, Ewo Kotowska! — wypalił z głębi serca, uradowany jak dziecko w Boże Narodzenie.

Naprawdę nie przypuszczał, że pójdzie mu tak łatwo! Stefek miał genialny pomysł z tą ekranizacją i Ewą, jako producentem. Oczywiście wszyscy w firmie wiedzieli, jak jej na tym zależy, napomykała o tym nie raz, ale żeby ot tak, po paru słowach, gotowa była podpisać umowę?! To do Ewki zupełnie niepodobne! Zwykle kazała się dłużej prosić!

Konrad nie był świadom jednego: Ewa zaczęła powieść „która nie jest autobiografią” już pisać, a dusza wyrywała się jej dzisiaj właśnie do tej historii.

## ROZDZIAŁ II

### WERONIKA



Mała dziewczynka stoi pod ścianą z wysoko uniesionymi rączkami. Chude jak skrzydełka pisklęcia, drżą z wysiłku. Oczy dziecka, wytrzeszczone ze strachu, wbite są w jakiś punkt tuż przed nim. Miałoby ładną buzię, gdyby nie wykrzywiał jej teraz grymas przerażenia. Kasztanowe włoski są mokre, oblepiają zapadnięte policzki dziecka. Kolana drżą, nogi zaczynają się pod nim uginać, usta, chciwie łapiące powietrze, bledną, ale dziecko wie, że nie może upaść ani opuścić rąk...

Nie, ta mała nie jest dzieckiem wojny, schwytanym w ulicznej łapance, z lufą esesmańskiego karabinu wbita w plecy. Na szczęście nie. Ona tylko dostała karę od rodziców. W domu, w którym dzieci się nie bije, bo hołduje się wychowaniu bez przemocy, za najmniejsze przewinienie dziecko staje pod ścianą z rękami w górze. Za większe — klęka.

Jeśli komuś się wydaje, że to kara mniej dotkliwa, niż lanie pasem, myli się.

Cierpienie rośnie z każdą minutą. Uniesione rączki zaczynają mdleć. Dziecko łyka łyzy, bojąc się głośniejsz odetchnąć. Za jego plecami rozlega się nagle dźwięk zegara. Bimba, jak gdyby nigdy nic, na kwadrans po drugiej. Mała zgina kolejny, czwarty paluszek. Nie umie jeszcze liczyć, ale wie, że gdy ugnie ostatni, najmniejszy, kara dobiegnie końca.

Do fizycznego cierpienia dołącza nieznośny ból pęcherza. Dziewczynka zaczyna coraz szybciej przestępować z nogi na nogę.

— Siusiu! — szepce. Z zaciśniętego spazmatycznie gardła wydiera się bolesny szloch.

— Przystaniesz w końcu?! — Głos ojca sprawia, że dziecko zamiera w bezruchu. I nagle czuje spływającą po nogach ciepłą strugę.

Zaczyna płakać z przerażenia i wstydu, jęcząc coraz głośniejsz:

— Mamusiu, przepraszam, ja nie chciałam, mamusiu...

Jej matka, ta, w której domu nie bije się dzieci, wkracza do

pokoju. Najpierw recytuje w kierunku męża, wpatzonego tępo w migający ekran telewizora: — Januszu, w naszym domu nie podnosi się głosu. — Potem patrzy na dziecko, a ono odwraca się do matki z wciąż uniesionymi rękami, stoi tak blade, jakby miało zaraz zemdleć, w kałuży moczu i powtarza, coraz szybciej, zachłystując się łzami:

— Przepraszam, mamusiu, przepraszam...

Brwi kobiety, tworzące nad gładkim czołem dwa idealnie wydepilowane łuki, unoszą się z niedowierzania i obrzydzenia.

— Co za wsssty — syczy cicho, nie zbliżając się do córeczki na krok. — Co za wssstrętne, passskudne dziecko. Zrobiło pod siebie, niedobre, okropne dziecko. Klękaj we własnych siuśkach. Twarzą do ściany. Z rękami w górze!

— Nie zetrzesz tego? — Jej mąż krzywi się, z trudem panując nad narastającą pasją. — Za chwilę nie da się tu wysiedzieć!

— Wera zetrze, gdy kara dobiegnie końca. Musi ponosić konsekwencje swego podłego zachowania — odpowiada zimno kobieta.

Dziewczynka, zwana przez matkę Werą, chociaż ma na imię Weronika, nie rozumie znaczenia wszystkich słów, ale rozumie ich wydźwięk. Jest złym dzieckiem, podłym i okropnym. Tata się nią brzydzi, mama niedługo przestanie kochać i odda ją gdzieś... komuś... Chude ramionka drżą i ze zmęczenia, i z rozpacz. Mocz oblepia kolana. Do poczucia strachu, że rodzice takie okropne dziecko na pewno porzucą, dochodzi palący wstyd. To nie ma końca...

*Takie jest moje pierwsze wspomnienie z dzieciństwa. To wyniosłam z rodzinnego domu. Inne dzieci mogą wspominać pierwszą lalkę czy wyprawę z tatą do lasu, ja klęczenie pod ścianą w kałuży moczu, strach i wstyd. I słowa matki, które z czasem, gdy dorastałam, a kara fizyczna zaczęła się jej wydawać niewystarczająca, raniły do głębi. Podła i niewdzięczna. Głupia i zła. Wstrętna.*

*I — dla odmiany — słowo „szczęściara”, którego znaczenie poznałam nieco później.*

*„Masz szczęście... masz ogromne szczęście, Wero, że ja i ojciec nie uznajemy kar cielesnych” — powtarzała matka, taka z*

*siebie dumna, tak dumna... — Ta hołota za ścianą, to dopiero patologia. Nic tylko krzyki, jęki i zawodzenie. Jesteś szczęściarą, dziecko, że nie bijemy ciebie, jak ten pijus spod czwórki okłada żonę i syna”.*

*Tak. Byłam szczęściarą. Odczuwałam to szczególnie wtedy, gdy zza ściany dochodziły odgłosy bicia. Krzyki kobiety, jęki dziecka, a potem cichy, pełen rozpacz i bólu szloch, tak blisko, po drugiej stronie dzielącego nas muru. Tuż przy podłodze. Czy dziecko kulilo się pod łóżkiem, żeby umknąć katu? Nie miałam pojęcia. Zdjęta ogromnym współczuciem klękałam wtedy — o ile oczywiście już nie klęczałam — przykładając dłoń do ściany i chociaż tak... chociaż dziecko nie mogło czuć się pocieszone... dawałam mu znać, że nie jest samo. Że ktoś dzieli jego ból.*

*Miałam wtedy siedem lat...*

Dziecko zza ściany okazało się chłopcem w wieku Weroniki.

Tego chłopca, chudego, drobnego okularnika, widziała już wcześniej, na podwórku. Ze swoimi rodzicami wprowadził się do kamienicy parę tygodni wcześniej.

Od czasu, gdy stara furgonetka przywiozła zniszczone meble do mieszkania obok, a z szoferki wysiadła zabiedzona kobiecina, ściskająca rączkę synka w jednej dłoni i walizę z rzeczami w drugiej, oraz jej mąż, postawny, czerwony na twarzy robotnik, Wera wielokrotnie słyszała podniesione głosy, dobiegające od sąsiadów. Jej matka, słysząc krzyki mężczyzny i jęklive zawodzenie kobiety, zaciskała usta w wąską kreskę i przyrzekała, że zrobi z tym porządek. Nie będzie mieszkała z patologia, prawda? Janusz, bierz się do roboty!

Dziewczynka, stojąc pod ścianą z rękami w górze — chociaż zdarzało się to coraz rzadziej, bo nauczyła się schodzić matce i ojcu z oczu — nasłuchiwała głosu chłopca, czasem wesołego, gdy był w domu sam z matką, czasem błagalnego, gdy zaczynały się krzyki. Kończyły się najczęściej płaczem małego sąsiada i dziewczynka bardzo mu współczuła. Tata go bił. W tamtym domu krzyczało się i podnosiło na rodzinę rękę. Zupełnie inaczej niż u Weroniki...

Gdy chłopiec bawił się pod ich domem — starą, trzypiętrową kamienicą na warszawskim Powiślu — bardzo chciała do niego

zbiec i poznać rówieśnika, ale matka rzekła: „Nie. Z hołotą zadawać się nie będziesz!”.

Dziewczynka, nie bardzo wiedząc, co znaczy słowo „hołota”, mogła jedynie wystawać w oknie, a gdy sąsiad unosił wzrok, uśmiechać się do niego nieśmiało. Odpowiadał uśmiechem, ale gdy tylko rozlegało się z okna jego mieszkania wołanie matki albo ojca, uśmiech gasł. Chłopiec pospiesznie zbierał swoje graty i znikał w drzwiach klatki schodowej. Weronika znów słuchała podniesionych głosów, jęków, błagań i uderzeń. I współczuła nieznanemu chłopcu całym, siedmioletnim sercem.

Wreszcie nadszedł dzień, na który dziewczynka czekała jak na Boże Narodzenie. Dzień, w którym pozna chłopca zza ściany i mnóstwo innych dzieci. Tyle, ile nie spotkała w całym swoim życiu, zamknięta w czterech ścianach mieszkania.

Dziś jednak zaczynała się szkoła i nawet jej matka — szanowana pani prokurator — nie mogła więzić siedmiolatki w domu, nie narażając się na poważne nieprzyjemności.

Ubrała dziewczynkę w nową, białą bluzkę, granatową spódniczkę, białe podkolanówki i czarne lakierki, przykazała jej trzymać się od hołoty z daleka. Patrząc bez uśmiechu na rozradowaną twarz córeczki, powtórzyła po raz ostatni: — Tylko nie zabrudź nowych rzeczy! — i pchnęła ją do drzwi.

Jakoś nie przyszło kobiecie do głowy, że tego pierwszego dnia, chociaż raz, mogłaby odprowadzić swoje dziecko do szkoły, tak jak to robią tysiące, miliony innych matek. Nie. Po prostu wypchnęła córeczkę za drzwi, zamknęła je na klucz i mruknęła do siebie:

— Będzie trochę spokoju w domu. A ty, Janusz, może zwłókniesz się z tego wyra i samochód umył? Po południu jedziemy do matki na wieś.

Czy Janusz zwłóknął się, czy nie, jego córeczka nie mogła tego wiedzieć, gnana jak na skrzydłach na zewnątrz, na wolność. Zbiegła po schodach i, w sekundę zapominając o nakazach i zakazach matki, wypadła na podwórze, gdzie czekał na nią sąsiad-rówieśnik.

— Jestem Weronika! A ty jak masz na imię? — wyrzuciła bez

tchu.

— Wiktor. Idziemy? — Poprawił na nosie grube okulary, zza których ledwo było widać jego ładne, czarne oczy i, oglądając się raz po raz na dziewczynkę, ruszył biegiem.

Tak zaczęła się ich przyjaźń.

Stado bezbłędnie wyczuwa najśłabszych, szybko wybiera chłopców do bicia i dziewczynki do dręczenia. Kto nadawał się lepiej na klasowe ofiary, niż najniższy w klasie, najchudszy dzieciak-okularnik i jego ruda koleżanka, która na dodatek, ale heca!, miała na nazwisko Nocyk?

— Nocnik? — powtórzył chłopiec z ostatniej ławki, który od razu został przez resztę dzieci uznany za przewodnika stada i największego rozrabiakę. — Weronka Nocnik?

Dzieci roześmiały się, jeszcze życzliwie, po prostu rozbawione, ale nazajutrz ten śmiech zacznie pobrzmiwać złośliwością, a słowo „Nocnik” przylgnie do Weroniki na dobre.

— Nie jestem nocnik — zaszeptała do Wiktora, z którym pani posadziła ją w pierwszej ławce.

Byli najmniejsi z całej klasy, on niedowidział, gdzie więc lepiej byłoby tej dwójce, niż przy biurku wychowawczynie? Weronika kiedyś pomyśli, że wszędzie indziej, tylko nie z przodu i nie przy nauczycielce, ale pierwszego dnia w szkole nie mogła tego wiedzieć.

W tej chwili miała inne zmartwienie: nazwano ją nocnikiem. W jej dużych, zielonych niczym okrych szmaragdu oczach, błysnęły łzy.

— Pewnie, że nie jesteś — odparł Wiktor i chciał dodać, że po lekcjach zmusi tamtego, by odszcekał to podłe słowo, ale pani uciszyła ich gniewnym syknięciem.

W ciszy dokończyła czytanie listy obecności, powiedziała do swej gromadki kilka ciepłych słów, przykazała, żeby nazajutrz przyszli w czystych, odprasowanych fartuszkach z białymi kołnierzykami i naszytymi tarczami szkolnymi, po czym pożegnała trzydzieścioro dzieci, odprowadzając je wzrokiem pełnym zadumy.

Co wyrosnie z tych aniołków? Jakimi okażą się uczniami? Na pewno trafi się wśród nich łobuziak — ten z ostatniej ławki,



Antek, już się na takiego zapowiadał. Pojawi się klasowa piękność, dla której chłopcy potrącą głowy i, popisując się jeden przed drugim, zaczną wyczyniać najprzeróżniejsze harce. Znajdzie się wesołek, nawet jeśli na początku będzie to najbardziej ponure dziecko w klasie. Wkrótce każde jego słowo zaczną kwitować wybuchem śmiechu, i czy biedak będzie tego chciał, czy nie, stanie się klasowym błaznem. O, panna przemądrzała też na pewno się trafi. Taka, co wie wszystko, a wszystko najlepiej, i zacznie wygłaszać te swoje mądrości, proszona albo i nie.

Oczywiście role ofiary i gapcia zostały już obsadzone. Właściwie ona sama, nieświadomie, wskazała klasie tego brzydkiego okularnika i małą, rudą dziewczynkę, Weronkę Nocnik — Nocyk!, skaranie z tymi nazwiskami! — biorąc tych dwoje pod opiekuńcze skrzydła. Pani Jadwiga Zajacówna miała dobre serce, ale na psychologii to się ona nie znała. Do nauczania trafiła z przypadku i było to jej pierwsze wychowawstwo...

Ostatnie z dzieci, łobuziak Antek, wybiegło z klasy. Nauczycielka wyszła za nimi, patrząc jak małe łebki podskakują przed nią. Jeden, pchnięty od tyłu przez Antosia, poleciał na kolana, ale zanim zdążyła podbiec, zapytać, czy nic się chłopcu nie stało, ten poderwał się na równe nogi, odwrócił i pchnął kolegę, wyższego od siebie o głowę, z całych sił. Tamten zatoczył się na dziewczynkę, biegnącą za nim. Mała krzyknęła i rozplakała się natychmiast, bo nadepnął jej na nogę.

Nauczycielka dopadła napastnika, chwyciła go za ucho i unosząc w górę, aż dzieciak pobladł z bólu, zaczęła groźnym, cichym głosem:

— O nie, nie, Wiktorze Helert. Tak zachowywać się nie wolno. Bicia w szkole nie ma i nie będzie. Wrócisz teraz ze mną do klasy i posiedzimy tam dotąd, aż zrozumiesz, jak złe było twoje zachowanie. Przeprosisz również Antka, który powędruje z nami.

Łobuziak już otwierał usta, żeby zaprotestować, ale uprzedziła go Weronika:

— Proszę pani — zaczęła drżącym głosem — Wiktor upadł na

kolanka. Ten chłopczyk go popchnął. Wiktor...

— Weronko, ty chyba chcesz dołączyć do kolegów — przerwała jej pani surowym tonem. — Proszę bardzo, cała trójka do klasy marsz!

Wskazała dziewczynce i chłopcom drzwi, z których przed chwilą wybiegli. Bez słowa zawrócili, były to bowiem czasy, gdy nauczyciel miał posłuch i szacunek. Zarówno wśród uczniów, jak i rodziców. Wtedy nie było jeszcze w zwyczaju obarczać nauczycieli winą za nieuctwo i lenistwo dzieci, za ich agresję, za chamstwo i „beztresowe wychowanie”, czy raczej brak jakiegokolwiek wychowania. „Za szkody dzieci odpowiadają rodzice” — takie hasło pobrzmiwało każdej matce i każdemu ojcu z tyłu głowy. To oni mieli się wstydzić za swoje latorośle. Nie szkoła, nie kościół i nie społeczeństwo. Rodzice.

Idący przodem, naburmuszony Antek, napotkał wściekłe spojrzenie Wiktora, który przez całe zajście nie odezwał się ani słowem.

— Co się gapisz, pinglarzu? — syknął do chłopca. — Po szkole zdejmę ci pingle i tak ci złoję skórę...

— Uważaj, żebym ja ci nie złoił — odpowiedział Wiktor tym samym tonem.

Cóż... gdy po godzinie nauczycielka pozwoliła dzieciom wracać do domów, obaj ramię w ramię, zupełnie jakby udawali się na wspólną przechadzkę, wyszli przez szkolną bramę, skręcili na zapuszczony skwer, który oglądał niejedną bijatykę, po czym — nie zważając na błagania Weroniki — rzucili się na siebie, chociaż mały, drobny Wiktor, nie miał w starciu z potężnym przeciwnikiem żadnych szans.

Już po chwili trysnęła krew z rozbitego nosa. Dziewczynka krzyknęła przeraźliwie. Antek, przestraszony, zaczął uciekać, zaś Wiktor... on podniósł się z ziemi, stanął chwiejnie na nogach i krzyknął za tamtym:

— Tchórz! Wracaj tutaj, słyszysz?!

Na jego szczęście — chociaż w przyszłości będzie go miał znacznie mniej — chłopak ani się obejrzał, pewien, że w domu oberwie mu się za brudne ubranie i krew na białej bluzce. Weronika za to stanęła przed Wiktorem i wytarła mu

chusteczką czerwone smugi z brody i policzka.

— Musisz odchylić głowę do tyłu — poradziła przestraszonym głosem. — Albo połów się na trawie.

— Dam sobie radę — odparł dzielnie, dławiąc się krwią. — Poczekam, aż przestanie lecieć, umyję twarz, bo ojciec mnie zabije i tyle. Ty wracaj do domu, bo i tobie się oberwie.

— Poczekam z tobą — rzekła cichutko, usiadła obok niego i tak sobie trwali w zgodnym milczeniu.

— Masz ubrudzony moją krwią rękaw — odezwał się, patrząc na nią zatroskany. — Mama nic ci za to nie zrobi? Dostaniesz lanie?

Pokręciła głową, ale aż słabo się jej zrobiło na myśl, co powie matka, widząc utytłaną bluzkę, o którą Weronika miała dbać.

— Moja mamusia mnie nie bije — wyszeptała łamiącym się głosem.

— Szczęściara — mruknął. — Mój ojciec bije i mnie, i mamę. Ją gorzej. — Teraz chłopcu głos się załamał, ale po chwili stwardniał: — Gdy dorosnę, odpłacę mu za wszystko. Popamięta mnie, zobaczysz! — Nienawiść powoli kiełkowała w czystym, niewinnym sercu dziecka... — Nie mów o tym nikomu — poprosił cicho, wstydzając się za swojego ojca i za matkę, bezwonną ofiarę, pewnie też. — Nie powiesz?

— Nie powiem — obiecała.

Siedzieli przez długie minuty w ciszy, połączeni podobnym cierpieniem i tajemnicą. Było ciepłe, wrześnie popołudnie.

— Nigdy nie pozwól się nikomu uderzyć — rzucił, przerywając milczenie. — Słyszysz, Weronka? — Chwyił dziewczynkę za rękę i uściśnął mocno. — Przysięknij mi, że nie pozwolisz nikomu, żeby cię bił, tak jak mój ojciec moją mamę.

— Ale... co mam zrobić, gdy ktoś będzie chciał mnie uderzyć?

— Masz zawołać mnie. Ja mu wtedy pokażę, że dziewczynki nie wolno bić. Nigdy!

— Dobrze, Wiktorku — zgodziła się potulnie.

Jej jasne oczy, zielone jak liście nad ich głowami, rozbłysły nieśmiałym uśmiechem. Oddała uścisk. A potem drugim

rękawem, do tej pory jeszcze czystym, powtórnie otarła mu krew z twarzy.

Jego za bijatykę czeka jeszcze gorsze manto, ona będzie klęczała z rękami w górze za pobrudzoną bluzkę, ale przyjaźń, jaka się w tej chwili między nimi zawiązała, przetrwa wiele. Może nawet wszystko?

### ROZDZIAŁ III

#### WIKTOR



*Wiktor Helert... Ileż razy wycierałam mu krew z rozbitego nosa, rozciętej wargi, rozbitej kamieniem głowy... Mój przyjaciel i obrońca, który nikomu nie pozwolił bezkarnie się ze mnie naśmiewać. Z siebie również nie.*

*Rzucał się na każdego, nieważne, że ów każdy był zawsze od niego większy i silniejszy, kto tylko krzywo nań spojrział. Złe, złośliwe słowo skierowane do mnie albo do Wiktora i on od razu startował z pięściami. Czy raczej piąstkami, bo ręce miał chude jak skrzydła kurczaka. Obrywał za każdym razem, ciskał go o ziemię co silniejszy przeciwnik, ale natychmiast podrywał się i z powrotem atakował. Nie poddawał się nigdy. Chyba, że tracił przytomność, ktoś z dorosłych rozdzielił walczących, albo ten, który wszedł Helertowi w drogę miał dosyć, czy bał się lania w domu za kolejne podarte, utyłane ziemią lub krwią ubranie. Wtedy Wiktor, wyglądający jak ostatnie nieszczęście, podnosił się na nogi i krzyczał za uciekającym wrogiem inwektywy albo wysmiewał go bez litości. Bo dzieciaki też nie miały litości dla Wiktora.*

*Zbierał cięgi niemal codziennie. A ja razem z nim, bo ani myślałam zostawić go samemu sobie. Mnie nie tłukli, wtedy jeszcze dziewczynek się nie biło, ale wyzwiska nieraz wyciskały mi łzy z oczu. Nazywali mnie „nocnikiem Wiktora”. Bolało. Bardzo. „Ruda wiewióra” — również. Mimo to, a może właśnie dlatego, trwałam przy jedynym przyjacielu, jakiego miałam.*

*Z miesiąca na miesiąc w Wiktora zapatrzona byłam coraz bardziej. Siedmioletniej dziewczynce, poniewieranej przez rodziców i rówieśników ktoś, kto się o nią troszczy, kto nie miał dla niej złego słowa, kto w jej obronie gotów jest walczyć z całym światem, jawił się niczym rycerz w lśniącej broni, starszy brat, obiekt bezgranicznego uwielbienia. I wdzięczności.*

*Staralam się okazywać mu to w jedyny możliwy sposób: uczyłam go matematyki, odrabiałam za niego prace domowe, czytałam na głos zadane czytanki. Wiktor był niegłupim*

*dzieckiem, dziś wiem, że przewyższał inteligencją większość kolegów z klasy, ale przez swoje zachowanie zrażał do siebie nauczycieli, a ci okazywali swoją niechęć, zaniżając oceny. Pomimo mojej pomocy chyba nigdy nie przyniósł do domu piątki, a powinien był...*

*Co do piątek... Ja z kolei byłam najlepszą uczennicą w klasie. Nie mogło być inaczej. Nie miałam wyboru. Za każdą czwórkę, choćby z plusem — klęczenie pod ścianą. O trójce nawet nie wspomnę.*

*Metody wychowawcze moich rodziców dały znakomite efekty. Przy pierwszej czwórce z dyktanda, matka z oburzeniem wykrzyczała, że stać mnie na same piątki i ona żadnych innych ocen w moim dzienniczku sobie nie życzy. Dzienniczka zniszczyć nie mogłam, niższej oceny niż piątka nie dałoby się ukryć, a klęczenie — po raz pierwszy na kaszy jaglanej — okazało się torturą, jakiej jeszcze dotąd mi nie zafundowano. Cóż... nigdy więcej oceny niższej niż 5- do domu nie przyniosłam. Przy czym słowo „nigdy” znaczy właśnie to: nigdy, więc wychowanie „bezstresowe” w wydaniu mojej matki okazało się skuteczne, nieprawdaż? Godzina klęczenia z kaszą wrzynającą się w skórę kolan... Spróbuj. Gwarantuję, że przyrzekniesz sobie to, co ja wtedy, siedmioletnia smarkula: nigdy więcej!*

— Już wolę lanie pasem — mruknął Wiktor, oglądając kolana Weroniki.

Dziś rano, gdy spotkali się jak zwykle pod kamienicą, żeby razem pobiec do szkoły, poruszała się sztywno, jak porcelanowa lalka. Każdy krok sprawiał dziewczynce ból. Przyjaciel zauważył to natychmiast, zapytał, co się stało, a ona niechętnie uniosła rąbek granatowej spódniczki, ukazując kolana nie tyle sine, co niemal czarne.

— Przewróciłaś się? — zapytał ze współczuciem.

Pokręciła głową.

— Kara. Za dyktando — rzekła krótko.

— B-bili cię po kolanach? — zająknął się chłopiec, delikatnie dotykając poczerńiałej skóry.

— Moi rodzice nie biją dzieci — odparła głosem drżącym od

niewyplakanych łez. Nie wolno jej było płakać. — Ale kara musiała być. Klęczałam na kaszy.

Stanął w pół kroku. Dziewczynka zatrzymała się także i odwróciła ku niemu. Patrzył na nią z niedowierzaniem.

— Ty nigdy nie klęczałeś na kaszy? — Domyśliła się.

Zaprzeczył.

— W ogóle nie klęczałem. Na kaszy czy bez niej. Gdy ojciec się wścieknie, łapie za pas i wali dotąd, aż się zmęczy, ale klęczeć mi nie każe.

Weronika słuchała jego słów w milczeniu. Kolana bolały tak strasznie, że chciało się jej krzyczeć, ale przecież nie mogła. Gdyby się komuś poskarżyła... mama wytłumaczyła jej dawno temu, co robią z niegrzecznymi dziećmi, które skarżą się na rodziców. Dom dziecka. Sierociniec. Tam właśnie powędruje, skoro jej we własnym domu jest źle. A w sierocińcu... Tu pani prokurator snuła przed kilkuletnią dziewczynką straszne opowieści, jak to źle traktowane są dzieci przez opiekunów i kolegów... Jak są bite i głodzone... Jak muszą spać na gołych deskach i jeść pomyje... Weronika nie wiedziała, co to są pomyje, ale za żadne skarby nie chciała się znaleźć w tym strasznym miejscu. Zrobiłaby dla mamy wszystko, byle tylko jej, Weronki, nie oddała do sierocińca.

Ruszyła przed siebie, tłumiąc jęk bólu. Wiktor zrównał się z nią i rzucił:

— Już wołałbym lanie pasem.

— Przecież to boli — zauważyła cicho.

— Boli, ale tylko chwilę. No, może dwie — zgodził się. — A ciebie? Jak długo klęczałaś na tej kaszy?

— Cztery bimbania.

Tak, jedną nieskończenie długą godzinę... Ręce, uniesione do góry, mdlały z wysiłku. Całe ciało drżało z bólu. Tortura nie miała końca. Przez cały ten czas jej rodzice gapili się tępo w telewizor, nie zwracając na dziecko uwagi. Siedzieli po przeciwnych stronach starej wersalki, byle dalej od siebie, nie odzywali się ani słowem i oglądali serial za serialem. Gdy wreszcie zegar wybił dziesiętnastą, kobieta warknęła, nie patrząc w stronę dziecka:

— Marsz do pokoju. Przepisać mi dyktando dziesięć razy. I nigdy więcej nie przynosić do domu oceny niższej, niż piątka. Zrozumiano?

— Tak, mamuniu. Przepraszam — wyjęczało dziecko, próbując podnieść się z kolan, ale nie było to łatwe.

Kasza wgryzła się w delikatne ciało. Naczynka popękały i krew wylała się pod skórę. Dziewczynka wsparła się na rękach, jeszcze osłabłych od trzymania w górze, i wreszcie wstała na uginające się nogi. Powłokła się do swojego pokoju, padła na łóżko i bez kolacji, bez kąpieli, zasnęła jak kamień, wymęczona do granic ludzkiej wytrzymałości.

W domu, w którym nie biło się dzieci, zapanowała cisza jak poprzednio. Dwa tułuby tkwiły przed telewizorem, nienawidząc siebie nawzajem i tego, co spłodziły. Ot, szara, prokuratorsko-milicyjna rzeczywistość...



## ROZDZIAŁ IV

### MARZENA



Trzydziestoletnia Marzena zaczynała właśnie prokuratorską karierę, ścigając bezwzględnie wrogów władzy ludowej i walcząc z wielkim zaangażowaniem o najwyższy wymiar kary za byle wykroczenie — najchętniej posyłałaby wszystkich tych bandytów na stryczek, ale czasy radosnego tępienia „zaplutyh karłów reakcji” niestety minęły — gdy na zebraniu kolektywu partyjnego poznała równie bezwzględnego stróża porządku, Janusza Nocyka. Był aspirującym podoficerem milicji i zrobiłby wszystko, by awansować jak najszybciej i jak najwyżej. Pani prokurator spadła mu jak z nieba.

Po zebraniu zaprosił ją do modnej knajpy, spił jak się patrzy, na rękach niemal zaniósł na trzecie piętro pobliskiego hoteliku i tam dopieścił ją tak, że trzy miesiące później byli już parą — o ślubie na razie nie było mowy.

Marzena, do tej pory zajęta karierą, nie bardzo miała czas dla mężczyzn, a gdy osiadła już na bezpiecznym, prokuratorskim stołku, patrzyła na wszystkich, jak na potencjalnych „klientów”, co pleć przeciwną dziwnie studziło w zapędach na jej cnotę. Dogodzis takiej niewystarczająco i cię do pierdła na dziesięć lat pośle... Dziękuję, nie reflektuję.

Janusz, który stał po tej samej stronie barykady co ona, nie miał podobnych uprzedzeń. Milicja i prokuratura, sędziowie i prawnicy — cała machina prawa i sprawiedliwości, przez niektórych zwana dla odmiany wymiarem bezprawia i niesprawiedliwości — byli jednakowo zainteresowani trzymaniem reszty narodu na krótkiej smyczy. Ręka myła rękę, plecy kryły plecy. Janusz dogadzał Marzenie w łóżku, ona posyłała za kraty przestępców przez niego pałowanych i obojgu taki układ pasował bardzo.

Wszystko się sypnęło, gdy Marzena wpadła. Bo to przecież była wpadka, a nie ciąża planowana, a dziecko wymarzone. Ani ona, ani on nie myśleli o zakładaniu rodziny, nie było o tym mowy!

Oni jednak swoje, a życie, garnące się na ten dziwny świat, swoje...

Z początku Marzena nie przejęła się za bardzo. Pójdzie do lekarza, wyskrobie i po kłopotcie, ale jakimś cudem dowiedziała się o wpadce jej matka i nagle wszystko się skomplikowało. Stefania, kobieta starej daty, zapowiedziała, że przeklnie córkę i zdradzi komu trzeba parę niewygodnych sekretów z młodości Marzeny, jeśli ta usunie ciążę. Ma urodzić i koniec!

Marzena więc, niechętnie bo niechętnie, ale urodziła. Wcześniej biorąc z Januszem ślub, bo skoro zmajstrował dzieciaka, to się od małżeństwa i ojcostwa teraz nie wymiga. Janusz może by i próbował, bo nagła miłość do pani prokurator przeszła mu jak ręką odjął, ale zwykły gliniarz z prokuraturą zadzierać nie powinien, bo jeszcze jego na dziesięć lat do kryminału pośle. Zawsze mogą się po jakimś czasie rozwieść, no nie?

Bez zbędnych ceregieli poszli któregoś dnia do urzędu stanu cywilnego, hajtnęli się w obecności dwojga świadków — rodziców nie zaprosili, bo po co?, jeszcze całego urwania głowy ze ślubami, weselami i tym podobnym zamieszaniem im trzeba — i tak oto zostali mężem i żoną. Od dnia ślubu nienawidząc siebie nawzajem i dziecka, które ich do tego kroku przymusiło, również.

— Podobna do ciebie — rzucił Janusz, gdy wymęczona porodem Marzena pokazała mu córeczkę.

W jego głosie nie było zachwytu, a zwykła złośliwość, bo dziecko, małe i sine od przyduszenia, było strasznie brzydkie.

— Jeśli już, to do twojej matki. Pewnie wyrośnie na taką samą rudą jędzę, jaką była tamta — odparła równie sympatycznie jego żona, oddając dziecko czym prędzej pielęgniarce.

O przytuleniu, czy karmieniu piersią, nie było mowy. Im szybciej Marzena wróci do pracy, tym lepiej, a małą Werę odda się do żłobka.

Tu spotkało ją rozczarowanie, bo dziecko, pozbawione miłości, okazało się chorowite. Zaczęły się przeziębienia, zapalenia krtani, grypy, ospy i wszystko, co maluch mógł

złapać. Marzena, zaciskając z frustracji zęby, zostawała z małą w domu, kariera prokuratorska przechodziła jej koło nosa, nienawiść do dziewczynki rosła, do męża również.

Weronikę przed chorobą sierocą uratowała matka Marzeny, ta sama, która zmusiła ją do urodzenia dziecka. Przyjechała do Warszawy, zamieszkała po sąsiedzku w małej klitce i z miłością zajęła się chorowitym maleństwem. Marzena mogła robić karierę.

I robiła, uciekając się do najpodlejszych metod. Była prokuratorem na zawołanie. Jeśli partyjny kacyk chciał kogoś udupić, wystarczał jeden telefon do Nocyków — Janusz zbierał na delikwenta haki albo podkładał mu świnie, jeśli haków nie było, resztę załatwiała Marzena. Tandem działał bezbłędnie, ale nie za darmo.

Pięć lat po ślubie było ich stać na zatrudnienie niańki do dziecka i kupno własnego mieszkania w starej kamienicy na Powiślu. Podłe to było miejsce, ale dzielnica się rozrastała, budowano nowe domy, wkrótce mieszkanie zyska na wartości, a tylko to się dla Nocyków liczyło. Forsa. I wpływy.

Babcia, która zdążyła pokochać wnusię, została odprawiona. Niańka zajmowała się małą Weroniką do czasu, gdy dziewczynka mogła pójść do przedszkola. Zbiegło się to z chwilą, gdy dla Nocyków nastały złote żniwa, bo oboje wreszcie dochrapali się wymarzonych stanowisk. Awantury o pieniądze skończyły się. Mieszkanie odnowili i umeblowali. Każde miało swój kąt — Marzena jedyną sypialnię, Janusz wnękę w salonie, a Weronika dawną służbówkę — nie wchodzili więc sobie w drogę.

Dziecko, wychowywane bezstresowo, rosło ciche i posłuszne. Bardzo posłuszne. Gdy miało siedem lat, posłano je pobliskiej szkoły. Musiało samo wstawać, myć się i ubierać. Samo robić sobie śniadanie. Samo do szkoły wychodzić, po lekcjach wędrować do świetlicy, tam odrabiać pracę domową i wracać przed zmrokiem. Uczyc się na samych piątkach. Nie przynosić uwag. Najlepiej nie istnieć.

Weronika starała się, jak mogła.

Wiktor, jej przyjaciel, walczył z całym światem za nich

dwoje.

## ROZDZIAŁ V

### WIKTOR



Przez całą pierwszą klasę szkoły podstawowej byli nierozłączni. Mieli tylko siebie, jednak po wakacjach, które oboje spędzili na koloniach — jedno w górach, drugie nad morzem — coś się zmieniło.

Weronika, po dwóch miesiącach z dala od domu i rodziców, wróciła uśmiechnięta, opalona i wyższa od Wiktora o kilka centymetrów. Natychmiast to sprawdził, gdy tylko spotkali się na podwórku. I zmarkotniał. Był teraz nie tylko najmniejszy z chłopców, ale i z całej klasy. Okulary, które połamał niechcący i miał teraz posklejane taśmą samoprzylepną, zaparowały. Zdjął je, żeby przetrzeć szkła rękawem bluzki, podniósł na przyjaciółkę wielkie, czarne oczy i oznajmił:

— Nie idę do szkoły.

— Ale... Jak to? — Aż pobladła z wrażenia.

— Nie idę. Będą mnie teraz jeszcze bardziej tłuc. Jestem zupełnym karłem. Jutro wyjdę z domu, ale pójdę do parku i posiedzę tam do wieczora. Znajdziesz mnie i wrócimy razem, dobra?

— Ale... Wiktorku...! — Dziewczynka złożyła dłonie w błagalnym geście. — Znajdzie cię milicja, odprowadzi do domu i...

— Nikt mnie nie znajdzie — wycedził chłopiec, patrząc na nią wyzywająco.

— Pani powie twoim rodzicom! I tak dostaniesz lanie!

— Wolę od ojca, zamiast od Antka.

Nie wiedziała, jak go przekonać. Szukała w umyśle słów, które skłonią chłopca do zmiany zdania. Była przerażona! Rozpacz zaczęła zalewać jej małe, ośmioletnie serce. Jeśli Wiktor rzeczywiście przestanie chodzić do szkoły, mogą go zabrać do tego okropnego miejsca, którym mama straszyła ją, Weronkę. I wtedy już nigdy, nigdy nie zobaczy przyjaciela!

— Ja się skurczę! — rzuciła wreszcie z desperacją. — Będę chodziła przygarbiona, a tobie napakujemy chusteczek do

butów. Będziesz ode mnie wyższy, obiecuję! Albo... — Coś jeszcze przyszło dziewczynce do głowy. Zaczęła szybko, żeby chłopiec jej nie przerwał: — Widziałam na koloniach taki film. Wiesz, nie wolno mi go było oglądać, bo był o biciu, ale widziałam. I tam taki mały człowiek jak ty walczył z bandziorami. I wygrał! Dużo ćwiczył, bił się i wygrał! Wiktoru, musisz zrobić to samo. Ćwiczyć się w biciu. I gdy będziesz walczył tak, jak ten mały człowiek, nikt, zupełnie nikt cię nie uderzy! Twój tata też nie, bo... — zniżyła głos do szeptu — ...nawet jemu spuścisz manto.

Wiktor słuchał dziewczynki na początku bez zainteresowania, ale gdy usłyszał słowa „tata” i „manto” oczy mu rozbłysły. Gdy wczoraj wrócił z kolonii, jego mama chodziła z ręką w gipsie i podbitym okiem. Jak bardzo chciał spuścić ojcu łomot, poczuł właśnie w tej chwili.

— Co to był za film? — rzucił od niechcienia.

— Pokażę ci! Widziałam plakat! — Weronika, ucieszona, że jej pomysł zainteresował przyjaciela, chwyciła go za rękę i pociągnęła na ulicę. Tam, całkiem niedaleko, na słupie ogłoszeniowym wisiał nieco podarty afisz z zapowiedzią „Wejścia smoka”.

Wiktor uważnie przyjrzał się Bruce’owi Lee, dotknął miejsca, gdzie tamten miał na piersi cztery krwawe pręgi i zapytał z powątpiewaniem:

— Mówisz, że wygrał?

— I to jak! Ci źli latali po całym ekranie, tak nimi rzucał!

Chłopcu rozbłysły oczy.

— Muszę obejrzeć ten film.

Doczytał, w którym kinie go grają — akurat tym, gdzie dawno temu chodził z mamą na poranki — doczytał o której godzinie.

— Pójdiesz ze mną? — spojrzał na dziewczynkę prosząco.

Film zaczynał się późno. Nie zdążą wrócić przed wieczorem. Małej zaczęła drzeć broda, ale odpowiedziała dzielnie:

— Pójdę.

I tak oto dwie godziny później Wiktor kupował bilety dla siebie i dla Weroniki. Pieniądze podkradł ze świnki-skarbonki.

Najwyżej rower, na który zbierał, kupi trochę później.

Bileter, który nie powinien wpuszczać dzieci, na pewno nie na ten film i nie o tej porze, obojętnie przedarł bilety i oto dwoje konspiratorów zasiadło w miękkich fotelach. Weronika lekko przestraszona, bo nie mogła się opędzić od myśli, jak zostanie ukarana po powrocie do domu, Wiktor podeksytowany do granic.

Od pierwszych minut filmu po prostu się w nim zatracił. Gdy seans dobiegł końca, chłopiec wyglądał, jakby miał gorączkę. Był półprzytomny z wrażenia. Zaraz po wyjściu z kina uściskał przyjaciółkę.

— To jest to! Będę ćwiczył i wszystkim spuszczę łomot! — krzyknął i roześmiał się, wyrzucając w górę zaciśnięte pięści.

Weronika, płacząc z przerażenia, pociągnęła go czym prędzej w stronę ich kamienicy, w której drzwiach... Dzieci zwolniły kroku. Wiktor poczuł, jak cała radość, którą czuł przed chwilą, ulatnia się, zmienia w zwierzęcy niemal strach. W drzwiach kamienicy stały dwie ciemne sylwetki. Twarz obu rozjaśniały nikle płomyki palonych nerwowo papierosów.

— Jesteś, ty mały bękarcie — wysyczał ojciec Wiktora, chwycił chłopca za ramię i szarpnął za sobą w mrok klatki schodowej.

Matka Weroniki patrzyła na dziecko bez słowa. Ono podeszło na uginających się ze strachu nogach.

— Przepraszam, mamuniu — szeptało przez łzy. — Bardzo cię przepraszam...

Kobieta milczała chwilę, a potem wraziła córeczce w serce podłe, okrutne słowa:

— Wolałabym, żebyś się wcale nie urodziła. Żeby cię ktoś porwał. Żebyś nie wróciła do domu nigdy więcej! Tego jeszcze brakowało, żebym wystawała po nocy na schodach z tym cuchnącym wódką, niedomytym łąchudrą, bo moja wstrętna, nieposłuszna córka, nie wie, że wraca się przed zmrokiem! Marsz na górę! Dzisiaj... dzisiaj sobie pokłęczysz. Już ja ci to obiecuję!

I nazajutrz Weronika po raz drugi w życiu poszła do szkoły z czarnymi kolankami. Wiktor pod bluzką krył sine pręgi od pasa,

ale... uśmiechał się szeroko. Miał plan. Nikt mu nie przeszkodzi w jego realizacji. Właśnie w tej chwili, gdy szedł chodnikiem z wysoko uniesioną głową, ciągnąc za sobą obolałą, markotną przyjaciółkę, kształtowały się w ośmioletnim chłopcu dwie cechy, które zachowa na resztę życia: niezłomność i szalona nieomal determinacja.

W szkole, jak to w szkole, na przerwie trochę go poszarpali, jakoś musiał znosić zwyczajne dla niego szykany, za to po południu...

— Nie idę do świetlicy — zaszeptał do Weroniki, gdy tylko rozbrzmiał ostatni dzwonek.

Dziewczynka jęknęła tylko w proteście.

— A praca domowa?

— Zrobisz ją za mnie, dobrze?

Cóż mogła odrzec... Skinęła tylko głową.

— A ty? Co będziesz robił po lekcjach?

— Ja wyruszam na poszukiwanie mistrza — odparł stanowczo chłopiec, po czym zarzucił tornister na plecy i pobiegł wraz z resztą dzieci do wyjścia.

Zanim zniknął w drzwiach, obejrzał się jeszcze. Weronika stała w tym samym miejscu, w którym ją zostawił. Zasalutował jej z łobuzerskim uśmiechem. Uniosła rękę, ale... już go nie było.

Tego dnia poczuła się samotna, jak nigdy wcześniej. Wiktor zaś odnalazł swoje miejsce na ziemi: klub taekwondo w pobliskim Domu Kultury. Może nie było to wymarzone kung-fu i chłopiec nie stał się od razu drugim Bruce'm Lee, ale już dwa miesiące później, gdy znów któryś z kolegów pchnął go na ścianę, kazał zdejmować okulary i zamierzył się na chłopca pięścią... ten wyskoczył nagle w górę i z całej siły kopnął napastnika w pierś. Potem błyskawicznie poprawił. Dzieciak runął na podłogę. Zamrugał, zaskoczony i zdezorientowany. Inni, którzy otoczyli ich kręgiem, szcując jednego na drugiego, nagle zamilkli. Ofiara po raz pierwszy odgryzła się. Skutecznie!

Nie można było na to pozwolić...

Biedny, mały Wiktor zniknął pod kłębowiskiem wściekłych rówieśników. Weronika mogła tylko wołać dorosłych na pomoc,



a później jak zwykle ocierać krew z twarzy przyjaciela, lecz... coś się jednak zmieniło. Pod koniec drugiej klasy nikt już tak chętnie chłopca nie zaczepiał, a i Weronice przestali dokuczać. Odrabiała bowiem prace domowe za połowę klasowych zabijaków, reszcie pozwałała ściągać od siebie. Była niezastąpiona!

Dzieci zaczęły się do niej garnąć, bo urocza, zawsze uśmiechnięta — o ile nie miała opuchniętych od klęczenia kolan — i, wbrew słowom własnej matki, śliczna niczym mała Ania z Zielonego Wzgórza, zawsze była skłonna do pomocy. Usłużna i miła.

Przyciągnęła w końcu uwagę klasowego prowodyra. Sam Antek Kuział się w małej Weronce zabujał! Po zakończeniu roku podszedł do dziewczynki, podarował jej lizaka w kształcie serca i zapytał, czy w trzeciej klasie będzie z nim chodziła. Ona obejrzała się, przestraszona, w poszukiwaniu Wiktora, ale przyjaciela nigdzie nie było. Co będzie, jeśli ona odpowie Antkowi „nie”, a ten zacznie ją bić? Przecież obiecała, że nikomu uderzyć się nie pozwoli!

— Dobrze — szepnęła nieśmiało.

I tak oto przed Weronką stanęła szansa dołączenia do klasowej elity. Po wakacjach miała trafić na sam szczyt hierarchii, między Antka i Krysię Szadek, przewodniczącą klasy, z którą ten pierwszy również chodził.

Co na to sama Krysią? Z lekceważeniem przyglądała się konkurentce. Ona sama była piękna, ślicznie ubrana, dobrze się uczyła i nauczyciele za nią przepadali. Nawet jeśli nie miałyby tych przymiotów, ojciec — naczelnik miejscowej Rady Narodowej — wystarczył za wszystkie. Wychudzona, ubierana w znoszone ciuszki Weronka nie miała z Krysią szans...

Żeby jednak szczeniarczy nie przyszło do głowy, że ot tak, może Krysię zdetronizować, ta zaczęła się na dziewczynkę któregoś popołudnia, wciągnęła ją do pustej szatni i...

— Czego chcesz? — wykrztusiła Weronika, pchnięta z całej siły na ścianę.

— Ja tu rządzę, rozumiesz? — odwarknęła tamta.

Dziewczynka nie zdążyła przytaknąć. Chwycona pełną

garścią za włosy aż przyklęła z bólu. Do oczu, otwartych szeroko z zaskoczenia i szoku, napłynęły łzy. Rąbnięcie potylicą w ścianę wyrwało jej z gardła krzyk, stłumiony natychmiast dłonią napastniczki.

— Zamknij się, bo cię uduszę! — usłyszała syk tuż przy uchu.

Znieruchomiała, umilkła, oddychając szybko i płytko, niczym przerażony ptak. W tym momencie napastniczka puściła Weronikę, gwałtownie poszybowała w tył i runęła na plecy. Wiktor — bo to on je odnalazł, zaniepokojony, że Weronika znikła mu bez pożegnania z oczu — pochylił się nad Krysią, wbił ją plecami w zimną posadzkę i wycedził:

— Nie będziesz biła mojej przyjaciółki. Nigdy więcej! Jasne?

— Spadaj, gnojku — rzuciła dziewczynka w odpowiedzi, próbując go odepchnąć i wstać, była przecież od niego wyższa, ale z zadziwiającą siłą, która jego trenera wcale by nie zdziwiła, z powrotem pchnął ją na ziemię.

— Masz szczęście, że dziewczyn nie tłukę — odezwał się, patrząc na Krysię z wyższością i satysfakcją — bo byś mnie popamiętała. Na razie wbij sobie do głowy, że tobie nie wolno się znęcać nad Weroniką. Zapamiętasz?

— Tak. Puść mnie! — odwarknęła. — I módl się, żeby mojego ojca w domu nie było, gdy wrócę! Bo jak zobaczy pomięty fartuch...

— To ty się módl, żeby twój ojciec nie trafił na mojego — przerwał jej Wiktor bez mrugnięcia okiem. — Mój ojciec potrafi się bić, spokojna głowa. Spuści twojemu taki łomot, jakiego nikt jeszcze mu nie spuścił.

Wprawdzie nie był pewien, czy rzeczywiście ojciec wstawiłby się za nim, ale postraszyć dziewczynę przecież mógł.

— Puszczaj, gnojku. Nie jestem skarżypyką. Do ciebie nic nie mam. Do tej... — spojrzała na skuloną pod ścianą Weronikę — ... twojej przyjaciółki też nie. Byle się trzymała od Antka z daleka.

— Od Antka? — Chłopiec uniósł w zdumieniu brwi. — Pobiłyście się o... Antka?

Tak. On nie wiedział o lizaku w kształcie serca i cichym „dobrze” Weroniki, gdy jego najgorszy wróg pytał dziewczynkę,

czy po wakacjach będzie z nim chodziła.

— Ty nic nie wiesz, głupku? — domyśliła się Krysia i zaśmiała szyderczo. — Antek z Weronką są parą! Mają ze sobą chodzić od trzeciej klasy! Niech tylko spróbuje! — Posłała dziewczynce groźne spojrzenie. Wiktor patrzył na Weronikę z niedowierzaniem i rosnącym bólem. — A ty myślałeś, że ona jest twoją narzeczoną? — Krysia zaśmiała się w głos, widząc ten ból, i śmiejąc się wyszła z szatni, zostawiając ich samych.

Chłopiec przez długą chwilę nic nie mówił. Pomógł Weronice wstać, przygładził rozczochrane ręką tamtej włosy. Ona walczyła ze łzami, żeby wreszcie powiedzieć:

— Jeśli chcesz, będę chodziła z tobą.

Wzruszył ramionami i odrzekł nonszalancko:

— Mnie tam wszystko jedno.

Ale nie było mu wszystko jedno, oj nie... Jak bardzo, poczuł, gdy Weronika, obolała i nieszczęśliwa, minęła go i wyszła z szatni.

— Poczekaj!

Dogonił ją. Chwycił za rękę. Zatrzymała się i uśmiechnęła do niego nieśmiało.

Wyszli ze szkoły jak tyle razy przedtem, ramię w ramię, najlepsi przyjaciele. Nawet bowiem, jeśli Weronika miała już grono koleżanek i kolegów, Wiktor pozostawał sam. Najbrzydszy, najmniejszy, najgłupszy z całej klasy, miał tylko ją. Tego popołudnia, ostatniego dnia szkoły, poszli do Domu Kultury, gdzie Weronika przez dobre dwie godziny przyglądała się z zachwytem treningowi. Wiktor niemal fruwał nad ziemią, wykonywał ćwiczenia z pasją i niezwykłą gracją, bo taekwondo pełne jest gracji właśnie.

Gdy przed wieczorem, nagrodzony pochwałą przez samego mistrza, dumny i szczęśliwy wracał do domu u boku dziewczynki, zdobył się na odwagę i zapytał, drżącym z przejęcia głosem:

— Może zamiast z Antkiem, mogłabyś jednak chodzić ze mną?

A ona odwróciła się ku niemu i odparła równie cicho, ale z dużo większą słodyczą, niż Antkowi parę godzin wcześniej: —

Dobrze.

Uradowany pochylił się i cmoknął swoją dziewczynę w policzek. Pisnęła, trzepnęła go w ramię i zaczęła biec alejką parku, śmiejąc się. Pognał za nią, porzucając tornister. Uciekała mu, klucząc między drzewami. Nie miała pojęcia, jak od września pogodzi swoich dwóch „narzeczonych”, ale dziś była szczęśliwa...

## ROZDZIAŁ VI

### STEFANIA



— Znów to samo! — warknęła matka Weroniki, gdy dziewczynka, zdyszana, spocona, w pobrudzonej trawą i ziemią spódniczce wpadła do domu tuż przed zmrokiem. — Ja do ciebie siły już nie mam! — Nie musiała dodawać nic więcej.

Dziewczynka, oglądając się na nią niepewnie — tylko ręce w górze czy będzie też klęczenie, nie daj Boże, na kaszy? — ruszyła do „swojego” kąta. Zwróciła się twarzą do ściany, uniosła ramiona i... uśmiechnęła się ukradkiem do siebie. Ma chłopaka! Chodzi z Wiktorem Helertem! Nawet jeśli będzie tkwiła pod ścianą godzinę czy dwie, było warto!

Minęła połowa kary, gdy ktoś zadzwonił do drzwi.

— Pewnie to twoja matka — odezwał się do żony Janusz Nocyk, podnosząc się ciężko z kanapy.

Zagrożony zwolnieniem z milicji roztył się i zaczął ostro pić. Dziś jednak był trzeźwy. Otworzył drzwi. Do środka weszła starsza, niewysoka kobieta.

Jej głos, gdy mówiła: — Dobry wieczór, kochani. Przepraszam za spóźnienie. Zasiadziałam się na mogiłkach. Grób dziadka trzeba było doprowadzić do porządku. Nic o niego nie dbasz, Marzenko. Nic a nic... — Weronika pamiętała jak przez mgłę. Obejrzała się ukradkiem na babcię, która jeszcze jej nie zauważyła, i poczuła ciepło w sercu. Niewyraźne wspomnienie było dobrym wspomnieniem.

Stefania weszła do pokoju i... stanęła na progu jak wryta. Patrzyła na ośmioletnią wnuczkę, stojącą twarzą do ściany z rękami uniesionymi nad głową, nic nie rozumiejąc.

— A tobie co się stało, drogie dziecko? — zaczęła.

— Kara — ucięła Marzena.

Stefania przeniosła spojrzenie z Weroniki na nią.

— Jak to „kara”? Ktoś kazał jej stać pod ścianą? Z rękami w górze? Powiedz, Marzenko, że to nieprawda... — głos zaczął jej się łamać.

— Nie ktoś, tylko ja - rzekła stanowczo Marzena — W moim

domu nie bije się dzieci, a kary muszą być.

— I dlatego każesz dziecku stać pod ścianą?! Jak za szwabskiej okupacji?!

— Mamie nic do tego!

— Wszystko mi do tego! Ja też stałam pod ścianą! Mierzyli do mnie z karabinu! Strzelali do mnie! I dziś... moja córka...

— Nie jestem twoją córką! — odwarknęła Marzena. — I nie histeryzuj. Nikt do Wery nie mierzy z karabinu, a lepsze jest postanie godzinkę w kącie i przemyślenie swojego postępowania, niż lanie pasem. Prawda, Wero?

Dziewczynka obejrzała się na nią, złęczniona. Nie wiedziała, czy powinna matce przytaknąć, czy też...

— Nie pozwolę na to! — Starsza kobieta dopadła jej, chwyciła za ramię i odwróciła do siebie. — Nie pozwolę na traktowanie mojej wnuczki po hitlerowski!

— Ona nie jest twoją wnuczką! — krzyknęła Marzena, doprowadzona do wściekłości, lecz nagle... Nagle strzeliła jej do głowy pewna myśl. Teraz bądź ostrożna, Marzenko, a może wszystko potoczy się po twojej myśli. — Nawet jeśli tak, jeśli jest, bo przecież wychowałam mnie i nią też się zajmowałam, to mam prawo karać własne dziecko...

— Ale nie w ten sposób!

— Jest krnąbrna i nieposłuszna. Jest nieznośna!

— To dobre dziecko! Nie wierzę, że zasługuje na takie kary!

— Spróbuj sama! Weź ją na wakacje i spróbuj wychowywać bez kar. Zobaczymy, jak szybko odwieziesz ją z powrotem!

Weronika patrzyła to na jedną, to na drugą, niczym widz na meczu tenisa. Milczała, bojąc się nawet głośniejszemu odetchnięciu, żeby maleńki płomyk nadziei, który nagle pojawił się w jej sercu, równie nagle nie zgasł.

Pamięć podsuwała jej coraz więcej wspomnień. Czułe, kochające ramiona, które tuliły małą dziewczynkę, ot tak, bez powodu. Cichy głos, śpiewający piosenki i kołysanki, gdy rodzice nie wrócili na noc. Słowa pełne miłości — „Kochanie moje, wnusiu najmilsza, skowroneczku mój maleńki” — teraz powracały dawno zapomnianym echem. Serce dziewczynki wyrywało się do jedynej istoty, która naprawdę ją kochała.

Pragnęło znów być otoczone tą miłością i tymi słowami, ale...

— Już widzę, jak oddajesz mi dziecko na dwa miesiące — prychnęła Stefania. — Ty, która pognąłaś mnie od wnuczki precz, bo ubzdurałaś sobie, że dziecko bardziej kocha mnie, niż ciebie.

Marzena nie sprostowała, że na miłości Weroniki zależało jej jak na zeszłorocznym śniegu, po prostu wolała, żeby matka znikła z ich domu i życia, dopóki nienawiść do Janusza i dziecka dało się ukryć. Teraz kuła żelazo, póki gorące.

— Powiedziałam: jeśli uważasz moje metody wychowawcze za złe, spróbuj swoich. Ciekawe, co by z Weroniki wyrosło, gdybyś to ty nadal się nią zajmowała. Druga „komuszycza”, jak z pogardą mówisz o własnej córce?

— Z bólem, nie z pogardą — odparła cicho Stefania. Tak, nie mogła się pogodzić z karierą przybranej córki. Nie po tym, co sama wycierpiała przez komunistów. — I jeśli rzeczywiście pozwolisz mi wziąć Weroniczkę do siebie, chociaż na wakacje...

— Czemu nie? — wtrącił Janusz, przysłuchujący się tej awanturze bez emocji. Miał głęboko gdzieś Werę, żonę i teściową. Byłe wreszcie skończyły drzeć mordy, a on mógł się w spokoju zapaść w kanapę. — Niech teściowa bierze dzieciaka i wychowuje po swojemu. Ale jeśli wychowa Werkę na drugą Marzenę... Pochlastać się przyjdzie.

Żona rzuciła mu wściekłe spojrzenie. Do Stefanii nagle dotarła cała smutna prawda. Udane małżeństwo córki, o czym ta zapewniała ją podczas każdej rozmowy telefonicznej, było iluzją. Oboje z Januszem za sobą nie przepadali, skoro ten czynił podobne uwagi o swojej żonie przy Stefanii i dziecku.

— Może i ty zabierzesz się z nimi? — rzuciła Marzena, patrząc na męża, jak na coś wyjątkowo parszywego. — Z radością nie oglądałabym ani ciebie, ani...

— Kiedy mogę zabrać Weronikę? — Stefania musiała natychmiast przerwać ten obłęd. Z każdym słowem tych dwojga czuła się coraz bardziej chora. Po prostu chora. To nie było zwykłe „nieprzepadanie za sobą”, a czysta nienawiść.

— Choćby zaraz — wtrącił tamten. — Marzena spakuje ją w trymiga, prawda kochanie? — Uśmiechnął się do żony z

falszywą słodyczą.

— A ty co się własnego dziecka z domu pozbywasz?! — Natychmiast naskoczyła na niego.

— Kochani, proszę was! — Stefania zamachała rękami. Weronika patrzyła na nią błagalnie. — Jeśli jest zgoda, zabiorę Nisię na wakacje. Odżyje dziecinka po całym roku w mieście. Nabierze sił i kolorów. A pod koniec sierpnia... — Zawiesiła głos i spojrzała na dziecko pytająco: — Chcesz pojechać do babci na wieś?

— Chcę! — rzuciła dziewczynka bez tchu.

Bardzo chciała. Najbardziej na świecie. Bo wakacje na wsi, u babci Steni, też sobie przypominała! Piękne, słoneczne, spokojne chwile w małym drewnianym domku... Kurki, jedzące ziarno z małej dziecięcej rączki... Przejazdźki wozem, zaprzężonym w brązowego konika... Krowy, wracające z pastwiska i smak mleka, jeszcze ciepłego, prosto od łaciatej Maliny... Tak. Ta najłagodniejsza, która pozwalała dziewczynce podejść i się pogłaskać, miała na imię Malina.

— No to załatwione — skwitował Janusz. — Ty spakuj dzieciaka, ja zrobię mamie herbatę.

— Nie trudź się, Januszkule. Poczekam tutaj, na kanapie, a gdy tylko Weroniczka będzie spakowana, pójdziemy sobie, żeby zdążyć na autobus.

Marzena już zniknęła w służbówce, gdzie stało łóżko dziewczynki, a w ogromnej, wbudowanej w ścianę szafie znajdowały się jej równo ułożone rzeczy. Weronika wiedziała, że mama nie znosi bałaganu i układała bluzeczki, spódniczki i nawet bieliznę równiutko, w kostkę, niczym żołnierz w koszarach.

Marzena szybko, żeby Stefania przypadkiem się nie rozmyśliła, spakowała parę ciuszków małej do torby podróżnej. Dorzuciła pieska-przytulankę i wracając do pokoju ostrzegła:

— Tylko nie przywoź mi jej z powrotem w środku wakacji, gdy ci się znudzi użeranie z dzieciakiem!

— Nie przywiozę. — Stefania równie szybko, żeby to Marzena nie zmieniła zdania, chwyciła w jedną rękę torbę, w drugą dłoń dziewczynki i pociągnęła ją ku wyjściu.



Gdy zamknęły się za nimi drzwi mieszkania i zostały same, we dwie, na ciemnej klatce schodowej, kobieta popatrzyła na dziewczynkę ze zdumieniem i niedowierzaniem, miała odpowiedziała podobnym spojrzeniem i nagle... uśmiechnęła się pięknie, niczym małe słońce, a korytarz pojaśniał od tego uśmiechu. Stefania przytknęła palec do ust. Zbiegły na parter szybko, cicho, niczym dwoje zbiegów i pośpiesznie ruszyły w kierunku przystanku autobusowego.

Weronika nie obejrzała się na dom rodzinny, który zniknął właśnie za jej plecami, ani razu. Na Wiktora, który wypatrzył ją w oknie, zbiegł czym prędzej na dół i pognął za nimi, też nie.

Dogonił je, gdy zbliżały się do przystanku. Pospiesznie, ale grzecznie uklonił się nieznanomej starszej pani, po czym tknięty złym przecuciem na widok torby podróźnej, wypalił:

— Weronka, idziemy jutro do świetlicy?

Zobaczył zmieszanie na twarzy dziewczynki i już wiedział, że odpowiedź będzie przecząca.

— Wyjeżdżam do Buni — odparła, uciekając wzrokiem. W tej chwili uświadomiła sobie, że tak właśnie do babci mówiła: „Bunia”, i spojrzała na kobietę, ściskającą ją za rękę, z nawrotem niedowierzania i radości. — I nigdy nie wrócę — dodała, zupełnie jakby ktoś dał jej tę pewność.

Wiktor... oniemiał na parę chwil, a potem wydusił:

— A ja?

— Jesteś przyjacielem Weroniczki? — Stenia zwróciła się do niego łagodnie.

— Jestem! I nie może mnie zostawić samego! Mam tylko ją! Proszę... bardzo proszę, niech jej pani nie zabiera... Weronika, powiedz, że chcesz ze mną zostać. Przecież... zgodziłaś się być moją dziewczyną!

W oczach błysnęły mu łzy rozpacz i zawodu. Powiedział prawdę: jeśli Weronika wyjedzie, zostanie zupełnie sam. Na treningach był lubiany, ot mały, pocieszny szkrab, który ćwiczy z takim zapamiętaniem, jakby szedł na wojnę z całym światem, ale starsi chłopcy rozchodzili się po zajęciach do swoich domów, żadnemu przez myśl nie przeszło, że Wiktor potrzebuje ich przyjaźni. Bo nie potrzebował! Miał Weronikę!

Aż do dzisiaj...

Otarł oczy gniewnym gestem. Jeśli Weronika wyjedzie... jeżeli go zostawi...

— Już nigdy mnie nie zobaczysz! — wykrzyknął, bo dziewczynka milczała, sama bliska łez.

Tak trudno było zostawiać Wiktora tutaj, na pustym przystanku w pochmurny, czerwcowy wieczór. Ale jeszcze trudniej byłoby wrócić do domu, gdzie matka natychmiast postawi ją pod ścianą, by dokończyła karę. A może nawet każe jej klęczeć? Dziewczynka już dwa razy znosiła tę torturę. Aż zimno się jej robiło na myśl, że musiałyby wycierpieć ją ponownie.

— Wikuś... — zaczęła drżącym głosem. — Ja nie mogę...

— Nigdy mnie nie zobaczysz, rozumiesz? Nigdy! — powtórzył, rojąc sobie, że jego słowa zatrzymają dziewczynkę.

Stefania pochyliła się ku niemu, odgarnęła za długie włosy z oczu chłopca i odezwała się cichym, łagodnym głosem:

— Jeśli lubisz Weronikę tak bardzo, jak mówisz, pozwól jej wyjechać.

— Boję się, Wiktorku — zaszepotała dziewczynka. — Boję się, że mamunia znów się na mnie zdenerwuje i będę musiała klęczeć na kaszy. To tak strasznie boli.

Kiwnął głową i puścił rękę dziewczynki. Odsunął na bok swój własny ból, żeby ona już więcej nie cierpiała.

— Spotkamy się jeszcze? Nie będziesz się na mnie gniewał? — Zajrzała mu w oczy błagalnie.

Przytaknął po raz drugi. Przez zaciśnięte gardło nie chciały przejść żadne słowa. Gwałtownym gestem sięgnął do kieszeni, wyciągnął pogięte zdjęcie, które kiedyś zrobił im w parku fotograf. Weronika i Wiktor stali obok siebie, on próbował wziąć ją za rękę, ona uśmiechała się do niego nieśmiało, i ten właśnie moment został uwieczniony polaroidem. Fotograf z dobrego serca podarował dzieciom fotkę, nie biorąc za nią pieniędzy, ujęty czystym, niewinnym uczuciem, którym tych dwoje się darzyło.

Teraz chłopiec przedarł zdjęcie na pół. Weronika krzyknęła w proteście, ale on podał połówkę ze swoim wizerunkiem

dziewczynce, drugą, z uśmiechającą się przyjaciółką, schował z powrotem do kieszeni.

— To na pamiątkę — szepnął, odwrócił się i uciekł.

Stefania odprowadziła malejącą sylwetkę smutnym spojrzeniem. Przeniosła wzrok na wnuczkę, ściskającą połówkę fotografii w chudej rączce.

— Na wsi jest dużo dzieci. Będziesz miała wielu przyjaciół — odezwała się.

Weronika podniosła na nią pełne łez oczy.

— Wiem, babciu. Ale Wiktor został zupełnie sam. Nikt go nie lubi. Nikt się z nim nie przyjaźni. Tylko ja.

Cóż można było na to odpowiedzieć... Na szczęście podjechał autobus. Wsiadły obie, Stefania skasowała bilety. Ruszyły.

W połowie przystanku ich spojrzenie zatrzymało się na samotnej, przygarbionej sylwetce małego chłopca. Wlókł się do domu, ocierając rękawem bluzki łzy, które płynęły spod grubych szkieł okularów. Nie podniósł wzroku, nie pożegnał przyjaciółki. Był sam.

*I tak oto zostawiłam Wiktora Helerta na pastwę losu, dzieciaków ze szkoły i jego ojca...*

*Płakałam.*

*Przez całą drogę na dworzec autobusowy płakałam, aż babcia zaczęła pytać z niepokojem, czy ma odwieźć mnie do domu. Jednak wizja powrotu do rodziców przerażała mnie tak, że starałam się powstrzymać łzy. Byłam małym, ośmioletnim dzieckiem, nie mogłam unieść odpowiedzialności za inną istotę. Babcia Stenia kojarzyła mi się ze spokojem i poczuciem bezpieczeństwa. Mieszkanie na Powiślu zaś z ciągłym strachem, bólem i poniżeniem.*

*Nawet dzisiaj, a sporo przecież wody w Wiśle upłynęło od tamtego czasu, wspomnienie wieczoru, gdy wracałam z Wiktorem z kina, wiedząc, że w domu czeka mnie straszna kara i gdy zobaczyłam w drzwiach klatki schodowej matkę, czekającą na mnie z papierosem w ustach i zmrużonymi z pasji oczami... tak, nawet dzisiaj gardło zaciska mi głupie wspomnienie strachu i czuję obezwładniający chłód, który*

*paraliżuje ruchy, odbiera oddech.*

*Strasznie się wtedy bałam. Potwornie. Nawet nie samego bólu, chociaż ból poranionych do krwi kolan również pamiętam do dzisiaj, a czekającej na mnie matki...*

*W dziecku bitym rośnie bunt i chęć walki. Dziecko stawiane pod ścianą z rękami w górze uczone jest pokory, uległości. Rośnie w poniżeniu, a poczucie własnej wartości ma bliskie zeru. Nie zdawałam sobie wtedy z tego sprawy — byłam małą dziewczynką, na miłość boską! — ale za wszelką cenę próbowałam siebie ratować przed całkowitym odarciem z ludzkiej godności.*

*Musiałam uciekać.*

*Moje małe serce wrywało się do kogoś, kto mnie kochał i kogo ja kochałam. A gdy po długiej podróży dojechałyśmy do domku Baby Jagi, jak na swoją chatkę mówiła Bunia... po prostu przepadłam.*

*Zapomniałam o Wiktorze, zapomniałam o mieszkaniu na Powiślu, matce i ojcu, zapomniałam o koleżankach i kolegach ze szkoły, cały świat za ogrodzeniem z prostych drewnianych sztachet przestał istnieć. Było tylko to miejsce, azyl, bezpieczna przystań. Chatka Baby Jagi. A w niej my dwie: ja i babcia Stefania. Zaczął się dla mnie najpiękniejszy czas.*

*W wieku ośmiu lat poznałam smak szczęśliwego, beztroskiego dzieciństwa.*

## ROZDZIAŁ VII

### WERONIKA



Z kuchni letniej — małego pomieszczenia, mieszczącego się obok obórki i chlewka — dochodziły smakowite zapachy. Któż nie lubi aromatu pieczonych ziemniaczków i mleka prosto od krowy? A woni tłuczonego ziarna? Prosiaki, dla których przygotowywany był posiłek, nie mogły się doczekać.

Małe rączki zanurzyły się po łokcie w mleczno-kartoflanej papce i zaczęły mieszać ją z ospą, czyli tłuczonym ziarnem. Weronika z przejęciem oddawała się swoim obowiązkom, do których należało karmienie świnek.

Z samego rana pobiegła do sadu, narwać pokrzyw. Tak! Pokrzyw! Miała wprawdzie na rękach grube rękawice, ale i tak zielsko okrutnie ją poparzyło. Nie zważała jednak na to. Wróciła z pełnym koszem, dźwigając go oburącz. Teraz trzeba było uruchomić siewkarnię. Wypełniła pokrzywami drewnianą rynienkę, chwyciła za rączkę ogromnego, ciężkiego koła i, czując w małym, dziecięcym sercu czystą radość, wprawiła maszynę w ruch. Noże cięły zielsko, parzące kolce wbijały się w delikatną skórę dłoni, a dziewczynka podśpiewywała „Miała baba koguta”, nie zważając na piekące bąble. Jeśli to była cena za pozostanie u babci Steni, Weronika gotowa była ciąć te pokrzywy do końca świata! Wypełniła nimi z powrotem kosz i znów, dźwigając go obiema rękami, przeniosła do kuchni letniej, gdzie babcia wyjmowała właśnie ziemniaki z parownika.

— Mam, Buniu! Witaminki dla prosiaków! — Dziewczynka postawiła przed Stefanią kosz pełen równiutko pociętych pokrzyw.

— Moja mała, kochana pomocnica... — Kobieta przytuliła dziecko serdecznie. Ucałowała kasztanowe włoski. — Pokaż łapki. Znów poparzone? A rękawiczki?

— Zrywałam w rękawiczkach, babciu, ale potem mi przeszkadzały. Ale to nie boli! — odrzekła dziewczynka na jednym oddechu. — Mogę teraz nakarmić kurki?

To był kolejny z jej obowiązków. Babcia skinęła głową, więc

dziecko nabrało pełen dzbanek ziarna z worka, który stał obok parnika, i w podskokach, cały czas podśpiewując, pobiegło do ogrodu, w którego rogu, ogrodzony siatką, stał kurnik.

Kobieta odprowadziła wnuczkę zatroskanym spojrzeniem. Kochała Weroniczkę całym sercem! Patrząc, jak mała przemienia się tu, w chatce Baby Jagi, z zastraszonego, smutnego dziecka w radosnego skowroneczka, próbowała nie myśleć, co będzie za cztery tygodnie, gdy wakacje dobiegną końca i dziewczynka będzie musiała wrócić na Powiśle, do ponurego, ciemnego mieszkania w obskurnej kamienicy. I do rodziców, z których żadne jej nie kocha.

To powiedziała Weronika babci któregoś dnia, niedługo po tym, gdy przyjechały do Orławy:

— Mamusia mnie nie kocha, tatuś też nie. — Dziecko patrzyło w dobre, błękitne oczy babci i walczyło ze łzami. — Jestem podłym, wstrętnym bękartem...

— Nisiuniu, nie mów tak! — wykrzyknęła kobieta, przytulając dziewczynkę z całych sił. Serce Stefanii krwawiło z bólu.

Nie dość, że tamci krzywdzili dziecko karami fizycznymi, to wrażli w jego duszę podłe, okrutne słowa, których nie da się zapomnieć już nigdy!

— Może mama miała zły dzień? — odpowiedziała.

Zrobiłaby wszystko, by wytłumaczyć rodziców przed Weroniką. Mniejsza z tym, że „zły dzień” jej matki był nieprawdą albo wymówką, dziewczynce potrzebne było dobre słowo nie tylko o rodzicach, ale przede wszystkim o niej samej.

— Jesteś najmilszym dzieciątkiem, jakie spotkałam w całym swoim życiu — Stefania wypowiedziała to z powagą i przekonaniem.

Weronika podniosła na nią oczy pełne łez.

— Naprawdę, Buniu?

— Słowo honoru, skowroneczku. Bardzo cię kocham, Weroniczko i cieszę się, że do mnie przyjechałaś. Spędzimy razem niezapomniane wakacje!

I takie były.

Dla dziewczynki każde zadanie, jakie stawiała przed nią

Stefania, było czystą radością. Karmienie kur, przygotowywanie tłuczonych ziemniaków z mlekiem, ospą i pokrzywami dla prosiąt, pielienie grządek w warzywniku, zbieranie owoców... Wszystkie te prace, znienawidzone przez wiejskie dzieci, wykonywała z przejęciem, radością i piosenką na ustach. Kochała wieś! I babcię!

Nie nudziła się ani przez chwilę, bo w gospodarstwie, choć niewielkim, zawsze było coś do zrobienia. Swój pokój, mieszczący się na poddaszu, musiała utrzymywać w nienagannym porządku. Pomagała babci przy gotowaniu posiłków dla nich dwóch, pomagała przy zmywaniu naczyń.

Wieczorem, zmęczona ale szczęśliwa, zasiadała z babcią na kanapie i czytała Stefanii na głos „Baśnie Andresena” albo „O krasnoludkach i sierotce Marysi” Marii Konopnickiej z przepięknymi ilustracjami Szancera.

Czytała pięknie, bo też książki już w wieku ośmiu lat były wielką miłością Weroniki. Ledwie nauczyła się składać litery w wyrazy, a wyrazy w zdania, już nie można jej było od książek odciągnąć. To w tamten świat, świat baśni, księżniczek, rycerzy, krasnoludków, zwierzaków... w świat, w którym zło w końcu przegrywa, a dobroć jest nagradzana, dziewczynka uciekała, gdy ból posiniaczonych kolan stawał się nie do zniesienia, gdy ręce omdlewały od tortury stania pod ścianą. Gdy słowa tych, którzy powinni kochać, a nie ranić, wbijały się okrutnie w serce dziecka, doprowadzając do cichych, samotnych łez.

Jeśli nie mogła czytać — bo akurat stała z rękami w górze, ukarana za jakiś drobiazg, plamkę na sukience czy oderwaną falbankę w fartuszku — zamykała oczy i sama wymyślała bajkę, w której ona była księżniczką, uwięzioną przez złą czarownicę, a Wiktor pastuszkiem albo i księciem, a co!, który wyruszał Weronice na pomoc. Łatwiej było znosić karę, gdy uciekałaś w marzenia...

Czasami opowiadała przyjacielowi te historie, a on chłonał je całym sobą, choć zapewne wolałby pograć z kolegami w piłkę, gdyby kolegów miał. Siedzieli ramię w ramię na schodkach kamienicy i dziewczynka snuła opowieści, a Wiktor, zasłuchany, strugał z kawałka kory łódkę czy robił kapsle z flagami.

Wiktor został w Warszawie, daleko stąd — Weronika bardzo za nim tęskniła — ale babcia Stefania była równie uważną i wdzięczną słuchaczką, jak on. Opowieści o księżniczkach powoli ustępowały historiom o drugiej miłości małej Weroniki: o zwierzętach. A przecież na wsi było pełno zwierząt!

— Tak pięknie opowiadasz, Nisiuniu — rzekła Stefania któregoś deszczowego wieczoru, z podziwem słuchając ośmioletniego dziecka, które ubierało w słowa to, co podpowiadała wyobraźnia. — Aż szkoda, że twoimi historiami zachwyca się tylko ja. Może spisałaś którąś? Tę o sarenkach na przykład?

Dziewczynka otworzyła szeroko oczy, zaskoczona i zmieszana.

— Ale... ja nie umiem, Buniu — wyszeptała.

Kobieta nic na to nie odrzekła, po prostu wstała z fotela, przeszła do pokoju, który służył za gabinet, bibliotekę i spokojne miejsce, gdzie udzielała okolicznym dzieciom korepetycji, po czym wróciła z cienkim kajecikiem, oprawionym w kolorowy papier. Podała go wnuczce.

— Jestem pewna, że potrafisz tak pięknie pisać, jak opowiadać.

Dziewczynka ujęła zeszyt w ręce i... po raz pierwszy poczuła TO COŚ. Ciche wołanie historii, która chce być napisana. Głos, który słyszą tylko ci, co kochają książki. Weronika do nich należała.

Od razu pobiegła do biblioteki, gdzie stało duże, stare biurko z ciemnego dębu, wgramoliła się na krzesło, babcia pod pupę podłożyła jej poduszkę, bo przecież biurko wykonano dla dorosłego człowieka, a nie ośmioletniej drobiny, ujęła długopis i... wysuwając koniuszek języka, jak zawsze, gdy była czymś przejęta... zaczęła spisywać słowa, które rwały się na papier.

Stefania długie chwile patrzyła na dziewczynkę. Z uśmiechem i tak wielką miłością, aż serce zaczęło ją kłuć w proteście, bo obok miłości pojawił się strach, co będzie, jak dziecko straci. A potem wyszła po cichu, przymykając drzwi.

Zdażyła dokończyć robótkę, a Weronika pisała. Upiekła ciasto drożdżowe na kolację, a dziecko ani razu nie oderwało



się od swojej opowieści. Stefania zaniepokojona, zajrzała do pokoju — może Weroniczka zasnęła z głową na biurku?

Nie! Dziewczynkę zastała tak, jak ją zostawiła parę godzin temu: z koniuszkiem języka, pomagającym wyobraźni wymyślać, a dłoniom pisać. Wreszcie, gdy księżyc przedarł się przez deszczowe chmury i zajrzał do środka pokoju, oświetlonego niewielką lampką, stojącą na biurku, dziewczynka poderwała głowę, rozejrzała się półprzytomna dookoła, zupełnie jakby wróciła z dalekiej podróży i krzyknęła rozradowana:

— Babciu, skończyłam!

Zeskoczyła z krzesła i pobiegła do kuchni, by dumnie wręczyć Stefanii swoje dzieło. Przez następne minuty przyglądała się babci, czytającej tę pierwszą „powieść”, z rosnącym niepokojem. Czy się spodoba? Doczyta Bunia do końca czy odłoży w połowie i rzeknie to, co kiedyś powiedziała mama, gdy Weronika przyniosła ze szkoły własnoręcznie napisany wierszyk na Dzień Matki: „Ależ to głupie i bez sensu. Masz szczęście, że to nie ja oceniam, bo dostałabyś dwóję, jak nic”. Więcej się mamie nie chwaliła. Więcej nie napisała wierszyka ani niczego innego. Może babcia też powie, że książeczka o rodzinie sarenek jest głupia i bez sensu?

Ale Stefania w skupieniu doczytała do końca, do ostatniej kropki, uniosła na wnuczkę zwilgotniałe ze wzruszenia oczy i odezwała się poważnie, biorąc twarz dziecka w ciepłe, kochające dłonie:

— Weroniko, to opowiadanie jest wspaniałe. Jestem z ciebie dumna. Musisz pisać dalej. Wszystko, co podpowie ci wyobraźnia. Pisz, dziecko. Czuję... po prostu mam tę pewność, że kiedyś wezmę do ręki twoją książkę. Prawdziwą, pięknie wydaną, którą kupię sobie w księgarni.

Niestety... myliła się.

Tej nocy Weronika długo nie mogła zasnąć. Dotąd obracała się w łóżku z boku na bok, aż wreszcie wstała, podeszła na palcach do drzwi, żeby zapalić światło, wyjęła z szuflady biurka zeszyt ze swoją opowieścią, otworzyła na pierwszej stronie i przez parę uderzeń serca wpatrywała się w nią, marszcząc

brwi. Czegoś tej historii brakowało...

Wreszcie domyśliła się! Raz jeszcze chwyciła za długopis i na samej górze napisała ładnym, równym, choć dziecięcym charakterem: „Sarenkowo”. Teraz powieść była kompletna. Miała tytuł, treść i zakończenie. Dziewczynka westchnęła z głębi ducha, bardzo szczęśliwa, zgasiła światło i ledwo przyłożyła głowę do poduszki, już spała snem sprawiedliwego.

Od tego dnia dziewczynka pisała co wieczór. Babcia zasiadała w starym, wysłużonym, ale bardzo wygodnym fotelu z robótką w rękach, natomiast Weronika zajmowała miejsce przy dębowym biurku i, z wysuniętym koniuszkiem języka, spisywała swoje przygody na wsi.

A nie nudziła się, o nie!

Nauczyła się doić krowę, tę najłagodniejszą, Malinę. I chociaż mleko tryskało czasem poza trzymane między kolanami wiadro, i tak Weronika zbierała od babci zasłużone pochwały, a uśmiech nie znikał z twarzy dziecka. Była szczęśliwa, była dumna, nikt nie stawiał jej pod ścianą z rękami w górze i nie kazał klęczeć całymi godzinami na kaszy! Przeciwnie, Bunia nie szczędziła wnuczce czułości. Starła się dać Weronice tę miłość, której dziecku do tej pory skąpiono, a ono obdarzyło miłością cały świat.

— Babciu, babuniu, wróbelek! Pisklątko wypadnięte z gniazda!

Dziewczynka przybiegała niemal codziennie ze stworzeniem, które potrzebowało pomocy. A to pisklę wróbla, które trzeba było wyekspediować z powrotem do gniazda, a to kot — przybłąda, kulejący na łapę... Zwierzak nakarmiony, opatrzony, machnął swoim dobrodziejkom na pożegnanie ogonem i tyle go widziały. Malina otarła szyję do krwi — Weronka codziennie biegła do obory, by posmarować ranę gojącą maścią. Znalezione pod płotem jeź, chociaż na pierwszy rzut oka nic mu nie dolegało, też na jeden dzień stał się pacjentem przyszłej pani weterynarz. Dziewczynka przeniosła go do sieni ostrożnie, bo igły miał ostre, w ogrodzie nakopała mu, tak jak poradziła babcia, dżdżownic, a potem usiadła cicho w kącie z buzią opartą na splecionych rękach i... patrzyła zachwycona, jak

kolczasta kulka zmienia się w urocze, ciekawskie zwierzątko, drepczące po sieni na krótkich nóżkach, z ruchliwym ryjkiem i oczami jak czarne paciorki.

— Weroniczko, języka trzeba wypuścić. Zwrócić mu wolność — mówiła babcia poważnym tonem, a dziewczynka bez słowa sprzeciwu niosła pocieszne zwierzątko tam, gdzie je znalazła.

Wieczorem, przytulona do Buni w starym fotelu, najpierw wysłuchiwała opowieści o jeżu, potem napisała własną, która Stefanię jak zwykle zachwyciła. Zwykle spotkanie z leśnym stworzeniem dziewczynka zmieniała w piękną baśń...

— To dziecko ma talent — szeptała do siebie Stefania. — Co zrobić, żeby Marzena z Januszem tego talentu nie zmarnowali?

Wakacje dobiegały końca.

Kobieta coraz częściej czuła, jak serce zaciska się jej ze strachu i żalu. Pragnęła zatrzymać Weronikę na dłużej, ale...

— Musimy wracać do Warszawy — odezwała się któregoś sierpniowego wieczoru, gdy razem z Weroniką siedziały na ganku i łuskały groszek na jutrzejszą zupę.

Dziewczynka poderwała głowę. Oczy zognomniały jej z przerażenia.

— Ale ja nie chcę — wyszeptała błagalnie. — Chcę zostać tutaj, z tobą, babciu.

Stefania przygarnęła ją do siebie, ucałowała kasztanowe kędziorki i odpowiedziała równie cicho, walcząc ze łzami:

— Ja też chcę, żebyś została, perełeczko, ale może mama i tatuś stęsknili się za tobą? Może pragną, żebyś wróciła do domu?

Łgała dziewczynce prosto w oczy, bo ani jedno, ani drugie przez całe dwa miesiące nie przyjechało do dziecka w odwiedziny, nawet nie zadzwoniło, a przecież telefon u Stefanii już był. To ona dzwoniła do Marzeny, nakłaniając córkę, by porozmawiała z Weroniką. Rozmowy te były krótkie i chłodne. Marzena nie chciała słuchać pełnych entuzjazmu opowieści o zwierzętach ani zachwytyłów życiem na wsi, w chatce Baby Jagi.

Temat powrotu Weronki do domu nie został do tej pory poruszony. Stefania bała się, że Marzena nakaże jej przywieźć dziecko natychmiast, ze zwykłej złośliwości, wiedząc, jak jej

matka kocha wnuczkę. Ale zbliżał się pierwszy dzień września. Nie można było dłużej odwlekać tego, co nieuniknione.

— Poczekał tu na mnie — rzekła Stefania stanowczo do dziewczynki, wrzuciła garść groszku do miski, wstała i poszła do kuchni, gdzie na okiennym parapecie stał telefon.

Wykręciła drżącą ręką numer do Marzeny i przez parę chwil czekała na połączenie, zbierając myśli. Gdy córka rzuciła swoim zwykłym, prokuratorskim tonem: „Halo?“, Stefania zaczęła:

— To ja, mama, co tam u was słyhać, moje dziecko?

— Dzwonisz nie w porę — ucięła Marzena.

Jeszcze wczoraj starsza kobieta przeprosiłaby i pożegnała się czym prędzej, zapewniając że zadzwoni kiedy indziej, lecz dziś musiała, po prostu musiała, zawalczyć o Weronikę!

— Przykro mi, że przeszkadzam — odrzekła, bynajmniej nie czując się winna — ale na tę rozmowę czas musisz znaleźć. Za trzy dni zaczyna się rok szkolny...

— Już? Za trzy dni? — wykrzyknęła Marzena, zupełnie jakby nie patrzyła właśnie na kalendarz, wiszący w przedpokoju. — Kiedy przywozisz dziecko? — rzuciła chłodno.

— Otóż to, Marzenko, nie przywozę Weroniki. Chcę, żeby została u mnie na dłużej.

— Nie ma mowy! Dziecko ma wrócić najpóźniej w środę!

— Marzenko... Weroniczka dobrze się tu czuje, jest szczęśliwa, kocha życie na wsi i wierz mi, dobrze jej ta wieś służy. Urosła, jest opalona niczym świeża bułeczka...

— Przestań wciskać mi brednie o wsi i bułeczkach! Masz przywieźć dziecko... A ty się zamknij!

Stefania spojrzała na słuchawkę z niedowierzaniem. Marzena nigdy się do niej w taki sposób nie zwracała. Była opryskliwa, owszem, ale przy matce resztki kultury starała się zachować.

— To nie było do ciebie — warknęła w następnej chwili, a Stefania odetchnęła z ulgą. Musiałaby zakończyć tę dyskusję i jechać jutro z Weroniką do Warszawy, lecz dopóki rozmawiają, jest nadzieja... — Janusz próbuje się tutaj wtrącać ze swoimi złotymi myślami — ciągnęła Marzena złośliwym tonem. — Że niby dzieci na wsi zdrowiej się chowają.

— Bo tak jest! — wtrąciła pospiesznie Stefania, w duchu dziękując zięciowi za nieoczekiwane wsparcie.

Nie łudziła się, że on wtrąca się dla dobra dziecka, była pewna, że wygodniej obojgu żyło się bez Weroniki, mimo wszystko nadzieja wraz z pojawieniem się Janusza z jego „złotymi myślami”, wróciła.

— Weroniczka ani razu nie chorowała, a pamiętasz, co było w Warszawie? A to zapalenie oskrzeli, a to grypsko...

Tak, Marzena nieraz się skarżyła, że zamiast iść do ukochanej pracy, gdzie może zamykać „wrogów ludu” na długie lata do więzienia, musi zostać w domu z chorym dzieckiem. Trzeba kuć żelazo, póki gorące!

— A pamiętasz, córeńko, jak Weronka zatrzymała się czymś? Mówiłaś, że wymiotowała całą noc. Zniszczyła ci kołdrę i poduszkę. — Taaak... Stefania do dziś miała w pamięci pełne odrazy słowa córki, gdy opowiadała o tym koszmarze, w ogóle nie wspominając, jak czuje się chore dziecko.

— To był koszmar! — odezwała się Marzena tym samym tonem, co wtedy.

— Prawda? A przecież może w każdej chwili się powtórzyć! W mieście jest tyle zarazy...

— Mówisz, że Wera ani razu u ciebie nie chorowała?

— Ani razu. Zdrowe powietrze, zdrowe jedzenie...

— Zostaw dziecko u matki — usłyszała głos Janusza. — Po co ci ono? Żebyś miała kogo pod ścianą stawiać?

— Zamknij się! — syknęła Marzena, zakrywając słuchawkę dłonią. — Ty stary durniu po prostu się zamknij! Tego brakowało, żeby matka w to uwierzyła i zaczęła ploty po wsi roznosić. Wychowuję dziecko bez przemocy. Bez bicia. Jeszcze mało?

Odpowiedział jej szyderczy śmiech. I słowa:

— Twoja matka miała rację. Stosujesz metody hitlerowskie. Dzieciak godzinami tkwi...

Trzask!

Stefania, która słyszała każde słowo, aż podskoczyła. W następnej chwili dobiegł ją wściekły wrzask Janusza:

— Ty wiedźmo, ty mendo niemyta! Rozciąłaś mi wargę,

suko!

— Dobrze ci tak, bydlaku — odpowiedział mu zimny głos Marzeny. — Nie będziesz mnie obrażał, sukinsynu. Hitlerowskie metody? Ja ci pokażę hitlerowskie metody...

Wrzask rozległ się powtórnie. Potem łomot. Stefania z coraz większym przerażeniem słuchała narastającej awantury. Z krzykiem, przekleństwami i odgłosem uderzeń. I tam, do tego piekła, ma wieźć Weronikę?!

Rozłączyła się. Jej zachmurzone oczy napotkały pełne strachu, błagalne spojrzenie dziewczynki.

— Jutro pojedziemy do Warszawy... — odezwała się cichym, miękkim głosem, ale zanim dziecko zdążyło się przerazić jeszcze bardziej, dokończyła: — ...i wrócimy tutaj. Do domu. Przyrzekam, serduszko, że cię tam nie zostawię.

## ROZDZIAŁ VIII

WIKTOR



Samotny, mały chłopiec, zbyt niski jak na swój wiek i za chudy, tkwił w kącie podwórka, grając sam ze sobą w kapsle. A miał najpiękniejsze na świecie! Wygładzone do połysku, ze szkiełkami w środku, pod którymi pieczołowicie umieścił flagi wszystkich państw świata. Co z tego, skoro nie mógł przechwalać się swoim skarbem przed rówieśnikami? Nadal nikt nie chciał się kolegować z okularnikiem, ale przynajmniej nie znęcali się nad nim tak często, jak kiedyś. Wiktor Helert potrafił się bowiem odgryźć prześladowcom niczym wściekłe wilcze szczenię... O, właśnie wczoraj tak się odgryzał, że wrócił do domu ze stłuczonym policzkiem, a ojciec dodatkowo wlał mu pasem za wdawanie się w bójkę. Dziś więc obolały i markotny przesuwał kapsle po wyrysowanej na asfalcie trasie, ale nie sprawiało mu to frajdy.

I wtedy, gdy wstał z kolan, by powlec się do domu:

— Wikuś! Wikuś! — krzyk dobiegający spod bramy sprawił, że chłopiec zamarł, patrząc z niedowierzaniem, jak przez podwórko biegnie co sił w nogach jego jedyna przyjaciółka.

Zatrzymała się przed nim, nagle zawstydzona.

— Wikuś... — powtórzyła z nieśmiałym uśmiechem.

— Wróciłaś? — odezwał się, wbijając pięści w kieszenie wyświechtanych spodni. Czuł jak do oczu napływają mu łzy ulgi, zamrugał szybko, żeby dziewczynka ich nie zobaczyła.

— Tylko na chwilę. Bunia porozmawia z moją mamą, zabierze cieplejsze rzeczy na zimę i jedziemy z powrotem na wieś. Wiktorku, jak tam jest pięknie! Tyle zwierzaków mamy! Karmię codziennie prosiaczki, wiesz? Sama rwę dla nich pokrzywy, potem tnę zielsko na sieczkarni, niosę do kuchni letniej, a tam już czeka wiadro z mlekiem. Dosypuję ospy... wiesz, co to jest ospa? To takie zmielone ziarno. Dodajemy z Bunią parzonych ziemniaczków, ale one pachną!, ja to wszystko mięszam i mięszam, a potem niosę prosiakom. Wiesz, jak pałaszują?! Uwielbiają takie jedzenie! A jak rosną! I umiem doić

krowę, Malinę, wiesz? Ona jest łagodna. Kiedyś przyjedziesz i wszystko ci pokażę! — Dziewczynka aż podskakiwała z podekscytowania i radości, że widzi przyjaciela i może mu wszystko opowiedzieć.

Nie zważała na coraz bardziej chmurną minę chłopca. Na zaciśnięte zęby i wzrok błędzący po szarych, obskurnych ścianach kamienicy.

— Znalazłam jeża, wiesz? Poczęstowałam go dżdżownicami, ale nie chciał jeść, chciał wrócić na wolność. Odniosłam go więc pod płot. To dobry uczynek, prawda?

Wzruszył ramionami. Weronika wreszcie umilkła.

— Nie cieszysz się, że wróciłam? — zapytała żalosnym tonem, biorąc przyjaciela za rękę.

Wyszarpnął ją.

— Przecież nie wróciłaś na stałe. Przyjechałaś po resztę rzeczy — odwarknął, czując jak żal zmienia się we wściekłość. Na Weronkę, na tę jej Bunię i na resztę świata też.

— Tam jest mi dobrze — wyszeptała dziewczynka. — Babcia nigdy mnie nie karze. Nawet nie musi krzyżeć. Lubię jej pomagać. Lubię mieszkać z nią w chatce Baby Jagi. Może... może odwiedzisz nas któregoś dnia? Przyjedziesz ze swoją mamą? Może nawet... zostaniesz na trochę dłużej? Wikuś, musisz przyjechać na dłużej! Bunia na pewno się ucieszy! Pokażę ci Malinę i prosiaki! Może znajdziemy jeża?

— Nigdzie się nie wybieram — uciał. — Zostaję tutaj.

Nie chciał mówić przyjaciółce, której pewnie już to nie obchodziło, że jego mama wcale się swoim synkiem nie zajmuje. Byle obiad dla niego i dla ojca upichcić... Na wieś, do chatki Baby Jagi, na pewno więc go nie zawiezie. Zaś ojciec... Szkoda gadać. Znów poczuł pod powiekami piekące łzy. On zostanie tutaj, gdzie nie ma żadnych przyjaciół, Weronka wyjedzie na wieś, gdzie ma swoją Bunię, krowę Malinę, prosiaki, jeża i nigdy się nie nudzi.

Poczuł dotknięcie dłoni na policzku. Tym stłuczonym pięścią Antka. Zamrugął.

— Nadal cię biją? — usłyszał jej współczujący szept i... odtrącił dziewczynkę.



— Nie. Teraz to ja ich biję — odparł z satysfakcją. — A że czasem oberwę... — Wzruszył ramionami. — Żebyś widziała, jak po wczorajszym Antek wygląda. Matka dopiero mu da za potarganą kurtkę! Wyrastam na łobuza, wiesz? Tak mi wykrzyczała, gdy zabierała Antka do domu, całego pokrwawionego, bo mu w nos przywaliłem. Na wstrętnego łobuza!

Weronika spojrzała na niego z niedowierzaniem i przestraczem. Łobuz to nie było nic dobrego. Bała się łobuzów. Babcia na pewno nie będzie zadowolona, gdy ktoś taki przyjedzie w odwiedziny.

— Wiktoru... — odezwała się błagalnym tonem. — Nie chcę, żebyś złobuział. Nie chcę, żebyś stał się złym człowiekiem. — Teraz jej do oczu napłynęły łzy. Pogładziła prosząco chłopca po ramieniu.

— Taki właśnie będę. Zły. — Zaśmiał się, ale widząc dwie wielkie krople, spływające po policzkach dziewczynki, nagle ucichł. — Nie bój się. Tobie nigdy krzywdy nie zrobię. Jesteśmy przyjaciółmi, prawda? No nie płacz, Weronka... — Przytulił ją niezdarnie, sam rzadko przytulany.

— Obiecuj, że nie złobuziejesz. Nie pozwolą mi się przyjaźnić z kimś złym. A ja chcę być twoją przyjaciółką. Na zawsze.

Patrzyła mu w oczy z taką powagą i błaganiem, że mógł jedynie kiwnąć głową i przyrzec wszystko, czego ona chce, nawet jeśli później o tych obietnicach miały zapomnieć.

W tym momencie drzwi klatki schodowej uchyliły się i wyszła z nich Stefania.

Błada, roztrzęsiona, ale z torbą podróżną pełną rzeczy Weroniki. Wiktor na widok tej torby znów poczuł wściekłość i żal. Więc jednak. Weronka wyjeżdża na tę swoją wieś, a on znów zostanie sam! Odepchnął dziewczynkę tak, że wpadła na babcie, odwrócił się na pięcie i po chwili zniknął za domem, mamrocząc pod nosem brzydkie wyrazy.

Weronika chciała pobiec za nim, ale babcia chwyciła ją za rękę.

— Musimy iść, skowroneczku. Twoi rodzice mogą się rozmyślić. Musimy szybko zniknąć im z oczu. Rozumiesz to,

prawda? Ten chłopiec... Nieładnie, że tak ciebie popchnął. — Pociągnęła Weronikę za sobą.

— On tutaj zostanie! Sam! Już na zawsze!

— Och, na pewno znajdzie sobie innych przyjaciół...

— Nikt nie chce się z nim bawić. Zupełnie nikt!

— Nic dziwnego, skoro w taki sposób traktuje swoją jedyną przyjaciółkę. Nie wolno popychać dziewczynek. Taki duży chłopak powinien to wiedzieć.

Szły szybko chodnikiem. Przystanek, z którego dostaną się na dworzec PKS, był już niedaleko. Weronika powinna biec tam jak na skrzydłach, jednak smutek sprawiał, że zaczęła zwalniać kroku.

Wciąż miała w pamięci widok Wiktora, który samotnie bawi się w kącie podwórza, przesuwając swoje kapsle. Kiedyś grali razem. On czasem pozwalał jej wygrać. Dziś Wiktor nie ma nikogo, z kim mógłby się bawić. Może się tylko bić. Z Antkiem czy innymi chłopcami ze szkoły. Grać w kapsle nie ma z kim...

Rozpląkała się. Cicho. Żałośnie.

Stefania uklękła przed dziewczynką, przytuliła ją z całych sił i wyszeptała:

— Wiem, że ci ciężko, skowroneczku. Że będziesz tęsknić za swoim przyjacielem. Ale tak trzeba.

Dobrze, że dziewczynka została na podwórku. Że nie widziała i nie słyszała swoich rodziców, którzy zasypują Stefanię wyrzutami, że ta im dziecko, jedyne dziecko!, odbiera.

Wyrzuty przeradzają się w krzyki i wzajemne oskarżenia, Stefania zostawia tych dwoje, szczerze nienawidzących siebie ludzi, w dużym pokoju, a sama przemyka do sypialni Weroniki. Zgarnia ciuszki dziewczynki jak leci, co wpadnie kobiecie w ręce, byle zniknąć z tego domu jak najszybciej.

Wymyka się właśnie tak: jak złodziej. Po cichu, by dwie furie — jej córka i zięć — nie zwróciły się przeciw niej. Nie wyrwały torby z rąk, nie zbiegły po czekającą na podwórku Weronikę, nie zaciągnęły jej na górę, zatrzasnąwszy Stefani drzwi przed nosem.

Uciekała z tego straszego miejsca jak zbieg z więzienia. Wolność była tuż tuż. Za bramą ponurego podwórza.

Autobus właśnie podjeżdżał...

— Choć, dziecko, wracamy do domu — odezwała się do dziewczynki ciepło, z miłością.

Weronika otarła dzielnie łzy i chwyciła dłoń babci. Usiadła przy oknie, babcia poszła skasować bilet. Autobus ruszył. I wtedy...

— Babciu! Wiktor biegnie! — Dziewczynka przypadła do szyby. Uderzyła w nią obiema dłońmi, jakby to miało sprawić, że szkło, oddzielające ją od przyjaciela zniknie. — Wikuś, biegnij, biegnij!!!

Chłopiec gnał za przyspieszającym autobusem co sił w nogach. Bez słowa. Z jakąś dziką, przerażającą u dziecka determinacją. Jednak zaczął zostawać w tyle. Nie mógł się przecież ścigać z autobusem.

— Biegnij, Wiktorku, biegnij... — krzyk zmienił się w szept. Szept w szloch.

Chłopiec stał pośrodku chodnika, trzymając coś w zaciśniętej dłoni. Drugą podniósł... czy w geście protestu, czy pożegnania, tego miały się nie dowiedzieć.

Autobus skręcił. Malejąca samotna sylwetka zniknęła im z oczu.

*Do dziś pamiętam tamten ból. On zapewne też. Później zdarzyło mi się parę razy kończyć związki, odchodzić, uciekać czy zniknąć, mnie samą również porzucano, ale obraz mojego przyjaciela, jak stoi tam, na chodniku, z mokrymi od łez policzkami i ręką wyciągniętą w moją stronę, obraz biegnącego za autobusem chłopca, który został sam i nie godzi się na tę samotność, pozostał w moim sercu — wtedy małej dziewczynki — na zawsze.*

*Oprócz rozpaczki kiełkowało w nim coś jeszcze, chociaż dziewięcioletnia Weronika nie potrafiłaby tego nazwać: poczucie odpowiedzialności za drugiego człowieka. Wiktor powiedział: jeśli zostawię go samego, stanie się złym człowiekiem, a ja przecież kochałam mojego przyjaciela i obrońcę! Nie chciałam, by się „złobuził”!*

*Mogłam zostać na Powiślu? Tak. Jedno słowo i babcia musiałyby zawrócić, odprowadzić mnie do bram piekła i pod*

*nimi zostawić, ale...*

*Często wracałam pamięcią do tamtego dnia. Poczucie winy nie dawało mi spokoju. Mimo wszystko... mimo tego, co miało się wydarzyć, gdybym mogła cofnąć czas, postąpiłabym tak samo. Wybacz, Wiktor, ale wybór między torturą a przyjaźnią to żaden wybór. Ty dokonywałeś swoich — tak jak ja — w każdej chwili swojego życia. Prawda, przyjacielu?*

ROZDZIAŁ IX  
STEFANIA



Weronika, nie mogąc poradzić sobie z rozpaczą i poczuciem winy, po prostu rozchorowała się.

Do chatki Baby Jagi weszła markotna i senna. Babcia próbowała ją przez całą drogę pocieszyć i rozweselić, opowiadając o dzieciach, które za parę dni dziewczynka spotka w szkole, ale przyniosło to skutek odwrotny do zamierzonego. Weronika zawsze była nieśmiałym dzieckiem, ale do tej pory miała jedną życzliwą duszę, co dodawało jej odwagi. Teraz zaczęła się bać pierwszego dnia w nowym miejscu i tych dzieci, o których opowiadała babcia, także.

Wieczorem Stefania, patrząc na półprzytomne dziecko, które próbowało wdusić w siebie chociaż kromkę chleba, przyłożyła mu rękę do czoła i przeraziła się: było rozpalone!

— Nisiu, kochanie, co się dzieje? — zaszepiała, tuląc dziewczynkę.

Ta obojętnie wzruszyła ramionami, po czym wstała od stołu i niczym zombie powędrowała do swojego pokoju. Zwinęła się na łóżku w żalosny kłębek, naciągnęła pod brodę kołdrę i, wstrząsana dreszczami od stale rosnącej gorączki, zapadła w ni to sen, ni letarg.

Stefania nie czekała ani chwili dłużej. Chwyciła za słuchawkę telefonu i wykręciła numer do znajomej pani doktor.

— Marysiu kochana, moja Weronka jest chora — rzuciła, gdy tylko lekarka odebrała.

Nie były to czasy prywatnej praktyki, gdzie możesz wezwać lekarza do domu o każdej porze dnia i nocy — o ile cię na niego stać. Marii Rucińskiej, mimo iż przyjaźniła się ze Stefanią, nie było spieszno, żeby w sierpniową, wietrzną noc wychodzić z ciepłego, jasnego domu i telepać się dwa kilometry wiejską bitą drogą.

— Ma gorączkę? Pewnie jakaś infekcja, najprawdopodobniej wirusowa. Podaj małej syropek przeciwgorączkowy i do rana przejdzie. Jeśli nie, zgłoś się do przychodni, jutro przyjmuję od

ósmej...

— Weronika nie chorowała ani razu, od kiedy jest ze mną — wpadła jej w słowo Stefania.

— Zawsze musi być ten pierwszy raz. Może to angina? Dałaś dziecku lody, a teraz jesteś zaskoczona, że zachorowało.

— Nie dałam Weronce lodów! Byłyśmy w Warszawie, u jej rodziców, stamtąd pojechałyśmy prosto na dworzec. Żadnych lodów, nic zimnego...

Po drugiej stronie doktor Rucińska westchnęła z rezygnacją. Nie uda się jej wymigać od tej wizyty. Stefania nigdy wcześniej nie prosiła o przysługę, bo też nie miała w domu małych dzieci, za to bezpłatnie udzielała korepetycji Asi, młodszej córce Rucińskich, i nie tylko jej. Mimo iż od lat była na emeryturze, pomagała w nauce dzieciom z całej wsi. Gdy tylko któreś miało kłopoty z ułamkami czy ortografią, biegło do „pani uczycielki”. Teraz wypadaloby się odwdzięczyć. „Alternatywy 4” muszą poczekać. Modlić się należy, by polonez odpalił. Przecież nie będzie szła na piechotę.

Pół godziny później — polonez odpalił — pochylała się nad chorym dzieckiem.

— Mierzyłam jej przed chwilą temperaturę — wyszeptała Stefania. Twarz miała poszarzałą ze zmartwienia i wyczerpania długim, trudnym dniem. — Trzydzieści dziewięć i sześć. Podałam syrop, jak zaleciłaś, ale gorączka nie spada.

— W pół godziny leki cudów nie działają — odburknęła lekarka, nadal zła na znajomą, że odciągnęła ją od ulubionego serialu. — Oślucham małą.

Lecz oskrzela i płuca były czyste... Na wszelki wypadek Rucińska zostawiła jednak antybiotyki, napisała, jak go stosować i — ponieważ „Alternatywy 4” właśnie dobiegły końca — pozwoliła zaprosić się Stefanię na filiżankę herbaty i plotecki.

— Byłaś u Marzeny? — zagaiła, gdy pachnący leśnymi malinami napar pojawił się na stole. Tylko u Stefani można było skosztować tak pysznej herbaty. Podawanej nie w szklankach z koszyczkiem, a w pięknych, ręcznie malowanych filiżankach. — Co słyhać u pani prokurator i jej małżonka?

Mieszkańcy Orławy nie przepadali ani za Marzeną, ani za Januszem. Milicjanci nie byli mile widziani w miejscu, gdzie tuż za miedzą była granica i kwitł przemysł, z którego żyło pół wsi. Janusz miał bystre oko, Marzena długi jęzor. On tylko patrzył, kogo aresztować, ona od dziecka donosiła na sąsiadów. Naprawdę nie darzono ich tu sympatią.

— Zgodzili się, żeby Weronka została u mnie — odparła wymijająco Stefania.

Nie zamierzała prać rodzinnych brudów przed lekarką-plotkarką. Dziś zwierzy się Marii w zaufaniu, że jej córka i zięć szczerze się nienawidzą, jutro cała wieś będzie dywagowała, kiedy rozwód.

Odsyłanie dzieci do dziadków nie było w tych czasach czymś wyjątkowym, w wielu domach babcia z dziadkiem chowali takie podrzutki, bo ich własne dzieci robiły karierę w mieście, ale rozwody stanowiły nie lada sensację. Plotkom nie byłoby końca, co mogłoby dotknąć Weronikę. Dzieci brały przecież żywy udział w życiu rodzinnym, widziały i słyszały wszystko.

— Zdajesz sobie sprawę, moja droga, że dziecka w ukryciu trzymać nie możesz? — Rucińska od niechcienia pomieszała herbatę.

Coś nie dawało jej spokoju. Łaknęła nowin z Warszawy niczym kania dżdżu. Bo co innego podrzucić dzieciaka dziadkom na wychowanie, co innego porzucić go. Marzena ani razu, przez całe dwa miesiące, nie przyjechała do córki i matki w odwiedzinach. A przecież zniwami zajęta nie była, pani prokurator zakichana! Na Rucińską też swego czasu doniosła. Że pani doktor trzyma w gabinecie państwowej przychodni ulotkę Solidarności. Skąd się owa ulotka wzięła? Maria nie miała pojęcia. Być może podrzuciła ją sama Marzenka, w zemście za jakiś drobiazg? Doprawdy, tej wredocie niewiele wystarczyło, by znienawidzić człowieka i go niszczyć...

— Nie trzymam Weroniki w ukryciu! — oburzyła się Stefania.

— Przez całe dwa miesiące dziecko świata bożego nie widziało. — Rucińska pokręciła głową. — Do kościoła jej nie prowadzasz, do sklepu rzadko...

— Wszystko, czego nam trzeba, mamy z gospodarstwa. Po

większe zakupy jeżdżę na targ do Gródka.

— Dziecko potrzebuje towarzystwa rówieśników, nie starej, zgorzkniałej kobiety — wypaliła Rucińska, która szczyciła się tym, że zawsze mówi prawdę, nawet niewygodną.

— Ty możesz stronić od ludzi, ale Weronika musi bawić się z dziećmi w swoim wieku. Może ta choroba właśnie stąd? Może wolała zostać w Warszawie, a ty zabrałaś ją, bo samotność dokuczyła ci za bardzo?

Stefania poczerwieniała z przykrości. „Gdybyś wiedziała... gdybyś tylko wiedziała, dlaczego zabrałam Weronkę do siebie”

— pamięć podsunęła jej widok dziecka, stojącego pod ścianą z rękami w górze. I odleglejsze wspomnienie, gdy ona sama, dwudziestoletnia Stefania, stała pod murem, mając przed oczami krew, włosy i strzępy mózgu nieszczęśników, którzy byli tu przed nią, i czekając na salwę z karabinu... Łzy napłynęły jej do oczu. Jak zawsze, gdy ktoś lub coś przywołało tamte straszne, nieludzkie czasy.

— Chcesz ją sama uczyć? — Głos lekarki sprowadził Stefanię do rzeczywistości. Odetchnęła głęboko, otarła łzy wierzchem dłoni. Rucińska patrzyła na nią obojętnie.

— Weronka od pierwszego września idzie do szkoły.

— Do Gródka?

— Nie. Tutaj. Do naszej.

— Do naszej? To nic nie wiesz? Postanowili ją zamknąć. Żegocka poszła na macierzyński i nie znaleźli zastępstwa. Będziesz musiała posłać małą do Gródka. Radzę od razu tam, po co ma dzieciak zmieniać środowisko? Już i tak bidulka straciła matkę, ojca i przyjaciół.

Jak miło... jak to miło być każdym słowem Rucińskiej wbijaną w poczucie winy...

Z drugiej strony, skoro miała pod opieką wnuczkę w wieku szkolnym, wypadałoby wiedzieć, że szkołę w Orławie mają zamknąć. Chyba, że...

— Mogę wrócić do nauczania — usłyszała ze zdumieniem swój własny głos i poczuła, jak bardzo tego chce. I jak brakuje jej na co dzień roześmianych dziecięcych twarzątek.

Ludzi nie lubiła, stroniła od nich, lecz dzieci kochała całym



sercem. Kilkulatki, niewinne, niespaczone szarą polską rzeczywistością, przez całe dziesięciolecia były jedyną radością Stefanii. Jaka szkoda, że każde dzieciństwo ma swój koniec, a niewinność z czasem zmienia się w wyrachowanie, dążenie po trupach do celu czy zwykłą podłość. Skąd człowiek to w sobie ma? Przecież nie rodzi się z gruntu zły. Swojej przybranej córce, Marzenie, dała morze miłości, uwagę, wsparcie, poczucie bezpieczeństwa, a ta ze słodkiej dziewczynki — tak, po traumatycznych przejściach, ale komu wtedy wojna takich przeżyć oszczędzała? — wyrosła na podłą, pełną złości do całego świata istotę, z którą nikt specjalnie nie chciał mieć do czynienia.

Nawet wśród kolegów prokuratorów nie była lubiana, bo z przyjemnością podkładała świnie każdemu, komu mogła. Z Januszem dobrali się jak w korcu maku. On był taki sam. Przed tą dwójką trzeba było chronić Weronikę za wszelką cenę!

— Tak. Zgłoszę swoją kandydaturę na nauczycielkę młodszej klasy — powtórzyła, przekonana całym sercem, że tego pragnie. — Weronika będzie chodziła do szkoły tu, na miejscu. Pozna dzieci sąsiadów. Nawiąże przyjaźnie. Nie będzie sama.

— Bardzo dobrze, moja kochana. Bardzo dobrze. — Lekarka poklepała ją po ręce. — Małej od razu się polepszy. Więc co tam z Marzenką i... jak mu tam? Grzegorz? Janek?

— Janusz.

— Podrzucili ci dzieciaka, a sami...?

— Robią karierę. Marzena dostała awans, Janusz również. A że Weronka w Warszawie często chorowała, zdecydowaliśmy, że zamieszka u mnie, w Orławie.

— No tak... no tak... — Zrozumiawszy, że więcej ze Stefanii nie wyciągnie, Rucińska wstała od stołu.

Przeszły razem do sypialni Weroniki. Starsza kobieta pełnym czułości gestem odgarnęła zlepione potem włoski z czoła dziewczynki bez, i z ulgą stwierdziła, że gorączka spadła. Pochyliła się, ucałowała dziecko w policzek. Ono, na granicy jawy i snu, objęło Stefanię za szyję i wyszeptalo, nie otwierając oczu:

— Kocham cię, babciu.

Otuliła Weronikę kołdrą i szybko wyszła z pokoju, żeby się nie rozpląkać. Samotna od tylu lat, dziś miała kogoś, kogo znów mogła kochać — kochać ponad życie — a mała rudowłosa dziewczynka, jej wnusia, kochała Stefanię równie mocno.

Piękna bajka trwała nadal...

*Sześć lat spędzonych u babci Stefanii kojarzy mi się z ciepłem i jasnością. Niczym niekończące się wakacje. Mniejsza, że świat nie stanął w miejscu, pory roku następowały po sobie tak regularnie jak noc po dniu, w moich wspomnieniach, tam trwa niekończące się lato i świeci niegasnące słońce.*

*Ach, i jeszcze coś... Zapachy! Aromat gorącego chleba, przed chwilą wyjętego przez Bunię z pieca... Potem gruba pajda, smarowana masłem, własnoręcznie przeze mnie ubitym w drewnianej maselnicy, posypana grubo cukrem, i hajda na dwór, do dzieciaków ze wsi, z którymi natychmiast się zaprzyjaźniłam! Powidła śliwkowe, smażone całymi godzinami w wielkim, mosiężnym saganie, które mieszałam drewnianą łyżką — w jedną stronę, zgodnie z ruchem wskazówek zegara — żeby się nie przypaliły. Co za smak... Drożdżowe baby, pieczone na Boże Narodzenie, którymi dzieliłyśmy się potem, jak i opłatkiem, z sąsiadami. I ten aromat, aromat, aromat... Niepowtarzalny smak domowego ciasta. Pieczone, szykowane na Wielkanoc, pasztety, kiełbasy, pieczenie... Pamiętacie?*

*Dom mojej babci, nasza chatka na kurzej nóżce, pachniał tak, jak rodzinny dom pachnieć powinien.*

*Świat dookoła roztaczał inne wonie. Majowy bez, rosnący przy drodze, jaśmin, po który sięgałam z okna mojej sypialni, jabłonie, śliwy, wiśnie i grusze, a wszystkie staropolskich odmian, pamiętające jeszcze czasy powojenne — wiosna pachniała ich kwieciami. Białym, ulotnym i pięknym, gdy sypało się na włosy przy każdym podmuchu wiatru.*

*Lato to zapach sianokosów i żniw. Świeżo zżęta trawa pachniała deszczem, zboże — słońcem, ziemniaki, kopane motyką przeze mnie i babcię — ziemią. Jesień zaś pełna była aromatów domowych przetworów.*

*Wtedy, w trudnych czasach późnej komuny, gdy w miejskich sklepach nadal nie było nic, półki w babcinej spiżarni uginały*

się od weków wypełnionych korniszonami, grzybami w occie, kompotami, konfiturami i powidłami. Całe to dobro miało nam wystarczyć do następnych zbiorów i... wystarczało!

Sąsiad w zamian za odchowane prosiaki, przywoził nam białą, puszystą mąkę. Nasze kury niosły się pięknie, dwie babcine krówki, w tym moja ulubienica, Malina, dawały codziennie po dwa wiadra pysznego mleka, z którego robiłyśmy sery i masło. Część przeznaczona była dla nas, część szła na wymianę. Pozostałe prosiaki wysyłałyśmy do innego sąsiada i wracały w postaci okazałych ćwiartek, z których babcia przyrządzała najpyszniejsze na świecie wędliny.

Pienięży właściwie nie potrzebowałyśmy, więc skromna pensja szkolnej nauczycielki wystarczała nam w zupełności. Musiała wystarczyć, bo moi rodzice, o czym dowiedziałam się po latach, nie przysłali babci ani grosza na moje utrzymanie. Nigdy.

Chodziłyśmy ubrane skromnie, zupełnie nie różniąc się tym od ludzi z Orławy. Dzieci biegały w znoszonych bluzach i przetartych spodniach, mężczyźni w kufajkach narzuconych na flanelowe koszule w kratę i drelichowych spodniach, kobiety w cerowanych spódnicach i spranych bluzkach. Rewii mody na wsi późnych lat osiemdziesiątych nikt nie uświadczyl.

Do szkoły dla odmiany nakładaliśmy odprasowane fartuchy ze śnieżnobiałymi kołnierzykami. I broń cię Panie Boże przyjsć w wygniecionym czy brudnym! Był to wstyd, jakiego świat nie widział! Nawet dwa największe łobuziaki do bójki fartuchy zdejmowały, bo matka uszy by im pourywała, gdyby wrócili w podartych.

A właśnie, szkoła... Pierwszego września babcia wzięła mnie za rękę i przeszłyśmy dwa kilometry, dzielące nas od starego dworu, gdzie na parterze mieściły się szkolne izby, na piętrze mieszkania nauczycieli.

Dwór był piękny. Stał w rozległym parku — chłopcy po parcelacji majątku litościwie się obeszl i z domem, i z drzewami, nie dewastując i nie wyrzynając wszystkiego w pień — gdzie niebosiężne dęby i lipy dawały latem miły chłód, a jesienią chroniły przed deszczem. W dwóch salach lekcyjnych

na podłodze lśnił parkiet, pamiętający czasy dziedziców, który raz w tygodniu my, uczniowie, pastowaliśmy i froterowaliśmy na błysk. A co zabawy było przy tym!

W większej izbie uczyły się młodsze dzieci, w nieco mniejszej — starsze. Babcia była „uczycielką” tych młodszych i od pierwszego dnia w szkole widziałam, że to uwielbia. Kochała uczyć dzieci czytania i pisania. Kochała opowiadać nam o świecie. Wyjaśniać zjawiska natury. Snuć historie z życia zwierząt, przybliżać wpatrzonym w nią siedmiu parom oczu zdarzenia z odległej przeszłości, a czyniła to tak obrazowo, że kiedyś Jasio, najstarszy z mojej klasy, zapytał, uprzednio podniósłszy dwa palce do góry, czy Światowid — babcia z przejęciem opowiadała nam właśnie o słowiańskich bogach — który widzi wszystko, widział także jak Kuba, to drugi chłopiec, z którym Jasio na przerwach albo się tłukł, albo grał w nogę, podkradł sołtysowi jabłka z sadu (którymi się notabene zajadaliśmy na przerwie)? Na co Kuba, również podnosząc rękę do góry, zapytał, czy Światowid widział, jak Jasiek kradł sołtysowi pyrki, które potem Jasiek przyniósł na ognisko — nie muszę dodawać, że spieczone i gorące smakowały niebiańsko?

Babcia skutecznie wtedy umoralniającą pogadankę o uczciwości, zakazała dalszych kradzieży i przez następne pół godziny dwaj chłopcy strugali dla maluszka, który się sołtysom urodził, koniki z drewna. Naszym szkolnym łobuziakom bardzo się to struganie podobało, sołtys przyjął koniki razem z przeprosinami, a następne jabłka i ziemniaki przyniosły dzieci ze swoich domów. Jakim cudem babcia tego dokonała — nie mam pojęcia, ale mimo braku kary, kradzieże się skończyły. Opowieści babci Steni oczywiście nie.

## ROZDZIAŁ X

### STEFANIA



Mimo iż Weronika była wnuczką nauczycielki, nie została odrzucona przez dzieci, chowane ze sobą od kołyski, tak jak stało się to w Warszawie. Wręcz przeciwnie: Stefania była w Orławie szanowana i trochę tego splendoru spłynęło na dziewczynkę.

Sześcioro dzieci z młodszej klasy, a i piątka ze starszej, polubiło wesołą, rudowłosą „Anię z Zielonego Wzgórza”, jak i tutaj zaczęto ją nazywać, i już wkrótce żadna zabawa czy gra nie mogła się zacząć bez jednego z nich. Dziewczyna ze swoją wyobraźnią, nieograniczaną smutnymi ścianami warszawskich kamienic, była dla wiejskich dzieci bezcennym nabytkiem. Na krótszych przerwach, gdy mecz w nogę nie mógł się zacząć, bo nie zdążyłby się skończyć, siadały na schodkach ganku, niczym kwoki na grzędzie i prosiły:

— Weronka, opowiadaj! Opowiedz o księżniczce, zamienionej w jaskółkę! Albo o królownie, co ją do studni wrzucono! — O, to dopiero był horror... — Nie, dzisiaj będzie o królewiczu Wiktorze — domagały się dziewczynki — co go zły komtur (kto to był komtur kojarzyły słabo, ale brzmiało groźnie) w lochu zamknął i na piecyste chciał przerobić.

Tak, przyjaciel z Powiśla często gościł w opowieściach Weroniki. Mijały lata, a ona nie potrafiła o nim zapomnieć, wciąż czuła tęsknotę za Wiktorem Helertem, i żal, że go zostawiła samego. Och, gdyby tylko mógł przyjechać do Orławy i zostać! Ależ by gry razem wymyślali... Ile przygód by mieli... Wszystkie mecze by wygrali, mniejsza z tym, że mały, chudy Wiktor nigdy do żadnej drużyny nie był tam, w Warszawie, wybrany. We wspomnieniach wydawał się Weronce silny, szybki i niezwyciężony!

— Buniu... — zaczęła któregoś wieczoru, gdy siedziały sobie z babcią Stefanią przy kominku w niewielkim ale przytulnym salonie i oddawały się ulubionemu rytuałowi: Stefania długimi, miękkimi pociągnięciami szczotki rozczesywała lśniące miedzią

włosy dziewczynki, a ona czytała miło brzmiącym głosem przygody Ani Shirley. Nie trzeba dodawać, że pokochała te książki od pierwszego akapitu? — Może pojechałybyśmy do Warszawy? Tak dawno nie widziałam rodziców...

— Tęsknisz, serduszko moja? — Babcia nazywała ją czasami serduszką, od niezwykłych, ślicznych kwiatów, rosnących u nich w ogrodzie. — Może zadzwonimy?

Marzena z Januszem przez te kilka lat nie przyjechali do Orławy, żeby zobaczyć się z córką. Nigdy też nie zadzwonili. To Stefania telefonowała do matki Weroniki raz na kilka miesięcy i zmuszała ją niemal do zamienienia kilku zdawkowych słów z dzieckiem. Czy dziewczynce brakowało rodziców? Stefania tego nie wiedziała. Wnuczka nigdy się nie skarżyła na ich brak. Ale dziecko kocha matkę i ojca miłością bezwarunkową, bez względu na wszystko,

— Ja chciałabym tam pojechać.

Weronika podniosła na babcię oczy, a Stefania nagle dostrzegła, że jej wnuczka nie jest już dzieckiem, a młodą, uroczą dziewczyną. Miała piętnaście lat. Zaczęła nabierać kobiecych kształtów i chociaż daleko jej było do skończonej piękności, urok Weroniki, serdeczny uśmiech, szczupła twarz w kształcie serca a zwłaszcza duże, zielone oczy, błyszczące radością życia — to wszystko sprawiało, że wydawała się śliczną dziewczyną i coraz częściej przyciągała spojrzenia miejscowych chłopców.

Sama zupełnie nie zdawała sobie sprawy ze swej niezwykłej urody, z inteligencji również. Tak głęboko zapadły w nią słowa matki: „Jesteś brzydka i głupia”, że nawet Stefania, powtarzająca wnuczce co i rusz, jaką jest śliczną i mądrą dziewczynką, nie zdołała jej dodać wiary w siebie.

Weronika nie lubiła patrzeć w lustro na swoją głupią i brzydką twarz i nic tego zmienić nie mogło. Może kiedyś, gdy odnajdzie miłość w oczach mężczyzny, pokocha i siebie. Na razie była pełnym kompleksów podlotkiem.

— Chciałabym zobaczyć się z Wiktorem — dodała, bo babcia po jej poprzednich słowach umilkła.

Szczotka, pieszczotliwie gładząca włosy dziewczyny,

znieruchomiła.

— Nie zapomniałaś o tamtym chłopcu? — Stefania raczej stwierdziła, niż zapytała.

Weronika pokręciła głową.

— Jest moim przyjacielem. Sześć lat tego nie zmieni. Nic tego nie zmieni.

Stefania milczała długą chwilę, by wreszcie rzec:

— Wiktora na Powiślu już nie ma. Twoja matka wykupiła tę kamienicę i wypowiedziała najem wszystkim lokatorom.

— Byłaś tam?!

— Tak, kochanie. Wybacz, że ci o tym nie wspomniałam, ale miesiąc temu, gdy całą szkołą pojechaliście do Gdańska, ja wybrałam się w przeciwnym kierunku.

Dziewczyna chwyciła babcię za rękę. Palce zacisnęła tak mocno, że aż zbieleły.

— Mów, babciu... Wszystko — poprosiła.

— Niewiele jest do opowiadania, serduszko. Twoi rodzice nie są już razem. Nie mam pojęcia, czy wzięli rozwód, czy po prostu mieszkają osobno, ale tego się chyba domyślałaś. — Tu dziewczyna skinęła głową.

Od lat prosiła, żeby matka dała ojca do telefonu, ale zbywała ją. Mimo wszystko, gdy babcia potwierdziła jej domysły, Weronika poczuła ukłucie żalu. Rodzice się rozeszli... Dziecko zawsze się ludzi, że rodzice się pogodzą, pokochają i stworzą owemu dziecku normalny, pełen miłości dom. Te szanse spadły właśnie do zera.

— Chciałam ci oszczędzić bólu, Nisiu. — Stefania pogładziła dziewczynę po ramieniu. Łzy, jakie rozbłysły w pogodnych zazwyczaj oczach, łamały serce. — Pojechałam sama, żeby rozmówić się z twoją mamą co do wyboru liceum. Za parę miesięcy trzeba gdzieś złożyć papiery. Chciałam, by była tego świadoma i wyraziła zgodę na to, byś nadal mieszkała ze mną. Mamy dobre szkoły w Białymstoku. Trochę to daleko, ale może lepiej, niż w Warszawie? — W głosie kobiety zabrzmiało błaganie.

Dziewczyna przytaknęła. Nieraz o tym rozmawiały. Tak właśnie miało być, ale w cichości ducha marzyła jednak o

Warszawie i jej świetnych szkołach, bez porównania lepszych niż te najbliższe. Może do którejś by się dostała?

Babcia przez wszystkie te lata nakłaniała Weronikę do nauki. Powtarzała niczym mantrę, że wiedzy, umiejętności i wykształcenia nikt człowiekowi nie odbierze. Można pozbawić go domu, pracy, zdrowia, ale to, czego się nauczy, zostanie z nim na zawsze. I Weronika uczyła się świetnie, na same piątki. Nie dlatego, że za czwórkę groziło jej klęczenie na kaszy, już nie, a dlatego, że uwielbiała dużo widzieć! No i pragnęła chociaż w ten sposób odwdzińczyć się babci za wszystko. Za całą miłość, czułość i opiekę, jaką Stefania ją obdarzyła.

— Widzisz, kochanie — ciągnęła starsza kobieta — Marzena mieszka z pewnym mężczyzną. Nazywa go narzeczoną.

— Mężczyzną?! — Weronika zakrztusiła się niemal tym słowem. — Narzeczoną?! Ale jak to...?!

— Właśnie dlatego chciałam się z nią spotkać bez ciebie, żeby oszczędzić ci widoku tego człowieka w twoim rodzinnym domu. Teraz szok będzie trochę mniejszy, prawda?

Dziewczyna pokręciła gwałtownie głową. Łzy, palące łzy rozczarowania i złości na matkę, na ojca, który dał się wyrzucić z domu i na tamtego faceta, obcego, który zamieszkał może w jej, Weroniki, pokoju, popłynęły po policzkach. Stefania przygarnęła ją do siebie i pozwoliła płakać. Wreszcie ciche, bolesne łkanie kogoś, kto właśnie stracił nadzieję, umilkło. Dziewczyna zdecydowanym gestem otarła oczy.

— Nie chcę ich widzieć, ale chciałabym spotkać się z Wiktorem. Wiesz, co się z nim stało? Gdzie mieszka?

— Nie, serduszko. Dozorca z sąsiedniej kamienicy powiedział tylko, że pani prokurator, twoja matka, wyrzuciła wszystkich lokatorów, ale co się stało z rodziną Wiktora, nie mam pojęcia. Nie pytałam o niego, prawdę mówiąc.

— Ale jakże to, babciu! O Wiktora nie zapytałaś?! Przecież wiesz... widziałaś, jak biegł za autobusem!

Chyba po raz pierwszy, od kiedy Weronika zawitała do Orławy, poczuła gniew. Na Stefanię. Ta spokojnie odgarnęła kosmyk włosów z rozpalonego czoła dziewczyny i odrzekła:

— Nie byłam mile widziana w tamtym domu. Dano mi do



zrozumienia, że im szybciej wyjdę, tym lepiej. Ale ludzie nie rozplývają się w powietrzu bez śladu. Kiedyś odnajdziesz swojego przyjaciela. Jestem tego pewna.

Stało się to szybciej, niż Stefania mogła się spodziewać...

Któregoś dnia serce niemal siedemdziesięcioletniej kobiety tak się jej dało we znaki, że zmuszona była pojechać na badania do Warszawy, gdzie przyjmował przyjaciel Stefanii jeszcze z czasów wojennej konspiracji.

Były ferie zimowe, Weronika postanowiła więc jechać z babcią.

Sąsiad podwiózł je nowym polonezem, z którego był strasznie dumny, na przystanek pekaesu i oto parę godzin później wysiadały na tym samym Dworcu Zachodnim, z którego uciekały do Orławy sześć lat wcześniej.

Dziewczyna wielkimi oczami przyglądała się przez okna autobusu Warszawie, która nagle, gdy komunizm upadł, obudziła się do życia. Wszędzie widać było smukłe sylwetki dźwigów. Miasto, niegdyś szare i zniewolone, nagle rozwinęło skrzydła, nabrało oddechu i wyprysnęło ku niebu drapaczami chmur. Ludzie też się zmienili. Byli pełni energii i nadziei. Kobiety ubierały się zgodnie ze światową modą, bo też zagranicznych żurnali nie trzeba było już przemycać z Zachodu, można je było kupić tutaj, w Empiku. Powszechna komunistyczna szarość ustąpiła miejsca kolorom. Weronika, odziana skromnie i niemodnie — doprawdy, Stefanii nie było stać na ciuchy z butików — poczuła się jak uboga kuzynka ze wsi. Bogiem a prawdą tym właśnie była.

— Babciu — zaszepiała, nie odrywając wzroku od widoków za oknem — mamy jeszcze tę starą maszynę do szycia?

— Pewnie. Jest na strychu, nadal sprawna.

— A kupiłabyś mi trochę materiału? Zobacz, coś takiego mogłabym sobie uszyć sama. — Wskazała na dziewczynę, zamiatającą chodnik długą, czarną, falbaniastą spódnicą. — Miałśmy kurs projektowania i szycia na zajęciach praktyczno — technicznych.

— Jeśli tylko gdzieś dostanę, kupię ci materiał, kochanie.

Stefania przygarnęła wnuczkę i ucałowała, czując

wdzięczność do tego dziecka, że prosiło o tak niewiele. Szkołę w Orławie ostatecznie postanowiono zamknąć. Już teraz Stefania ciułała każdy grosz, wiedząc, że będzie ciężko. Natomiast Weronika... ona również gromadziła zaoszczędzone z kieszonkowego drobniaki. Właśnie na ten wyjazd. W dłoni wbitej w kieszeń ścisnęła chudy portfel, w którym miała cały swój majątek. Musi wystarczyć!

Wysiadły pod kliniką w Aninie. Stefania zapisała się w rejestracji. Kolejka była długa, bardzo długa, ale doktor zapewnił, że wszystkich przyjmie. Zresztą i tak najpierw trzeba było porobić badania, by mógł postawić diagnozę.

— Tu gdzieś jest świetlica i skromna biblioteka. Znajdziesz coś do czytania — odezwała się do Weroniki, a ta, myślami błądząc gdzieś daleko, skinęła głową. — To potrwa ładnych parę godzin. Być może zatrzymają mnie tu na noc, wtedy będziesz musiała nocować u matki.

— Tak zrobię, Buniu. O nic się nie martw. Grunt, żeby ciebie dokładnie przebadali i przepisali odpowiednie leki. Nie możesz się tak męczyć, jak ostatnio.

Starsza kobieta mogła tylko przytaknąć. Serce dokuczało jej od lat, ale ostatnio przykre bóle bardzo się nasiliły. Właśnie dlatego zdecydowała się na podróż do Warszawy. Gdyby nie to, spokojnie żyłaby sobie w Orławie, nie wychylając nosa dalej, niż do Białegostoku. Tam był jej mały świat. On wystarczył.

Dziewczyna pochyliła się i ucałowała babcię w pomarszczony, pachnący wodą pomarańczową policzek. Kochała ten zapach. Kojarzył się jej z całkowitym poczuciem bezpieczeństwa i miłością.

— Kocham cię, babciu — wyszeptała ze łzami w oczach.

— Ja kocham ciebie najbardziej na świecie, Nisiuniu. — Stefania przytuliła wnuczkę do serca, czując takie samo wzruszenie.

— Pozwiedzam trochę Warszawę. Wrócę najdalej za cztery godziny, dobrze?

— Dobrze, serduszko.

Stefania patrzyła za oddalającą się Weroniką i nagle... jakiś impuls kazał jej zawołać dziewczynę z powrotem. Ta,

zaniepokojona, w chwilę była przy niej.

— Co się stało, Buniu? Serce?

Starsza kobieta chwyciła ją mocno za rękę i zaczęła mówić szybko, jakby czasu było coraz mniej:

— Szuflada biurka w naszej bibliotece ma podwójne dno. Gdy je wyjmiesz, znajdziesz cztery zeszyty. To moje wspomnienia, spisane właśnie dla ciebie, Nisiu. I prezent na urodziny. Miałam ci je wręczyć za miesiąc, gdy skończysz piętnaście lat, ale chcę, żebyś wiedziała już teraz. W razie, gdyby coś mi się stało, gdybym nie wróciła...

— Babciu, nie chcę tego słuchać! — Dziewczyna, nagle zdjeta strachem, zatkała dłońmi uszy.

— Weroniko... — Stefania ujęła jej twarz w dłonie.

— Nie chcę słyszeć o „gdyby coś mi się stało”! Boję się takich słów! Jeśli wypowie się je w złą godzinę... Przecież nie możesz mnie opuścić, Buniu. Wiem, serce daje ci się we znaki, ale przecież jesteś w najlepszym szpitalu u najlepszego doktora, prawda? Tak mówiłaś!

— Tak, kochanie, tak.

— Dlaczego więc...? — Znów te łzy w zielonych oczach, na które Stefania nie mogła spokojnie patrzeć.

— Mam prawie siedemdziesiąt lat, Nisiu.

— Masz tylko siedemdziesiąt lat, babciu — sprostowała dziewczyna z naciskiem. — I potrzebuję cię najbardziej na świecie. Muszę skończyć liceum w Białymstoku. Kto będzie mi pomagał w lekcjach, żebym nadal miała same piątki, no kto? Potem studia... Kto będzie mnie przepytował z anatomii kota przed kolokwium?

Całkiem niedawno Weronika postanowiła zdawać na weterynarię. Wprawdzie jej babci się marzyło, że wnuczka zostanie pisarką, ale ona za mało w siebie wierzyła, żeby pójść tą drogą. Za to druga miłość Weroniki — leczenie zwierząt — dla kogoś kto z biologii, chemii, fizyki i nawet matematyki miał piątkę za piątką, zdawała się być w zasięgu ręki.

— Wreszcie rozdanie dyplomów. Ależ będziesz dumna, Buniu, gdy twoja wnuczka otrzyma dyplom lekarza weterynarii, prawda?

— Najdumniejsza na świecie — uśmiechnęła się Stefania.

— No widzisz. Nie chcę więcej słyszeć o „gdybym nie wróciła” i zeszytach — ucięła stanowczo dziewczyna. — Będę z powrotem za cztery godziny. Z naręczem czasopism. Poczytamy w drodze do domu. Chyba, że zatrzymają cię na noc, to ty będziesz miała co czytać. — Powtórnie cmoknęła Stefanię w policzek i już jej nie było.

Zeszyty, studia i rozmowa z babcią wywietrzyły jej z głowy w chwili, gdy znalazła się przed szpitalem, gotowa ruszać na misję. Zdecydowała bowiem, że odnajdzie Wiktora Helerta. Dzisiaj.

## ROZDZIAŁ XI

WIKTOR



Weronika stała z zadartą głową przed starą kamienicą i wpatrywała się w okno na drugim piętrze, tam gdzie kiedyś był jej maleńki pokój-służbówka. Nagle stanął w nim obcy człowiek, jak gdyby nigdy nic zapalił papierosa, zaciągnął się i, obojętnie patrząc na tkwiącą pośrodku podwórza dziewczynę, wypuścił nosem dym.

Ją z obrzydzenia zemdliło. To tamten. „Narzeczoną” jej matki, Weronika nie miała co do tego wątpliwości. Wyglądał tak samo paskudnie, jak sobie go wyobrażała i opisywała w swoich powieściach. Czerwony na twarzy, opasy drab, z owłosionymi jak u szympansa ramionami i kwadratową szczęką, którą orzechy mógł łupać. Troglodyta jeden.

Patrzyli na siebie długie chwile, wreszcie wyrzucił peta na podwórze, zatrzasnął okno i tyle go widziała. Odetchnęła głęboko, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że ledwo przez ten czas łapała powietrze. Zupełnie jakby to indywiduum zabrało cały tlen. Odwróciła się na pięcie i skierowała do niewielkiej oficyny, gdzie od niepamiętnych czasów mieszkał dozorca. Właśnie tu zaczęła poszukiwania. Starszy człowiek wiedział wszystko o wszystkich.

— Patrzcie, patrzcie, kogo tu mamy — wycedził, szczerząc w uśmiechu połamane zęby. — Co to za piękna panna zaszczyca nas swoją obecnością? Bo chyba nie Weronka Nocykówna?

— Weronka, Weronka, panie Kazimierzu — uśmiechnęła się mimo wszystko.

Swego czasu bała się Straszego Kaźmirza śmiertelnie. Wydawał się wielki i groźny, gdy stawał nad nią z nieodłączną miotłą w dłoni i, mnąc w ustach przekleństwa, za coś ochrzaniał Wiktora albo ją. Nie. Weroniki nigdy. Była za grzeczna i za potulna. Co innego Helert, który zamiast kajać się i przeproszać, natychmiast zaczynał pyskować. Parę razy za owo pyskowanie miotłą oberwał.

Dziś stary Kaźmirz był właśnie... stary. Poczciwy, posiwiały i

przygarbiony już nie straszył, a rozczulał. Mimo wszystko Weronika miała z dzieciństwa parę fajnych wspomnień. Choćby to, jak dozorca naprawił jej rowerek, gdy wjechała na krawężnik, przewróciła się i płakała nie nad zakrwawionym kolanem, a pogiętym kołem, śmiertelnie obawiając się kary. Starszy człowiek zabrał dziecko i rower do siebie, do oficyny, dziewczynce opatrzył ranę, koło naprawił i Weronice się upiekło.

Teraz, gdy to wspomnienie wróciło i zalało ciepłem serce dziewczyny, po prostu objęła staruszka i rzekła serdecznie:

— Dobrze pana widzieć, panie Kazimierzu.

— Ciebie również, moje dziecko, ciebie również. Mogę nadal mówić ci po imieniu? Pytam, boś już nie srajtek przecież, a duża panna. Przyjechałaś w odwiedzin do matki?

Wzruszyła wieloznacznie ramionami i odparła:

— Przyjechałam odnaleźć przyjaciela z dzieciństwa.

— Wiktora Helerta? — zapytała domyślnie.

— Wie pan, gdzie go znajdę? — Chwyciła dozorcę za rękę, patrząc mu błagalnie w oczy.

Teraz on wzruszył ramionami. Uśmiech, który miał dla niej, zmienił się w grymas niechęci.

— Wiedzieć to nie wiem, ale się domyślam. Co myśmy tu mieli z tym urwisem! Awanturę za awanturą. Milicja nawet była u nich w domu nie raz i nie dwa.

— U Wiktora?! Milicja?!

— Ano... Daruj sobie, dziecko, takie znajomości.

Słowa dozorcę odniosły odwrotny skutek. Teraz tym bardziej pragnęła Wiktora odnaleźć, przeczuwała bowiem, że stało się z nim coś bardzo, bardzo złego.

— Proszę, panie Kazimierzu. Niechżeż mi pan pomoże. Gdzie się przenieśli? Zna pan ich adres?

— Ich, znaczy starych Helertów, znam, ale Wikuś z nimi nie mieszka. Nie po tym, jak... — Urwał. Machnął ręką. — Ode mnie więcej się nie dowiesz, bo plotek powtarzał nie będę. Nie jestem starą Maślakową, żeby ludzi oczerniać. Gdy jeszcze tu mieszkali, Wiktor najczęściej przestawał z Antosiem Kuziałem. Też niezłym gagatkiem. Znasz go?

Antek Kuział? Szkolny zabijaka, z którym w trzeciej klasie Weronika miała „chodzić”? Pewnie, że zna Antosia. Tylko gdzie go szukać?

— Kuziały mieszkają po staremu, pod siedemnastką. Mieszkania trzy. Jego ojciec nie żyje, matka utrzymuje ich oboje z renciny, a Antek... Na ludzi to on nie wyrośnie, oj nie.

— Dziękuję!

Weronika już biegła w stronę bramy. Szkoda było czasu na słuchanie gędzenia dozorczy. Obiecała przecież babci, że za cztery godziny wróci do szpitala. Pierwsza właśnie mijała.

Kamienice na Powiślu, pamiętające czasy wojny, których mury nadal zdobiły rany po karabinowych pociskach, budowane były zwykle w czworokąt. Na podwórze-studnię wchodziło się przez bramę, zwykle cuchnącą moczem, potem miało się do wyboru kilka klatek, ciemnych i obskurnych. Weronika szczerze ich nie cierpiała.

Wchodząc do bramy usłyszała przeciągły gwizd. Zaraz potem jeden z osiłków, wystających tu z papierosem i butelką piwa, zawołał:

— Te, lalunia, przyłączysz się?

Uśmiechnęła się zdawkowo i pokręciła głową. Chwycił ją znieścacka za rękę. Powinna się była przestraszyć, nawet więcej niż powinna: miała taki obowiązek! Ona jednak spojrzała zdumiona na palce tamtego, zaciskające się na jej nadgarstku i... nagle poczuła w sercu lodowaty chłód. Aż zadrżała, ale nie ze strachu. Właśnie z tego chłodu.

Przeniosła spojrzenie z ręki na twarz młodego mężczyzny i patrząc mu prosto w oczy, wycodziła:

— Proszę. Mnie. Puścić.

Był od niej o głowę wyższy. Silniejszy pewnie ze trzy razy. Na dodatek miał dwóch kompanów po bokach, a jednak... zmrożony wzrokiem dziewczyny i tonem jej głosu rozwarł palce.

— Dzięki — rzuciła. — Antek Kuział w domu?

— Ty do Antka? Trzeba było od razu tak mówić. Skoczył po piwo. O, właśnie wraca. — Wskazał kolejnego draba, który wchodził do bramy. — Antoś, ta lala do ciebie.

Weronika bez cienia strachu zrobiła krok do przodu.

— My się znamy? — zapytał powoli ktoś, kto sześć lat temu był uroczym szkolnym łobuziakiem, dziś zaś, rosły, szeroki w barach, chociaż nadal przyszczaty i pucołowaty na twarzy, zapowiadał się na przyszłego bywalca zakładów karnych. — Niech mnie, Weronka? Weronika Nocnik?!

— A chcesz w zęby za ten „Nocnik”? — odparła uprzejmym pytaniem i... uśmiechnęła się równie szeroko, co tamten.

Dziś nie była małą zastraszoną dziewczynką, z której się szydzi i którą się poniewiera. Wprawdzie nie miała pojęcia, skąd bierze siłę i odwagę, by odpowiadać w ten sposób grupce młodych zabijaków, czających się w ciemnej bramie, niemniej jednak to właśnie czyniła.

Antek Kuział zagwizdał z uznaniem, obcinając dawną szkolną koleżankę pełnym uznania spojrzeniem.

— Wyrosłaś, nabrałaś tu i ówdzie kształtów, i te włosy...

Chwycił ją za kosmyk długich, spływających na plecy w łagodnych falach, rudych włosów, ale trzepnęła go po łapie. Cofnął dłoń.

— Przyjechałaś z tej swojej wiochy w odwiedziny do starych? — Domyślił się. — Wiesz, że twoja matka pognała ojca z domu i mieszka teraz z takim jełopem, mendą jedną, co na porządnych obywateli donosi?

Odpowiedziało mu wzruszenie ramion.

— Nie przyjechałam do rodziców.

Te słowa mimo wszystko sprawiły ból. Naprawdę chciała, żeby było inaczej. Wolałaby tęsknić za mamą i ojcem, niż wysłuchiwać, jakie zdanie mają na ich temat sąsiedzi i oglądać gacha matki w oknie swojej własnej sypialni. Ale życie nie zawsze daje nam jakikolwiek wybór.

— Szukam Wiktora Helerta.

W bramie zapadła nagle cisza. Szepty kolegów Antka umilkły. Wszyscy czterej wpatrywali się w dziewczynę, jakby powiedziała coś... szokującego.

— Szukasz tego... — Antek zawiesił głos, by uderzyć tym mocniej — ...bandziora?

Aż zachwiała się, słysząc to słowo. Cios rzeczywiście był silny. Wręcz zwał z nóg.



— Ban-bandziora? — zająknęła się, czując jak gardło zaciska się boleśnie. Wiktor? On mówił to o Wiktorze? Jej przyjacielu? — Co on zrobił? — wyszeptała, walcząc ze łzami przerażenia i niedowierzania. — Dlaczego tak o nim mówisz?! — Przeważenie zmieniło się w nagły gniew. — Powiesz, co ci zrobił Wiktor Helert i dopiero...

— Mnie tam nic nie zrobił — zaczął Kuział, z rozkoszą cedząc słowa. — Był nawet użyteczny, w moim imieniu temu i owemu wpierdol spuszczać. Ale... jak to mówią... przysłała kryska na Matyska. Odbiło szczeniakowi pewnego dnia i teraz siedzi. W pierdlu dla młodocianych.

— Gdzie?!

— W poprawczaku, kochanie. W poprawczaku. Twój rycerz bez skazy siedzi za kratkami — dobił ją.

Czuła, że tonie. Czuła, że brakuje jej powietrza. Nogi się pod nią ugięły, zaczęła ogarniać ją czern. Czyjś głos: — Ej, laska, nie mdlej! Weronika! — i potrząśnięcie za ramiona sprawiły, że zamrugła półprzytomnie, nabrała powietrza do pustych płuc, wsparła się na rękę, która przytrzymała ją w pionie i stanęła o własnych siłach.

— Dzięki, już mi lepiej — odparła, widząc zatroskane spojrzenie Antka.

— Głupio mi. Przepraszam — wymamrotał, przyglądając się jej uważnie. — Ty nie jesteś chyba... Ten tego... Z Helertem... — Spojrzał znacząco na płaski brzuch dziewczyny.

— Nie jestem — ucięła. — Wiesz może, w którym... poprawczaku siedzi Wiktor? — Potknęła się na tym strasznym słowie. Kojarzyło się jej nie lepiej niż „sierociniec”, którym straszyla ją w dzieciństwie matka.

— Wiedzieć to wiem, ale nie wiem, czy ty powinnaś. Zaraz pewnie tam pobiegiesz, a to nie miejsce dla grzecznych dziewczynek.

— Pozwól, że ja o tym zdecyduję.

— Jak tam sobie chcesz. Siedzi na Nowogrodzkiej.

— Dzięki — zrobiła w tył zwrot, gotowa pędzić na Nowogrodzką, gdy zatrzymał ją głos Antka:

— Do mnie też byś tak gnała?

— Do ciebie nie — rzuciła przez ramię, po czym dodała: — I nie jestem taka grzeczna, jak ci się wydaje.

Chwilę później łapała autobus do Śródmieścia. W ciasnym wnętrzu, pełnym spieszących w tym samym kierunku ludzi, poczuła, że płacze.

*Raz w życiu bałam się tak strasznie, jak wtedy, gdy szłam ponurą ulicą Nowogrodzką pod numer 27<sup>1</sup>, gdzie mieściło się więzienie dla młodocianych przestępców, poprawczak. Siedem lat temu czekała na mnie w drzwiach klatki schodowej matka, a ja wracałam z „Wejścia smoka”. Dziś nie czekała mnie żadna kara, jednak bałam się tego, kogo zastanę za murami z czerwonej cegły, zwieńczonymi drutem kolczastym: mojego przyjaciela, a raczej osoby, którą się stał.*

*Ban-dzior, ban-dzior — to słowo pobrzmiwało w rytm moich kroków.*

*Serce waliło mi dwa razy szybciej, gdy przekraczałam strzeżoną przez uzbrojonego strażnika bramę dawnych koszar. Miejsce wprost z sennych koszmarów... W momencie, gdy znalazłam się w środku, już chciałam stamtąd uciekać, jednak... nie mogłam. Byłam winna Wiktorowi to jedno spotkanie. Za nasze ostatnie, kiedy ja odjeżdżałam do oazy bezpieczeństwa i spokoju z moją babcią, jego zostawiając w piekle.*

— Byłaś umówiona na widzenie? — ostry głos strażnika osadził Weronikę pośrodku korytarza, kończącego się ciężkimi, stalowymi drzwiami.

— Nie. Przepraszam, ale dosłownie przed kwadransem dowiedziałam się, że mój... przyjaciel... tak, przyjaciel tutaj jest. Proszę pozwolić mi się z nim zobaczyć. Przyjechałam z bardzo daleka, żeby go odnaleźć. Aż z Białegostoku. Trzy godziny w pekaesie i potem jeszcze trochę tutaj, w Warszawie... — Głos jej drżał ze zdenerwowania, ale nie zamierzała poddać się bez walki. — Bardzo pana proszę.

Wielkie oczy, wpatrzone w twarz strażnika, wypełniły się łzami, a te potrafią zmiękczyć serce każdego służbisty.

— Wiesz chociaż, za co Helert został osadzony?

Zaprzeczyła. Antek pewnie wiedział, dozorca Kaźmirz również, jednak żaden z nich nie raczył podzielić się z Weroniką

tą tajemnicą.

Mężczyzna przyglądał się szczupłej, skromnie ubranej dziewczynie z mieszaniną ciekawości i współczucia. Nie zazdrościł nikomu przyjaciół w zakładzie poprawczym, choćby byli tak... nieprzystający do tego miejsca, jak Wiktor.

— On sam ci to powie, jeśli zechce rzecz jasna. Teraz są zajęcia resocjalizacyjne. Znajdziesz swojego przyjaciela bodajże w bibliotece.

Uniosła brwi. To w poprawczakach mają coś takiego jak biblioteki? Właściwie dlaczego nie... Są tutaj zamknięci i tacy, co lubią czytać. Chyba.

— Pokażę ci drogę, chodź za mną. Na zaczepki chłopców nie zwracaj uwagi. W tym miejscu niewiele dziewcząt widują. Dasz radę?

— Dam.

Ruszyli wąskim korytarzem, rozjaśnianym skąpym światłem żarówek, zamkniętych w metalowych klatkach. Ich kroki rozbrzmiewały przykrym echem, odbijającym się od ścian pomalowanych musztardową farbą. Miejsce to woniało silnym środkiem odkażającym, wilgocią, która wgryza się w mury od dziesięcioleci i czymś jeszcze, mało uchwytnym, co wyobraźnia Weroniki rozpoznała jako rozpacz. A może beznadzieję? Ona, Weronika, sama tak właśnie się tu czuła: jakby pozbawiono ją nadziei, że wyjdzie z tego miejsca cała i zdrowa, za to wypełniono jej serce rozpaczą.

Drzwi, odgradzające wejście od części mieszkalnej, uchyliły się bezszelestnie, wpuszczając ich do środka, ale zatrzasnęły z takim hukiem, że serce stanęło Weronice w pół uderzenia, po czym podjęło pracę na znacznie szybszych obrotach.

Z mijanych pokoi — a może cel, dziewczyna nie zaglądała do środka — zaczęli wyglądać na korytarz nastoletni chłopcy, chudzi, wystraszeni, poszarzali na twarzach, albo przeciwnie: umięśnieni niczym gladiatorzy, rośli i... niebezpieczni. Weronika nie chciała się z którymś z nich znaleźć sam na sam. A jednak za chwilę to uczyni.

Za jej plecami rozlegały się ciche gwizdy, padały sprośne komentarze, mimo to stawiała krok za krokiem, trzymając się

prosto i nie rozglądając na boki.

— Na końcu korytarza, drzwi po prawej. — Strażnik wskazał jej drogę, po czym zrobił w tył zwrot i warknął do patrzących za nimi chłopaków: — Przedstawienie skończone. Wracać do swoich zajęć! Ale już!

Ciekawskie głowy zniknęły. Zapanowała cisza.

Weronika ruszyła ku drzwiom, które jej wskazano. Zwykłym, drewnianym, z tabliczką „Biblioteka”. Nacisnęła klamkę, wstrzymując oddech, weszła do środka i nagle znalazła się w miejscu kochanym i znajomym. Takim jak tysiące innych. Królestwie książek.

Młody mężczyzna, który siedział za biurkiem, coś notując, nie podniósł głowy, gdy weszła. Zupełnie, jakby nie zauważył tego faktu, albo absolutnie nie był ciekaw, kto poza godzinami widzeń wchodzi do biblioteki.

Weronika rozejrzała się po niewielkim pomieszczeniu, gdzie oprócz biurka znajdowały się trzy stoły, uginające się od stosów książek, przy nich puste krzesła i regały pełne woluminów, stojące pod ścianami. Oprócz mężczyzny przy biurku, pokój był pusty.

— Przepraszam bardzo — zaczęła dziewczyna. — Szukam...

W tym momencie mężczyzna poderwał głowę. Oczy Weroniki zognomniały. Miała przed sobą Wiktora Helerta. Swego przyjaciela z dzieciństwa. Ale w tym młodym człowieku nie było nic z dziecka, które znała. Kompletnie nic.

Wstał, odsuwając gwałtownie krzesło. Ona tkwiła bez ruchu, zupełnie zszokowana, niczym żona Lota. Wiktor — ta chudzina, najmniejszy z całej klasy — był dziś roslym, świetnie zbudowanym chłopakiem. Weronikę przewyższał o dobre trzydzieści centymetrów, nawet od Antka był chyba wyższy, a może po prostu tamten nie patrzył na dziewczynę z góry, niczym na insekta?

— Co ty tu robisz? — padło nagle niskim, bardzo męskim głosem. Bynajmniej nie radosnym. — Kto ci powiedział, że tu jestem?

Zamrugnęła, jak księżniczka, którą budzą ze snu uderzeniem w twarz, zamiast pocałunkiem. Próbowwała się uśmiechnąć, ale

marnie jej ten uśmiech wyszedł. Prawdę mówiąc, była przerażona. I jednocześnie zafascynowana nowym, mrocznym wcieleniem Helerta.

— Przyjechałam niedawno — zaczęła nieśmiało, błagając go wzrokiem, żeby odpuścił ten ostry ton, powrócił do dawnego „ja”. — Odwiozłam babcię do szpitala, a sama zaczęłam cię szukać. Dawny znajomy wskazał mi... to miejsce. — Potoczyła dookoła nieszczęśliwym spojrzeniem, chociaż biblioteka sprawiała całkiem swojskie wrażenie.

On stał nieruchomo za biurkiem. Tylko pięści zaciskał coraz mocniej, aż knykcie zaczęły bieleć.

Patrzyła na jego pociągłą twarz o męskich, ostrych rysach, wpatrywała się w czarne źrenice, omiatała spojrzeniem włosy, przycięte krótko, ale nie na łyso, na całe szczęście nie, i myślała: „Co ty tu robisz, przyjacielu? Za co cię zamknęli? Kogo skrzywdziłeś albo kto skrzywdził ciebie, że stoimy tu, niczym dwoje śmiertelnych wrogów, zamiast spacerować po Łazienkach i opowiadać sobie wydarzenia ostatnich sześciu lat, pomijając te okropne i zaśmiewając się z radosnych? Co się z nami stało... ze mną... z tobą... że jesteśmy dwojgiem zupełnie obcych ludzi, zamiast pozostać przyjaciółmi na śmierć i życie tak, jak kiedyś to sobie przyrzekliśmy?”.

Nagle zrobiła krok do przodu, potem drugi, obeszła biurko i wreszcie, mając go blisko, na wyciągnięcie ręki, uniosła dłoń, dotknęła koniuszkami palców jego policzka i wyszeptwała miękko, z czułością, jakiej dawno nie miała w sercu:

— Wiktorze, to ja.

Chwycił ją za rękę tak gwałtownie, aż drgnęła przestraszona. Przycisnął usta do wnętrza jej dłoni, zamknął oczy i trwali tak przez parę uderzeń serca. Ona — wstrzymując oddech, żeby go nie spłoszyć, nie zrazić, na miłość boską! On — walcząc z niemęskimi łzami.

Wreszcie powoli uniósł powieki i spojrzał na Weronikę tak, jak dawny Wiktor. Jej przyjaciel i obrońca.

— Nie powinnaś była tu przychodzić — odezwał się równie miękko, jak przed chwilą ona. — To nie jest miejsce dla... dziewczyny takiej jak ty.

Musnął palcami jej policzek, pogładził delikatnie włosy barwy płomieni.

— Urosłaś. I wypiękniałaś.

Zarumieniała się, zawstydzona nieoczekiwanym komplementem, ale i szczęśliwa.

— Ty... ty też — wyjąkała. — Jesteś wyższy nawet od Antka. I o niebo przystojniejszy.

Zaśmiał się cicho, nieco złośliwie.

— Gdybyś dzisiaj miała wybierać, czyją dziewczyną będziesz w trzeciej klasie...?

— Zawsze wybierałam ciebie, Wiktor. Nigdy w to nie wątp.

Uśmiech zgasł.

— Gdy odjeżdżałaś w siną dal, zostawiając mnie samego, również?

— Myślałam, że ty, właśnie ty, mnie zrozumiesz.

— I tak było, jednak... Gdybym to ja odjechał, zostawiając cię w tym całym gównie?

Aż się wstrząsnęła na wspomnienie już nie kaszy i klęczenia z rękami w górze, a obleśnego faceta, wystającego z petem w zębach w oknie jej pokoju.

— Wybaczysz mi kiedyś? — Spojrzała na chłopaka z błaganiem w zielonych oczach.

Zapatrzył się w nie. Przez długą chwilę nie mógł oderwać oczu od tych źrenic. Miał już w swym krótkim, szesnastoletnim życiu parę dziewczyn, ale żadna nie zajęła w jego sercu miejsca Weroniki, czy raczej wspomnienia po niej.

— Dawno ci wybaczyłem — odrzekł i uśmiechnął się ponownie. — Usiądźmy może, bo sterczymy tu niczym... Nieważne. Zrobię miejsce przy stole. Poczestowałbym cię herbatą, gdybyśmy spotkali się w innych okolicznościach, ale sama rozumiesz: to nie jest Hotel Victoria.

— Nie dbam o herbatę. Cieszę się, że mogę побыć z tobą i porozmawiać — odparła.

Usiadł naprzeciw niej, co dziewczynę nieco rozczarowało. Chciała mieć przyjaciela blisko, tuż obok, żeby móc dotykać jego ramienia, gdy będzie mu opowiadała o życiu w Orławie, klepnąć go od czasu do czasu w kolano, gdy roześmieje się z

jakiegoś żartu, poczuć jego dłoń na policzku, gdy on będzie odgarniał kosmyk włosów z jej oczu... Po prostu być z nim.

A on właśnie dlatego zajął miejsce po drugiej stronie stołu: Weronika uważała go za przyjaciela z dawnych lat, chłopczyka, którym w jej oczach pozostał, on zaś nie był już chłopcem. Bliskość dziewczyny, o której marzył w długie samotne noce i którą wciąż nosił w sercu, była dla młodego mężczyzny wstrząsem i wyzwaniem. Hormony, buzujące w nastoletnim ciele, domagały się czegoś więcej, niż karmienia oczu jej widokiem, a na nic więcej nie mógł sobie Wiktor pozwolić. I to nie ze względu na oko kamery w nich wycelowane, a przez wzgląd na nią — Weronikę.

— Powiedz, Wiktor, co się stało? — poprosiła. Co ten człowiek zrobił, że zamknęli go w więzieniu? Bo jakby tego miejsca nie nazywać, było to więzienie przecież!

Nie uciekł wzrokiem, jak zrobiliby to każdy, który wstydzi się swego uczynku. Albo więc nie znał takiego uczucia — być może przez te lata wyżył się wszelkich uczuć — albo...

— Pobiłem ojca — odrzekł krótko. — Prawdę mówiąc skatowałem mendę niemal na śmierć.

— Och... — westchnęła tylko, choć w głębi ducha takiej odpowiedzi się spodziewała.

— Rok, trzy miesiące i siedem dni temu w pijackim widzie cisnął moją matką o ścianę, a ja nie wytrzymałem i rzuciłem się na niego. I tłukłem dotąd, aż sąsiedzi mnie odciągnęli. Żałuję, Nisia. Naprawdę żałuję, że nie zapanowałem nad sobą, ale wiesz dlaczego? Nie dlatego, że ten bydlak parę miesięcy spędził w szpitalu, należało się skurwielowi. Żałuję, bo moja matka od tamtej pory nazywa mnie bandytą i nie chce znać. Ona, w której obronie stanąłem, zeznawała w sądzie przeciwko mnie, plując jadem, a z ojca robiąc prawego obywatela, ukochanego mężunia. W pewnym momencie, słuchając jej bredni, zacząłem się śmiać. Jakims takim opętańczym śmiechem. Sędziemu bardzo się to nie spodobało. Matka, szlochając, wylała na mnie jeszcze więcej pomyj i cóż... wtedy widziałem ją po raz ostatni. Nie przyszła na ogłoszenie wyroku, nie odwiedziła mnie tutaj. I jakoś z tego powodu nie płaczę.

Słuchała tych cichych, pełnym skrywanego cierpienia słów z sercem zmrożonym współczuciem dla Wiktora i oburzeniem na resztę. Nie miała zamiaru oceniać przyjaciela. Gdyby ktoś rzucił jej Bunią o ścianę, ona rzuciłaby się na tego kogoś z nożem, siekierą czy gołymi pięściami, mniejsza o konsekwencje. I pewnie skończyłaby w podobnym przybytku. A babcia nigdy nie stanęłaby przeciwko Weronice. Nigdy! Złego słowa nie powiedziałałaby na swoją wnuczkę, bo po prostu ją kochała. Jak więc cierpieć musi Wiktor, od którego odwróciła się własna matka? Nie dość, że pokutuje za jej błędy, bo to ona pozwalała się okładać prawdziwemu bandziorowi, ojcu Wiktora, to jeszcze przez nią Wiktor siedzi w poprawczaku, bo w jej obronie bandziorowi przyłożył! I to Wiktora tak nazywają na mieście, a nie tamtego bydlaka!

Aż zgrzytnęła zębami na taką niesprawiedliwość. Nie przyszło jej do głowy, że przyjaciel może siebie wybielać, wmawiać jej, że jest niewinny — więzienia pełne są „niewinnych” — bo przecież powiedział jasno: „Pobiłem ojca niemal na śmierć i żałuję tylko dlatego, że matka, zamiast wdzięczności, okazała czarną niewdzięczność”.

Mówił, że nie płacze z tego powodu, ale każde jego słowo brzmiało jak niewykrzyczany ból, każdy oddech, jak szloch. Owszem, cierpiał przez rok, trzy miesiące i siedem dni, ale nikomu tego okazać nie mógł.

Wyciągnęła do niego dłoń. Uchwycił się jej, jakby tylko to mogło uratować go przed utonięciem.

— Jak ci tu jest? — zapytała łamiącym się głosem. Jej samej chciało się płakać, a przecież chciała mu tyle powiedzieć. I od niego tyle usłyszeć...

Wzruszył nonszalancko ramionami.

— Dzięki tobie całkiem nieźle. Pamiętasz, jak poszliśmy do kina na „Wejście smoka”? — Nie musiał pytać. — Umiem walczyć, potrafiłem wymusić na chłopakach respekt.

Wolał nie mówić tej niewinnej duszyczce, jak pierwszej nocy próbowali go zgwałcić we czterech, a on walczył z czterema naraz dotąd, aż musieli odpuścić. Takie opowieści musiał zatrzymać przy sobie.



O tym, jak kwitła w poprawczaku drobna przestępczość, wymuszanie haraczy, usługiwanie „starszym”, znęcanie się nad „kotami”, wreszcie przemyt „dóbr” zakazanych, również wolał milczeć. On trzymał się od takich rzeczy z daleka. Dzięki mistrzowskiemu stopniowi w taekwondo pozwalano mu na to. Z biegiem czasu stał się swego rodzaju rozjemcą czy sędzią: niewikłany w spory, klany albo kliki, pozostawał obiektywny i to do niego — bo przecież nie do wychowawców! — zwracali się współosadzeni, by załagodził konflikt. Na rozlew krwi nikt sobie tutaj nie mógł pozwolić, a młodych ludzi adrenalina i testosteron roznosiły...

— Jak dużo ci zostało do wyjścia? — pytanie Weroniki wyrwało go z zamyślenia.

— Dostałem sześć lat. Wyjdę, gdy będę miał dwadzieścia jeden, o ile wcześniej mnie nie przeniosą.

— Do innego poprawczaka?

— Do więzienia — rzucił sucho, jej z gardła wydarł się krótki, pełen zgrozy jęk. Poprawczak, to jednak tylko poprawczak, natomiast więzienie...

— Ale... Nie ma jakichś okoliczności łagodzących? Wcześniejszego zwolnienia za dobre sprawowanie?

— Skąd wiesz, że się dobrze sprawuję? — Uniósł kącik ust w kpiącym uśmiechu. — Pokładasz we mnie więcej wiary, niż jestem tego wart.

— Wiktor — mocno ścisnęła jego dłoń — jesteś taką samą ofiarą przemocy domowej jak ja. Nie twój ojciec jest ofiarą, a właśnie ty! Nikt mu nie kazał katować was przez całe lata! Przecież nie rzuciłeś się na niego z pięściami, bo szajba ci bez powodu odbiła czy miałeś parszywy dzień w szkole! Zgadza się?

— Zgadza. Parę razy byłem bliski wybuchu, ale potrafiłem się opanować. Odciągałem go od matki, odpychałem od siebie, ale tamtej nocy... Gdy zobaczyłem, jak zakrwawiona i nieprzytomna odbija się od ściany... Po prostu szlag mnie trafił. I chciałem to zrobić, rozumiesz? Chciałem go tłuc pięściami dotąd, aż sczeźnie. Żałuję, że przeżył.

— Nie mów tak. — Poglądziła go po ramieniu. — Nie jesteś mordercą. Miałbyś przecież wyrzuty sumienia, że zabiłeś

człowieka.

— Bestię, nie człowieka. I nie. Nie miałbym.

Nic nie potrafiła na to odpowiedzieć. W niej samej nie było nienawiści do rodziców, tylko żal. Bezbrzeżny żal. Ale też ona przeżyła inny rodzaj piekła, niż Wiktor. I nie musiała dzień w dzień patrzeć, jak bestia znęca się nad kimś, kogo Weronika kocha.

Ostry dzwonek przerwał panującą między nimi ciszę. Milczeli nie dlatego, że nie mieli sobie nic do powiedzenia. Przeciwnie. Mogliby spędzić w swoim towarzystwie, rozmawiając albo i nie, jeszcze długi czas, ale Wiktor podniósł się niechętnie, obszedł stół i stanął przed dziewczyną.

— Wzywają nas na jakieś durne zajęcia. I tak dobrze, że pozwolili ci na odwiedziny poza godzinami.

— Strażnik, który mnie wpuścił, jest w porządku.

Prychnął tylko. Dla osadzonych żaden ze strażników nie był „w porządku”.

Przyciągnął dziewczynę lekko do siebie. Tak, że nie dotykała go ani skrawkiem ciała, lecz on mógł wdychać jej zapach. Truskawka? Czy może zielone jabłuszko? Aż przymknął oczy z zachwytu. W następnej chwili, czując jak budzi się w nim wściekłe pożądanie, odsunął się o krok.

Przed chwilą miała wrażenie, że Wiktor chce ją pocałować. Spojrzała mu w oczy pytająco, ale pokręcił tylko głową.

— Dziękuję, że przyszłaś — odezwał się nieswoim głosem. — Odprowadzę cię aż do wyjścia. Pod moją opieką będziesz bezpieczna.

— Zawsze byłam — odrzekła, dotykając opuszkami palców jego policzka.

Przytrzymał ją za nadgarstek, ale zaraz potem odepchnął lekko, jakby nie życzył sobie jej dotyku.

Zraniona i nic nierozumiejąca ruszyła do drzwi. On dwa kroki za nią. Już kładła dłoń na klamce, gdy... odwrócił ją do siebie jednym szarpnięciem i zatopił usta w jej ustach. Całował długo, z desperacją, jakby miał tę dziewczynę w ramionach nie tylko pierwszy, ale i ostatni raz. Z trudem oderwał się od warg smakujących truskawką, a jednak!, chwilę uspokajał oddech, a

potem raz jeszcze pocałował jej miękkie, ciepłe usta i wyszeptał:

— Dziękuję.

Ten pocałunek będzie musiał im wystarczyć na długi, długi czas.

Z „*Domu wschodzącego słońca*” wyfrunęłam jak na skrzydłach. Nie tylko dlatego, że wylatywałam na wolność, podczas gdy Wiktor zostawał za murami okropnego gmaszyska, zwieńczonymi drutem kolczastym, nie! Pierwszy raz w swoim piętnastoletnim życiu byłam zakochana!

Do tej pory moimi „miłościami” byli chłopcy z plakatu (ach, ten Atreyu z *Niekończącej się opowieści*” i Thomas Anders z *Modern Talking...*), tego zaś dnia, wciąż czując na ustach gorący dotyk warg Wiktora, po prostu unosiłam się nad ziemią i frunęłam. Nie mogłam uwierzyć w to, co się stało, przytykałam palce do warg i frunęłam.

„Pocałował mnie chłopiec, którego kocham!”, chciałam wykrzyknąć całemu światu. „Kocham i jestem kochana!”, chciałam wyśpiewać mijającym mnie obojętnie smutnym ludziom.

W autobusie, którym wracałam do szpitala, już zaczęłam się zastanawiać, kiedy znów będę mogła odwiedzić Wiktora i jak ukryć to przed babcią. Nie wiem dlaczego — chyba wszystkie zakochane nastolatki tak mają — chciałam trzymać tę swoją pierwszą, obłądną miłość w sekrecie. Zupełnie jakby wyciągnięcie jej na światło dzienne miało sprawić, że pryśnie niczym złoty sen. „Nawet Buni nie możesz nic powiedzieć!”, powtarzałam sobie w duchu. „Nawet jej!”.

Na szpitalnym korytarzu przyglądałam włosy, żeby ponownie wyglądać jak grzeczna, niewinna dziewczynka, lecz gdy tylko rzuciłam okiem w lustrzane odbicie, musiałam zaśmiać się ze swojej naiwności: nic, żadne zabiegi, nie ukryją błyszczących szczęściem oczu i zarumienionych policzków. Pocałunek Wiktora nie zostawił śladu na moich ustach, ale na sercu — tak. Już na zawsze.

## ROZDZIAŁ XII

### STEFANIA



Recepcjonistka wskazała Weronice salę, na której leżała Stefania. Dziewczyna pobiegła w kierunku schodów — windy nie wiedzieć czemu nie działały — i zaczęła gnać na górę. Taki bieg dobrze jej zrobi. Tym wytłumaczy babci zaczerwienione policzki.

Stefania spoczywała na szpitalnym łóżku. Pod oknem. Dziewczyna już od progu wiedziała, że nie jest dobrze. Na palcach, by nie zbudzić innych chorych, podeszła do babci, pochyliła się i ucałowała ją w czoło. Kobieta uniosła powieki i próbowała się uśmiechnąć krzepiąco, widząc zaniepokojenie w oczach wnuczki, ale bladziutki był ten uśmiech.

— Buniu, jak się czujesz? Miałaś badania? — zaszepiała dziewczyna, odgarniając z czoła babci niewidzialny kosmyk włosów. Zupełnie tak, jak Stefania, gdy Nika była chora. Ten gest był drobny, zwyczajny, ale przecież pełen miłości i troski.

— Całkiem dobrze, dziecinko, całkiem dobrze. A badania... Wiesz, jak to jest w moim wieku. Zawsze coś szwankuje.

— Kiedy cię wypiszą? Dzisiaj mogłabym spać w hostelu na Czerniakowskiej, jest tani i przyzwoity.

— Serduszek, chciałabym, żebyś wróciła do domu. Doktor Pawłowicz rzucił okiem na wyniki i stwierdził, że trochę tu z nim zostanę. Kilka dni co najmniej. Nie ma sensu, żebyś czekała nie wiadomo jak długo.

— Kilka dni?! — Weronika mimo wszystko podniosła głos. — To miały być rutynowe badania! Dlaczego chcą cię zatrzymać na dłużej? Buniu... ty chyba nie mówisz mi prawdy. — Ujęła dłoń babci i przytuliła do policzka. Jeszcze się nie bała, ale strach czekał przyczajony, gotów, żeby skoczyć do gardła.

— Kochanie, doktor nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego, po prostu chce dla mnie jak najlepiej. Podreperuje moje serce, wypisze i najdalej za tydzień będę w domu, tak?

Weronika, nieco spokojniejsza, przytaknęła. Pomysł, by sama gospodarowała przez parę dni w chatce Baby Jagi, zaczął się jej

nawet podobać. Może zorganizuje domową imprezę dla kilku przyjaciół z Orławy i okolic? Babcia nigdy nie miała nic przeciw takim zabawom, więc i teraz nie powinna się gniewać. Zresztą nie musi o niczym wiedzieć. Przecież wysprzątają dom na błysk przed jej powrotem...

Posiedziała z babcią jeszcze chwilkę i musiały się pożegnać, jeśli Weronika miała zdążyć na ostatni pociąg do Białegostoku.

— Wrócę pojutrze, dobrze, Buniu?

— Nie ma potrzeby, żebyś co dwa dni tłukła się autobusami taki kawał, dziecinko.

— Przyjadę i przywiozę kosz domowych smakołyków.

— Ale doktor zalecił dietę!

— Przywiozę kosz domowych, dietetycznych smakołyków.

Stefania musiała się uśmiechnąć. Ucałowały się na pożegnanie. Weronika ruszyła do drzwi. Kobiety, leżące na sali, odprowadziły ją wzrokiem.

— Śliczna dziewczyna — odezwała się jedna z nich.

— Udana wnuczka — zgodziła się druga. — I jaka dbała o babcię — w jej głosie zabrzmiała źle skrywana zazdrość.

O niej dzieci i wnuki zapomniły, gdy tylko szpitalne drzwi się za nią zamknęły. Żywiła do nich o to urazę i niechęć, lecz może powinna była pomyśleć, dlaczego tak się stało? — Szybko się jej znudzą odwiedziny u starej — dodała zgryźliwym tonem.

Kobiety umilkły, każda pogrążona w swoich myślach.

Tymczasem Weronika, spiesząc na dworzec autobusowy, myślała tylko o jednym. O Wiktorze oczywiście i ich pierwszym pocałunku.

„Gdy pojutrze przyjadę w odwiedziny do babci, zajrzę także do niego”, postanowiła. „Dowiem się, kiedy są widzenia i przyjdę we właściwym czasie, żebym na pewno została wpuszczona, zaś do tego czasu... skoro stara maszyna do szycia jest sprawna i znajdę ją na strychu, spróbuję wyczarować sobie warszawską kreację. Jakiś materiał zawsze się znajdzie”.

Uradowana nowym zadaniem, przyspieszyła kroku.

Następnego dnia wstała skoro świt.

Wszystkie obowiązki spadły teraz na nią, ale wykonywała je ze śpiewem na ustach. Wydoiła obie krowy, nakarmiła prosięta,

sypnęła ziarna kurom. Gdy zwierzęta były oporządzone, mogła zająć się sobą. Śniadanie, potem sprzątanie w domu i na podwórzu — tak jak co dzień czyniła to babcia — wreszcie po południu znalazła czas, by wejść na strych, odnaleźć maszynę do szycia, znieść ją na dół i uruchomić.

Tak jak zapewniała Stefania: wszystko działało.

Uradowana dziewczyna przejrzała kufry pełne od dawna nieużywanych ciuchów, po czym zeszła na dół, niosąc naręcze starych sukienek. Szczególnie dwie wpadły jej w oko. Jedna czarna, z połyskliwego weluru, druga nijakiego koloru, za to z ładną złotą podszewką.

Wieczorem Weronika, dumna z siebie i szczęśliwa, przymierzała przed lustrem rozkloszowaną, długą do kostek spódnicę ze złoto-czarnych falban. „Prezentuję się jak warszawianka!”. Okręciła się dookoła. Spódnica zawirowała wokół jej szczupłych nóg. „Wiktor będzie zachwycony!”. Zaśmiała się. Przytknęła dłonie do policzków, patrząc na swoje odbicie w dużym lustrze. Po raz pierwszy w życiu wydała się sobie ładna. Naprawdę ładna! Zatańczyła jeszcze „Walc kwiatów” Czajkowskiego — gdy zamknęła oczy, mogła sobie wyobrazić, że tańczy w ramionach Wiktora — wreszcie, zmęczona całym dniem pracy, padła na łóżko i natychmiast zasnęła, dotykając opuszkami palców gładkiej, złotej materii.

Budzik poderwał ją na nogi jeszcze przed świtem. Jeśli miała jechać do Warszawy, do babci i do Wiktora, musiała oporządzić zwierzęta, a potem spieszyć na pekaes. Ochlapała twarz zimną wodą, narzuciła na koszulę nocną sweter z szarej włóczki i, znów radosna, podśpiewując te same piosenki co wczoraj, zaczęła krzątać się po gospodarstwie.

Po szybkim śniadaniu wpadła do łazienki, umalowała delikatnie oczy cieniem do powiek i tuszem do rzęs, który poprzednio kupiła w Warszawie, włożyła białą bluzkę, swą nową, złoto-czarną spódnicę i mogła ruszać na podbój świata i Wiktorowego serca.

## ROZDZIAŁ XIII

WIKTOR



— Nie możesz się z nim widzieć, dziewczyno. — Strażnik przy bramie był nieubłagany. Weronika bliska łez od ładnych paru minut próbowała uprosić krótkie widzenie z Helertem. Na próżno. — Zrozum, odbywa karę. Nie ma widzeń.

— Jaką karę?! Za co?! Przecież... — Umilkła. Zabrakło jej argumentów.

Nie miała pojęcia, co się wydarzyło za murami poprawczaka po jej wyjściu, co znów zmalował Wiktor i jak został ukarany. Może siedzi w karczerze?! Zadrżała, otuliła się lichym paltkiem.

— Może mi pan chociaż powiedzieć, kiedy ta kara się skończy? — W jej głosie ponownie zabrzmiało błaganie, ale strażnik pokręcił głową.

— Idź już dziecko. To nie jest dobre miejsce dla dobrze wychowanych pańienek. Gdybyś była moją córką, zabroniłbym ci tu przychodzić i zadawać się z chłopakami pokroju Helerta.

Już miała odpysknać: „Na szczęście nie jestem pańską córką i będę się zadawała z kim zechcę”, ale ugryzła się w język. Ten człowiek był jej mimo wszystko życzliwy. Nie powinna go do siebie zrażać.

— Mogę napisać do Wiktora parę słów? Przekaze mu pan karteczkę ode mnie?

Skinął niezobowiązująco głową.

Przyklękła pospiesznie, żeby się nie rozmyślił, nakreśliła na kartce wyrwanej z notesu: „Wrócę za dwa dni. Czekał na mnie. Nika” i podała mężczyźnie złożony na pół karteluszek. Ten, nie zaglądając od środka, włożył liścik do kieszeni. Weronika podziękowała mu serdecznie i, nieco pocieszona, ruszyła w kierunku Marszałkowskiej, by złapać autobus do Anina.

Gdy tylko znikła mu z oczu, wyjął karteczkę z kieszeni, przeczytał krótki liścik i ze słowami: — Jeszcze takich kłopotów mi trzeba — podarł go na strzępy. Wiktor Helert bowiem stał się w poprawczaku na Nowogrodzkiej najbardziej znienawidzonym delikwentem. Znienawidzonym zarówno przez

osadzonych, jak i strażników.

Zaczął się wieczorem tego samego dnia, w którym odwiedziła go Weronika. Któryś z wychowawców obejrzał nagranie z biblioteki, namiętny pocałunek dwojga młodych odtwarzając sobie po kilka razy, zawołał innego, żeby też sobie pooglądał, bo na służbie nudy były straszne. Owo nagranie jakimś cudem wydostało się z dyżurki i w momencie, gdy Wiktor wracał spod prysznic, huczał już o nim cały poprawczak.

Z początku nie miał pojęcia, co to za poruszenie. Atmosfera była gęsta od testosteronu. Młodzi mężczyźni nakręcali jedni drugich, dodając do historii coraz bardziej sprośne szczegóły. W tej historii Wiktor nie całował już całkiem niewinnie Weroniki, a bezczelnie rznął ją na stole i to tak, żeby było co oglądać w nagraniu z kamery.

— Te, ogier, opowiesz, jaka była? — Kolega z pokoju palnął Wiktora w ramię, gdy tylko ten przekroczył próg niewielkiego pomieszczenia.

Helert zmrużył oczy, nie rozumiejąc w pierwszej chwili pytania.

— Łapy przy sobie — warknął — bo ci je połamię.

— Nie bądź taki. Przecież chciałeś, żeby klawisze was widzieli. Powiedz, jaką ma cipkę? Jak pachnie? — Drugi zaczął chichotać.

Wiktor nagle zrozumiał. Doskoczył do niego, chwycił za szyję i syknął:

— Zamknij się, albo wepchnę ci te słowa do gardła!

— Jak tej cizi wpychałeś język? — Pierwszy, na razie bezpieczny, nie zamierzał odpuszczać. — Słodka dziurka Wiktora Helerta, gorąca szparka!

Kopnięcie przerwało mu w pół słowa. Chwycił się za bok i wrzasnął z wściekłością:

— Nie rzucaj się, Helert, bo tym razem nie we czterech, a w dziesięciu spuścimy ci taki wpierdol, że twoja laska cię nie pozna. Było się lepiej kryć, a nie pierdolić pannę do kamery!

Tak to się zaczęło.

Skończyło się bijatyką na cały poprawczak, wzywaniem



karetek, ranami tłuczonymi, ciętymi i jakimi tylko chcesz, oraz kilkoma połamanymi kończynami.

Dyrektor, gdy sytuacja została opanowana, wezwał do siebie dwóch winowajców: Wiktora i strażnika, który naginając regulamin, wpuścił dziewczynę do środka.

— Ty — wycelował palcem w chłopaka, który pobity i zakrwawiony mimo wszystko starał się trzymać prosto — posiedzisz w izolatce do czasu, aż postanowię, co z tobą zrobić. Zaś pan... — spojrzał na strażnika, jak na pluskwę — ...może pożegnać się z premią. Na długi, długi czas.

Była to boleśnieszka od karceru. Strażnik posłał Helertowi pełne nienawiści spojrzenie, po czym pchnął go przed sobą do drzwi tak silnie, że chłopak wypadł od razu na drugą stronę.

Ze skutymi rękami nie mógł się bronić. Ciężkie drzwi izolatki zamknęły się za nim z głuchym hukiem. Osunął się po przeciwległej ścianie, objął kolana ramionami, i — czując nieznośny ból w całym posiniaczonym ciele — zaczął wspominać pocałunek, za który płaci taką cenę.

— Warto było, Nisia — wyszeptał popękany od ciosów wargami. — Kocham cię...

## ROZDZIAŁ XIV

### STEFANIA



Weronika, zupełnie nieświadoma dramatu, którego przyczyną niezamierzenie się stała, z mocnym postanowieniem, że wróci na Nowogrodzką pojutrze i będzie wracała dotąd, aż wreszcie pozwolą jej na widzenie z przyjacielem, biegła do szpitala.

Musi pochwalić się Buni swym dziełem! Czarno-złota spódnica, gdy dziewczyna okręciła się wokół osi, ot tak, z czystej radości życia, pięknie zafalowała wokół nóg. Jutro Weronika uszyje pasujący do niej płaszczyk. W kufrze widziała długi surdut z szarej wełny, jeśli znajdzie do niego czarny aksamit, będzie pięknie. Naprawdę pięknie!

Nie czekając na windę, wbiegła po schodach. Bez tchu wpadła do sali, gdzie przedwczoraj leżała Stefania i... stanęła w progu jak wryta. Łóżko pod oknem było puste. Trzy kobiety, które zajmowały pozostałe, patrzyły na dziewczynę oczami bez wyrazu.

Cofnęła się za drzwi, sprawdziła numer sali. Siódemka. Szczęśliwa siódemka. Ta sama przecież. Na drugim piętrze.

Z powrotem weszła do środka.

— Przepraszam, nie wiedzą panie przypadkiem, dokąd przenieśli moją babcię, Stefanię? — Wskazała puste łóżko.

Kobiety spojrzały na siebie spłoszonym wzrokiem.

— To ty, dziecko, nic nie wiesz? — zaczęła jedna z nich. Głos jej zadrżał. Weronika poczuła nagle zimną dłoń, zaciskającą się na sercu.

— Co mam wiedzieć?

— Twoja babcia, Stefania... Ona zmarła dziś w nocy — dokończyła cicho kobieta. — Miała zawał. Lekarze próbowali ją ratować, ale się nie udało. Zmarła.

Weronika wypadła na korytarz. Co ta baba bredzi! Trzeba... trzeba znaleźć lekarza. On będzie wiedział, gdzie przenieśli babcię.

Rozejrzała się w panice dookoła, serce trzepotało się w

uścisku śmiertelnie zimnej dłoni, jak ginący ptak. Wiedziała... jej umysł zdawał sobie sprawę, że kobieta nie kłamie, przecież nie mogłaby tak okrutnie z niej żartować, ale ona, Weronika, po prostu nie chciała, nie mogła przyjąć tego do wiadomości!

Na uginających się nogach ruszyła w stronę dyżurki pielęgniarek. Właśnie jedna z nich wychodziła na korytarz, niosąc tacę z lekami. Poznała Weronikę. Poznała wnuczkę pacjentki, która w nocy zmarła. Patrząc na śmiertelnie bladą twarz dziewczyny i rozszerzone obłądnym strachem źrenice, dotknęła współczującym gestem jej ramienia.

— Przykro mi — rzekła półgłosem — naprawdę zrobiliśmy, co w naszej mocy, by uratować twoją babcię.

Świat Weroniki rozprysł się na miriady odłamków w jednym, silnym spazmie bólu. Wbiła między zęby pięść i wgryzła się w nią, żeby nie krzyczeć. Nie wyć jak torturowane zwierzę. „Aaaa... Aaaaa...” z jej ust wyrwał się ni to jęk, ni szloch. Kolana ugięły się pod nią, musiała wesprzeć się plecami o ścianę, ale i tak osunęła się po niej do kłeczek. Ktoś coś mówił, pewnie ta pielęgniarka, ale Weronika odepchnęła ją, opętana z rozpacz, szoku, i niedowierzania! Buntu i nienawiści do Tego, kto zabrał jej babcię, jej kochaną Bunię, jedyną istotę, której na Weronice naprawdę zależało, która ją kochała całym sercem!

Oślepioną łzami postawiono na nogi. Poprowadzono do ciemnej, pustej sali. Podano gorzki płyn do picia i szklanek wody.

— Weź to, dziecko drogie. Pomoże... — Usłyszała głos lekarza.

Nic mi nie pomoże, rozumiesz?! Nic!!! Umarła moja babcia! Jedyna, jaką miałam! Jedyna, która mnie kochała! A ty mi dajesz syrop na nerwy?! Nawet nie zdążyłam się z nią pożegnać! Powiedzieć, jak bardzo jest mi droga! Jak ją kocham!

— G-gdzie ona jest? — wykrztusiła, próbując powstrzymać szczykanie zębami.

Całe ciało drżało jak w febrze. Lodowata dłoń ścisnęła już nie tylko serce dziewczyny, ale każdą, najmniejszą nawet komóreczkę. Każda komórka krzyczała z bólu.

— Jesteś gotowa się z nią pożegnać? — Lekarz zajrzał w

pociemniałe z rozpaczy źrenice dziewczyny.

Nie. I nigdy nie będę. Ale przecież muszę... Muszę zobaczyć Bunię po raz ostatni i powiedzieć jej... Powiedzieć to wszystko, czego nie zdążyłam...

Kiwnęła głową. Ujął ją pod ramię. Pomógł wstać. Ruszyła, podtrzymywana przez doktora, omiatając korytarze szpitala nic niewidzącym spojrzeniem. Schody prowadziły na parter, potem jeszcze niżej, do podziemi. Stalowe drzwi, potem drugie. Zimno jest coraz większe. Nie można złapać oddechu, bo powietrze jest tak mroźne, że aż parzy.

— To tutaj. Bardzo ją lubiłem i szanowałem, tę naszą Stenię. Była... niepokonana. — Doktor z żalem położył dłoń na nieruchomej postaci, okrytej białym prześcieradłem. — Zostań tak długo, jak chcesz, jak tego potrzebujesz — powiedział, zwracając się do dziewczyny, i odszedł.

Ona została sama. Z babcią, która już nigdy jej nie przytuli. Nigdy nie powie „serduszko moja kochana”. Nigdy nie położy dobrej, kochanej dłoni na jej rozpalonym czole Weroniki. Nie wysłucha zwierzeń. Nie dowie się, że Weronika jest zakochana...

Ujęła końce prześcieradła i, wstrzymując oddech, zsunęła je. Stefania spała, uśmiechając się leciutko.

— Babciu? — wyjąkała dziewczyna, zaskoczona tym uśmiechem i spokojem malującym się na kochanej twarzy.

Może... może oni się mylą? Dotknęła opuszkami palców policzka. Był lodowato zimny. Znów złamała ją rozpacz. Płakała, wyrzucając przez zaciśnięte gardło potok słów. Słów niezgody na śmierć babci.

Jak długo trwała ta rozpacz? Dotąd, aż sanitariusz, widząc posiniałe z zimna usta dziewczyny, siłą nie odciągnął jej od ciała zmarłej i nie wyprowadził na zewnątrz, wciskając Weronice do rąk kubek z gorącą herbatą.

Usiadła na ławce w parku otaczającym szpital i... trwała tak bez ruchu wiele godzin. Herbata dawno wystygła. Pacjenci przychodzili i odchodzili. Czasem ktoś śmiał się, ktoś płakał, ktoś o coś Weronikę pytał albo i nie... Może to wszystko się otepiałemu umysłowi zdawało? Może śmierć babci, która dwa

dni temu przyjechała do tego szpitala na badania, zwykle badania!, nie zdarzyła się naprawdę? Była koszmarnym snem, z którego Weronika nie może się obudzić?

Uszczypnęła się w zdrętwiałe z zimna przedramię. Zabolęło. To nie był sen.

Musiała wstać. Wstać i... iść. Dokądś.

Rozejrzała się półprzytomnie po opustoszałym parku. Słońce nadal przeświecało przez korony drzew, ale jasny, pełen ciepła, bezpieczny świat Weroniki, który wyczarowała dla niej babcia Stefania, nagle zgasł. Przestał istnieć.

Ruszyła w stronę bramy. Wyszła na ulicę. Dom. Musi dostać się do domu. Do mamy. Mama... ona też straciła babcię Stenię. Pocieszają się nawzajem, Weronika poczuje dobre, kochane ramiona, które ją utulą, usłyszy czuły głos, który zapewni, że wszystko będzie dobrze, ból kiedyś przeminie, trzeba tylko dać mu na to czas.

Wędrowała przez poszarzałe ulice Warszawy aż do zmierzchu. Ostatkiem sił dowlokła się na Powiśle, do swojej kamienicy, na drugie piętro. Nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły. Weszła do środka. Owionął ją smród wódki i niemytego ciała. Matka nagle się przed nią zmaterializowała. Weronika podniosła na nią nieskończenie smutne oczy, a ta... zamiast wziąć córkę w ramiona, ukoić jakoś jej rozpacz, może zapłakać razem z nią, wybełkotała:

— Co ty tu, do kurwy nędzy, robisz?

## ROZDZIAŁ XV

### WERONIKA



Pogrzeb Stefanii miał miejsce tutaj, na maleńkim cmentarzu w Orławie. Przybyli wszyscy: mieszkańcy wsi, dawni uczniowie „pani uczycielki”, jej koledzy z czasów konspiracji, przedstawiciele kuratorium oświaty, sołtys z rodziną. I Weronika. Stała przy trumnie babci i wodziła dookoła wzrokiem sarny złapanej w sidła. Nierozumiejącym, przerażonym, pełnym bólu i rozpacz. „Babciu”, modliła się bez słów. „Pomóż mi znieść to wszystko. Nie chcę odchodzić stąd bez ciebie. Nie mam dokąd. Proszę, zrób coś. Cokolwiek!”.

Nasi najdrożsi, najukochańsi zmarli mają taką moc. Pytanie tylko, czy my tutaj, na Ziemi, potrafimy się jej poddać?

Rozbrzmiały pierwsze słowa „Ojcze nasz”. Weronika powtarzała je machinalnie, nie rozumiejąc ich sensu, nie zastanawiając się nad nimi. Gdy doszła do „Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”, przeniosła spojrzenie z trumny na matkę. Stała w drugim rzędzie. Przeciwsłoneczne okulary ukrywały przepite, zaczerwienione oczy. Obok stał jej „narzeczony”, którego Weronika poznała tamtego strasznego wieczoru, gdy wróciła ze szpitala. Wtedy patrzył na półprzytomną z bólu dziewczynę, jak na sztukę mięsa, chwilę przed tym, jak wbije w nią widelec. Dzisiaj również.

Odwróciła wzrok.

„Nie mogę tego zrobić! Po prostu nie mogę! Nie zamieszkać z nimi!!!”, przemknęła jej przez umysł spanikowana myśl.

Jednak nie miała wyboru. Sołtys dał dziewczynie trochę czasu na otrząśnięcie się z żałoby, lecz i tak musiała się w końcu wyprowadzić.

— Stefania, twoja babcia, dzierżawiła tę chatę bezpłatnie od gminy, jako emerytowana nauczycielka, ale ty, wybac szczerość, nie masz prawa tu pozostać. Chyba, że zapłacisz czynsz. No i zamieszkać z kimś pełnoletnim, bo dzieciom domów nie wynajmujemy. Rozumiesz to, dziewczyno, prawda?

Wzruszyła wtedy ramionami, ukrywając pod tym

nonszalanckim gestem strach, w jakim żyła od śmierci babci. Strach przed powrotem do rodzinnego domu. Dzisiaj, stojąc nad grobem Stefanii i patrząc w jego czarną czeluść, miała ochotę rzucić się w nią i tam pozostać. Wolała być pogrzebana żywcem, niż przez następne dwa lata znosić obecność fagasa matki. Jego lepki wzrok, klejący się do ciała dziewczyny. Spoczone łapy, które przycisnęły ją na powitanie za mocno, zbyt niestosownie, jak na dorosłego faceta, który obejmuje niepełnoletnią dziewczynę, córkę swojej konkubiny...

Weronice napłynęły do oczu łzy, chociaż była pewna, że przez te dni wypłakała już wszystkie.

„Babciu, proszę...”, pomyślała po raz ostatni, nie mając nadziei na nic.

Grabarze opuścili trumnę do grobu. Weronika cisnęła pierwszą grudę ziemi. Głucho uderzyła w sosnowe drewno.

„Żegnaj, Buniu. Zawsze będę cię kochać”.

Odwróciła się i, pocieszana szeptami zgromadzonych żałobników, powłokła się do chatki Baby Jagi. Jedyne miejsce, które w całym jej życiu było dla niej domem. Prawdziwą, bezpieczną przystanią.

Piip. „Nie mogę teraz odebrać telefonu. Proszę o pozostawienie wiadomości”. Piip.

Piip. „Nie mogę teraz odebrać telefonu. Proszę o pozostawienie wiadomości”. Piip.

Weronika leżała zwinięta na łóżku w swojej sypialni i słuchała głosu babci, nagranych na automatyczną sekretarkę. Nie miała już łez ani siły na rozpacz. Po prostu trwała.

Mijał czwarty dzień od pogrzebu. Wróciła z cmentarza, ściągnęła z grzbietu przemoczone palto i nie mając nic więcej do zrobienia — zwierzętami zajęli się sąsiedzi, gospodarstwo stało puste i ciche — po prostu padła na łóżko, przyciągnęła do siebie automatyczną sekretarkę i tuląc policzek do plastikowego pudełka, trwała... od czasu do czasu naciskając guziczek odtwarzania wiadomości. Głos babci przynosił ulgę. Choć na chwilę.

Sąsiedzi zaprosili ją na obiad. Gdy odmówiła, zapewniając, że nie jest głodna, przynieśli rosół w słoiku i owinięty gazetami

garnuszek z gulaszem i kaszą gryczaną. Podziękowała. Zamknęła za nimi drzwi. Wróciła do sypialni.

Od tygodnia nie była w stanie nic przełknąć. Nawet pragnienie przestało ją męczyć. Słabła.

Piip. „Nie mogę teraz odebrać telefonu. Proszę o pozostawienie wiadomości”. Piip.

I tak było dobrze.

Pukanie do drzwi wyrwało ją z ni to snu, ni czuwania. A może zaczęła powoli umierać?

Nie ruszaj się. Nie odzywaj. Ten ktoś, myśląc, że nikogo nie ma w domu, w końcu odejdzie.

Pukanie zabrzmiało ponownie, bardziej natarczywie.

Zacisnęła powieki. „Idź sobie, kimkolwiek jesteś!”.

— Weronika, to ja. Jeśli jesteś w środku, otwórz!

Na dźwięk tego głosu, kochanego głosu, serce stanęło jej w pół uderzenia. Ale nie uwierzyła.

„Mam zwidy. Przed śmiercią podobno tak jest”.

Drzwi, szarpnięte z całych sił, ustąpiły. Szybkie kroki w sieni, potem w kuchni, kierują się z powrotem. Do sypialni babci. Do salonu.

Weronika próbuje wstać. Zawołać, że jest tu, w małym pokoiku, ukrytym na strychu, ale wyschnięte gardło nie wydaje z siebie żadnego dźwięku, a nogi nie chcą jej słuchać. Jest za słaba, żeby się podnieść.

— Nika, na miłość boską! — Słyszy ten jedyny, kochany głos nad swoją głową i nagle obejmują ją ramiona Wiktora. Unoszą do pionu i przytulają z całych sił.

Zaczyna płakać, cicho, żałośnie. I z ulgą.

— Już dobrze. Jestem przy tobie. — Chłopak głaszcze ją po drżących plecach, sam bliski łez. Jest taka chuda! Zawsze była szczupła, lecz teraz wygląda na bliską śmierci głodowej! Wiktor czuje pod palcami wystające żebra i kręgosłup. I skórę suchą jak pergamin.

— Jesteś odwodniona. Zrobię ci coś do picia — mówi cicho, kładąc dziewczynę z powrotem na łóżku.

Chwilę później poi ją łyżka za łyżką mocną, słodką herbatą. Weronika wreszcie odzyskuje głos.



— Wypuścili cię? — szepce z nadzieją.

Wiktor kręci głową.

— Dali przepustkę na pogrzeb, gdy pokazałem im twój list. Przepraszam, że się spóźniłem, ale to przez dyrektora. Wydziela mi te listy w każdy piątek, niczym jakiś cholerny udzielny władca. Nie ma do tego prawa, ale przynajmniej tak się może na mnie jakoś wyżyć.

— Musisz wracać... tam?

— Tak, Nisia. Dziś wieczorem muszę się zameldować na Nowogrodzkiej. Przed zgaszeniem świateł. Mam cały dzień, żeby o ciebie zadbać. Proszę, zjedz choć trochę rosołu...

Weronika bierze jego dłoń w swoją, tak chudą, że niemal przezroczystą, i przytula do policzka.

— Dziękuję — szepce.

*Uratowałeś mi wtedy życie, Wiktor.*

*Zawsze będę o tym pamiętać.*

— Muszę się zbierać — odezwał się po południu, wypuszczając dziewczynę z objęć.

Przez cały dzień zajmował się nią i tylko nią. Poił słodką herbatą, karmił rosołem. Wziął na ręce i zaniósł do łazienki, upewnił się, że Weronika utrzyma się na nogach, zamknął za nią drzwi i dotąd pod nimi warował, nasłuchując, czy ona nie traci przytomności, aż wyszła, owinięta w miękki ręcznik, z włosami pachnącymi truskawką. A może zielonym jabłuszkiem?

Zaniósł ją z powrotem do sypialni, posadził w fotelu, a sam zabrał się za zmianę pościeli. Wreszcie mógł złożyć swój skarb w czystej, krochmalonej i wyprasowanej jeszcze przez Stefanię.

Stał przez chwilę przy łóżku, patrząc na Weronikę okrytą kołdrą. Zdała mu się taka drobna, taka maleńka. Wzbudzała w chłopaku tak silne uczucie opiekuńczości, że dla pożądania, którego się obawiał, zabrakło miejsca.

— Nie możesz tu zostać — odezwał się. — Nie sama.

— Do końca tygodnia powinnam się wyprowadzić. I tak nadużywam cierpliwości sołtysa.

— Gdzie się podziejesz?

— A jak myślisz?

Pokręcił głową, sfrustrowany do granic. Gdyby mógł,

zabrały dziewczynę ze sobą, ale przecież nie do poprawczaka!

„Właśnie ponosisz karę za swoje grzechy, głupi gnoju”, pomyślał z goryczą. „Gdybyś nie pobił starego sukinsyna, byłbyś wolny, uciekłbyś z Weroniką na koniec świata. Nie byłaby skazana na swoich starych, tak samo podłych i okrutnych, jak twój ojciec. Ale nic z tego, draniu. Pokutujesz za pobicie, a razem z tobą jest karana ona, Bogu ducha winna Weronika”. Nie widział wyjścia z matni...

— Wytrzymasz dwa lata? — wyrwało mu się, chociaż nie miał pewności, czy skrócą mu wyrok.

Ucałowała wnętrze jego dłoni, aż poczuł ten pocałunek na dnie duszy i wyszeptała:

— Wytrzymam.

— Musisz żyć. Dla mnie.

— Będę żyć, Wiktor.

— Zaczнешć jeść i pić. Przyrzekasz?

Kiwnęła głową.

Przykłęknął obok łóżka, by widzieć z bliska jej śliczną twarz i wielkie, płonące gorączką oczy. Musi zapamiętać obraz tej dziewczyny na długie miesiące. Zabrać go ze sobą choćby na koniec świata. Zły los i jeszcze gorsi ludzie mogą ich rozdzielić, ale nie okradną go ze wspomnień.

Pochylił się i uczynił to, o czym marzył w każdej samotnej minucie: pocałował Weronikę. Z początku lekko, jak całować powinien przyjaciela, ale gdy wsunęła palce w jego włosy i przyciągnęła go do siebie, zaczął całować z pasją i namiętnością, tak jak marzył, jak to sobie wyobrażał, siedząc zwinięty w kłębek pod ścianą izolatki. Wyszła mu naprzeciw, tak samo spragniona jego ust, jak on jej.

Z trudem się od siebie oderwali.

— Muszę iść — wyszeptał, tuląc twarz dziewczyny w dłoniach. — Jeśli się spóźnię, ukarzą i mnie, i ciebie, nie pozwalając na widzenia.

Po raz ostatni przyciągnęła go do siebie. Z desperacją kogoś, kto tonie, wtuliła się w silne ciało młodego mężczyzny. Pod dłonią czuła bicie jego serca i wiedziała, wiedziała całą sobą, że bije ono dla niej.

— Zrób wszystko, żebyśmy mogli się spotykać — poprosiła.

— Tak będzie.

Wstał. Posłał jej ostatnie spojrzenie.

— Czekaj na mnie. To niecałe dwa lata.

Odprowadziła go do drzwi. Potem do furtki. Ruszył w kierunku wsi, odwracając się raz po raz. Ona zaś stała pośrodku bitej drogi, patrząc jak odchodzi i... czuła tak straszną pustkę, jak w chwili, gdy dowiedziała się o śmierci babci.

„Nie możesz tak myśleć! Wiktor żyje! Będziesz go widywać. A za dwa lata... ”.

— Wiktor! — krzyknęła nagle i chciała ruszyć za nim biegiem, ale ani drgnęła.

Dziś zatrzyma go przy sobie... tak, była pewna, że na jej błagania zawróciłby... lecz co potem? Kiedy ujrzałaby go ponownie?

Pozwoliła więc, by zniknął za zakrętem drogi. I zaczęła odliczać dni i godziny do niedzieli. Gdy znów się spotkają...

*Tamtego dnia, stojąc po środku drogi, prowadzącej w daleki świat, byłam pewna, że tak się właśnie stanie: w najbliższą niedzielę pojedę do Warszawy, zostawię walizki na Powiślu, a potem wsiądę w autobus i dwa kwadransy później będę na Nowogrodzkiej. Stanę przed strażnikiem, powiem, że chcę się z tobą zobaczyć, przyjacielu, i na godzinę czy dwie — na tyle, na ile nam pozwolą — świat zewnętrzny przestanie dla nas istnieć. W swoim własnym maleńkim wszechświecie zostaniemy tylko we dwoje, ty i ja. Będzie trwał krótko, zbyt krótko, ale to nam do następnego tygodnia wystarczy. Będzie musiało. Tak — od niedzieli do niedzieli — miną nam dwa lata, a gdy w końcu wyjdiesz na wolność, nie rozstaniemy się już nigdy.*

*Mrzonki naiwnej dziewczynki... Miały się rozwiać równie szybko, jak zaczęłam je snuć.*

*Ani los, ani ludzie nie okazali się dla nas łaskawi. Nie byliśmy w stanie walczyć z całym światem. Gdybym przypuszczała, że powtórnie ujrzę cię nie w najbliższą niedzielę, a całe lata później, nie pozwoliłabym ci wtedy odejść.*

## ROZDZIAŁ XVI

WIKTOR



Zaatakowali znienacka.

Nie był w stanie tego przewidzieć, spiesząc ciemnymi ulicami miasta, a tym bardziej zapobiec atakowi. Ciemne sylwetki wychynęły z bramy. Ujrzał je kątem oka, gdy było za późno. Jeden cios kija, który niemal rozłupał mu czaszkę, natychmiast posłał Helerta w niebyt.

Następne, co poczuł, to ból zmasakrowanego ciała. Uniósł się na łokciu, zamrugał jedną powieką — drugie oko było opuchnięte tak, że nie mógł jej nawet uchylić — rozejrzał po pustej, skąpanej w ciemnościach ulicy i próbował wstać.

Wsparł się na rwącej wściekłym bólem, pewnie zmiażdżonej butem oprawcy, ręce. Zagryzając wargi do krwi chwycił się poręczy schodów, i wreszcie stał, chwiejąc się niczym zalany w trzy pestki pijak. Musiał iść. Wracać do poprawczaka. Jeśli się spóźni... Spojrzał na przegub lewej ręki. Zegarek, zwykły tani Zefir, zniknął. Portfel z przepustką, dokumentami i paroma złotymi również.

Zaklął parszywie i ruszył, utykając, w głąb Nowogrodzkiej.

Strażnik na niego czekał. Karcer również. I jeszcze dyrektor zakładu, ale to dwa dni później. Pozwolą mu się jedynie obmyć z krwi, wysłuchają uprzejmie tłumaczeń, nie wierząc ani jednemu słowu niepokornego chłopaka, zamkną go na dwa dni w izolatce, po czym ukarzą tak podle i niesprawiedliwie, że wpadnie w szal. Nie zdemoluje gabinetu dyrektora tylko dlatego, że profilaktycznie przywiodą go doń skutego w kajdany.

— I dziwisz się, Helert, że ciebie tu nie lubimy. — Dyrektor spojrzy na chłopaka z góry, gdy ten, obezwładniony przez strażników, padnie przed nim na kolana. — Może tam, gdzie cię przenosimy, polubią cię bardziej.

Wiktor, klęczący z pochyloną głową, poderwie ją na te słowa.

— Proszę... proszę przekazać mojej dziewczynie wiadomość, że zostałem przeniesiony. — Dużo kosztuje tego dumnego

mężczyznę płaszcząc się przed dyrektorem, błaganie o tę drobną łaskę. — Proszę przekazać jej, dokąd.

— Nie zasługujesz, Helert, nawet na psa, co dopiero mówiąc o dziewczynie — odpowiada mściwie dyrektor. Napsuł mu krwi ten młody skurwiol wystarczająco, by by choć w ten sposób mu odpłacić. — Przekażę jednak strażnikowi, żeby ją uprzedził. O ile twoja dziewczyna w ogóle się tutaj pojawi. Ja na jej miejscu trzymałbym się od ciebie z daleka.

Wiktor, pokonany, słucha tych słów bezsilnie zaciskając pięści. Jest ledwo żywy z bólu i gorączki. Ciało, skatowane nie dalej jak dwa dni temu, protestuje przeciwko jakimukolwiek wysiłkowi. Powinien leżeć w szpitalu, ale dyrektor nie raczył wezwać pogotowia. Zamiast tego podrzuca kłopotliwy towar komu innemu. Niech tamci użerają się od jutra z Helertem. Niech im gówniarz psuje krew i reputację.

Rano na Nowogrodzką podjeżdża okratowany radiowóz. Dwóch strażników wyprowadza Wiktora, znów skutego, na podjazd. Drzwi auta zatrzasują się za nim, zaraz potem brama poprawczaka. Samochód rusza. Wiktor ogląda się za siebie raz po raz, czując rosnące przerażenie. Weronika! Ona nie może zostać sama! Musi, po prostu musi przekazać jej wiadomość, że został przeniesiony!

Ma prawo do korespondencji, więc napisze niemal dwadzieścia listów i będzie je z uporem maniaka wysyłał na adres rodziców dziewczyny. Pytanie tylko, czy ona którykolwiek z nich otrzyma?

Odpowiedź brzmi: nie.

Żadnego.

Marzena omiotła dziewczynę, stojącą w korytarzu z dwiema walizkami, wzrokiem pełnym niechęci. Wściekła, że znów ma córkę na karku, lecz dziś nie karną i cichą, a pyską i rozwydrzoną sześcioma latami poza domem, bez słowa wskazała jej drzwi dawnej służbówki.

Weronika pociągnęła walizki za sobą, śmiertelnie zmęczona. Przez sześć dni nabierała sił na tę podróż. Jadła to, co przynieśli sąsiedzi, piła herbatę, słodzoną miodem, by wreszcie wstać z łóżka, spakować swój skromny dobytek, zabrać z

ukrytej szuflady dzienniki, spisane ręką Stefanii ukryć między ich kartami skarb, jaki zostawiła jej babcia, dorzucić automatyczną sekretarkę — jeszcze nie potrafiła ostatecznie pożegnać się z głosem Buni — i ruszyć do Warszawy, gdzie nie czeka jej miłe powitanie, tego była pewna.

Nie myliła się.

W całej tej rozpaczy obietnica spotkania z Wiktorem, już jutro, w niedzielę, była niczym gwiazdka na burzowym nocnym niebie.

Pierwszej nocy w swym dawnym pokoiku nie zmrużyła oka. Każdy dźwięk, dochodzący z pokoju matki, przyprawiał ją niemal o panikę. Kroki na korytarzu sprawiały, że wstrzymywała oddech. Rafi — tak kazał do siebie mówić konkubent Marzeny — nie wrócił na noc do domu. Ona przez ładnych parę godzin wystawała to w jednym oknie, to w drugim, czekając aż tamten się pojawi, wreszcie zabrała do pokoju swą nieodłączną towarzyszkę, flaszkę wódki, i w końcu zasnęła.

Weronika dopiero przed świtem zapadła w niespokojny sen, z którego niewiele później wyrwały ją odgłosy wielkiego miasta. Mieszkając przez sześć ostatnich lat na wsi, otoczona ciszą tak głęboką, że słycać czasem było bicie własnego serca, odzwyczaiła się od dźwięku klaksonów, śmieciarek i karet pogotowia, podjeżdżających pod pobliski szpital.

Teraz leżała w łóżku ze wzrokiem wbitym w sufit i uczyła się Warszawy na powrót. Słońce zajrzało w końcu do niewielkiego, obskurnego pokoiku.

„Muszę go czymś przyozdobić”, pomyślała, błędząc spojrzeniem po szarych, nagich ścianach. „Spędzę tu najbliższe dwa lata. Niech ten pokój jakoś wygląda”.

Wstała. Na palcach przemknęła do łazienki. Mieszkanie sprawiało wrażenie pustego. Może będzie miała tyle szczęścia, że wymknie się z niego niezauważona przez matkę?

Nie miała, czy raczej miała tego szczęścia jeszcze mniej.

Wychodząc z łazienki po szybkiej kąpieli, natknęła się na ojczyma.

— O, nie wiedziałem, że córka zawitała w nasze skromne

progi. — Uśmiechnął się oblesnie, omiatając wzrokiem owinięte w ręcznik ciało dziewczyny. Ona w duchu przyrzekła sobie nigdy więcej nie wychodzić z łazienki jedynie w ręczniku. — Zrobisz tatusiowi śniadanie?

— Zrobię — odparła pokornie, byle tylko pozwolił jej wrócić do pokoju, przebrać się w bluzę i spodnie.

Nigdy więcej sukienek — to też sobie w tej chwili przyrzekła. Do czasu, gdy opuści ten dom, rzecz jasna.

Ojczym przepuścił ją w końcu. Wpadła do swojego pokoju, przekręciła klucz w drzwiach i usiadła na łóżku, przytykając dłoń do serca, bijącego tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Najlepiej od razu przez okno.

Tamten zapukał do drzwi.

— Nie musisz się przede mną zamykać — krzyknął z korytarza. — Przecież nic ci nie zrobię. Jesteśmy rodziną!

„Jesteś oblesnym zbrojeńcem, nie rodziną!”, odpowiedziała mu, choć jedynie w myślach. „Ojciec nie rozbiera córki wzrokiem!”.

Narzuciła na siebie najbardziej rozciągniętą i najmniej twarzową bluzę, jaką znalazła, wciągnęła za duże dzinsy. Włosy związała w koński ogon. Była gotowa stawić czoła światu i ojczymowi. Żeby tylko dotrzeć do dziewiątej...

Trzy godziny później spieszyła z plecakiem przerzuconym przez ramię na spotkanie z Wiktorem. Po drodze wstąpiła do publicznej toalety, żeby przebrać się w sukienkę i buciki na obcasie. Bluzę, spodnie i adidasów cisnęła na dno. Z kieszonki plecaka wyciągnęła kredkę i cień do oczu, tusz do rzęs, błyszczyk i umalowała się delikatnie.

— Musisz pamiętać, by zmyć makijaż przed powrotem do domu. Tylko awantury z tego powodu ci brakowało czy sprośnych uwag Rafałka...

Rozpuściła włosy. Zalśniły w słońcu niczym płynny ogień. Uśmiechnęła się do swego odbicia w sklepowej wystawie i przyspieszyła kroku. Po chwili niemal frunęła na spotkanie z chłopcem, który skradł jej pierwszy pocałunek. I serce.

Podcięto jej skrzydła przy samej bramie poprawczaka.

Wiktora Helerta już tutaj nie było.

Dokąd go wywieźli?

Wzruszenie ramion.

— Pytaj dyrektora.

„Dokąd wywieźliście Wiktora Helerta?!”, wyło w duchu dziewczyny, gdy szła na rozmowę z dyrektorem. Odpowiedzią były trzy pytania:

— A kim pani jest? Kimś z rodziny? O ile wiem, Helert ma jedynie ojca i matkę. Opuści pani zakład sama, czy strażnik ma wskazać drogę?

Stała przed gmachem z czerwonej cegły, patrzyła na drut kolczasty, wijący się po murze, i... nie miała sił nawet na łyzy.

— Proszę stąd iść! — głos strażnika wyrwał ją z otępienia.

Posłała mu spojrzenie tak pełne beznadziei i rozpacz, że poruszyłoby najbardziej nieczułe serce, ale mężczyzna albo nie wiedział, dokąd zabrali chłopaka, albo w miejscu serca miał kamień.

— Idź stąd, dziecko — powtórzył i patrzył obojętnie, jak przygarbiona odchodzi, łykając łyzy rozczarowania i upokorzenia.

Zatrzymała się i odwróciła po raz ostatni.

— Odnajdę cię, Wiktor — przyrzekła, patrząc na zakratowane okna poprawczaka. — Dopóki żyjesz i ja żyję, będę cię szukać.

Powoli powlokła się do domu. Czy raczej miejsca, w którym musi mieszkać aż do osiągnięcia pełnoletności.

„Wytrzymam. Zacisnę zęby, będę schodzić im obojgu — matce i jej fagasowi — z oczu i wytrzymam. Ty, Wiktor, musisz znosić swoje piekło, ja swoje. Widać nie zasłużyliśmy na nic więcej. Pójdę do liceum. Po lekcjach będę udzielała korepetycji, żeby jak najmniej przebywać w domu i odkładać jak najwięcej pieniędzy. I nie spocznię, dopóki ciebie nie znajdę. Przecież miejsc, w których mogli cię zamknąć, nie jest znowu tak wiele”. Pokrzepiona tymi myślami uniosła głowę. Nie była już zastraszonym dzieckiem, które bezkarnie można było stawiać pod ścianą. Miała dla kogo żyć.

Najpierw musi zawalczyć o siebie, zdobyć pieniądze i wykształcenie. Potem zawalczy o Wiktora.



Plan był zacny. Miał jednak pewien słaby punkt: był tylko planem.

## ROZDZIAŁ XVII

### STEFANIA



Jak odległe wydało się Weronice życie na wsi, w domu babci Steni, bezpieczne, ciche i spokojne, w momencie gdy przekręcała klucz w zamku, żeby nikt bez jej zgody nie mógł wejść do pokoju... Czuła się jak w więzieniu, z tym że zamknięta od wewnątrz.

Przed kwadransem wróciła na Powiśle, matce krzyknęła, że nie jest głodna, ojczymowi podziękowała za propozycję wspólnego oglądania serialu w TV, przemknęła do swojej służbówki i mogła odetchnąć. Głód nieco jej dokuczał, ale przecież Weronika dotrwa do nocy. Gdy tamtych dwoje pójdzie spać, ona wynurzy się ze swojej nory i ruszy na żer.

Teraz trzeba było znaleźć coś dla zabicia czasu.

Zaczęła od rozpakowania walizek, z którymi tu przyjechała. Parę ciuchów znalazło swe miejsce w przepastnej szafie, która stała w kącie niewielkiego pokoju chyba od czasów dwudziestolecia międzywojennego. Ten mebel był sprytnym połączeniem garderoby z łóżkiem, wymyślono go specjalnie do małych pokojów dziewczyn służebnych. Na noc rozkładało się łóżko, na dzień chowało się je do szafy. Półki, miejsce na wieszaki, to wszystko za ciężkimi, podwójnymi drzwiami.

Z kieszeni drugiej walizki wyjęła bezcenny skarb: cztery zeszyty, zapisane od okładki do okładki wspomnieniami babci Stefanii. Weronika przycisnęła je do serca, a potem otworzyła pierwszy z nich.

Babcia miała ładne, okrągłe pismo kogoś, kto w młodości ćwiczył kaligrafię na pensji dla panienek z dobrych domów. Kaligrafii Weronika się domyśliła, lecz o tym, że babcia pochodziła z zacnej, ziemiańskiej rodziny, przeczytała w pierwszym rozdziale.

Urodzona w majątku na Kresach, Stefania Raduńska miała piękne, spokojne dzieciństwo. Rodzice jedynaczkę kochali i rozpieszczali. Czas płynął jej na spotkaniach z przyjaciółmi, naukach na pensji we Lwowie, wieczorkach towarzyskich i

flirtach — oczywiście niewinnych — z co przystojniejszymi młodzieńcami. A wszystko to, by wzbudzić gorące uczucie w chłopcu, w którym Stefania podkochiwała się od przysłowiowej kołyski. Janek, tak miał na imię ten szczęściarz.

Oświadczył się Stefanii w pierwszych miesiącach roku trzydziestego dziewiątego, gdy ona miała lat osiemnaście, on dobiegał dwudziestki. Oczywiście przyjęła oświadczyzny, przekonana, że piękna bajka będzie trwała do końca ich dni.

Ci, którzy znają historię, wiedzą, że owa bajka skończyła się pierwszego września...

W sierpniu, wiedząc, że wojna wisi na włosku, Stefania z Jankiem wzięli szybki ślub, podobnie jak tysiące innych par. Wybuch wojny zastał ją w rodzinnym majątku, jego w okolicach Drohiczyzna. Kto zna geografię — i historię — ten domyśla się, jaki los spotkał oficera po siedemnastym września, gdy do Polski wkroczyli sowieci...

Wszelki słuch po Janku zaginął. Stefania czekała na jakikolwiek znak życia, wierząc, że mąż do niej wróci. Czekala długie trzy lata. Janek cudem ocalał z rzezi, urządzonej polskim elitom przez Rosjan.

Wrócił pod przybranym nazwiskiem, jako prosty robotnik — Tomek Rajczak — i od razu rzucił się w wir konspiracji. Stefania prosiła go i błagała, by dał spokój, nie narażał życia, które udało mu się ocalić, ale czy polski patriota może siedzieć w domu, gdy dookoła ojczyzna płonie?

Był rok czterdziesty trzeci. Do majątku Raduńskich docierały straszne wieści o rzeziach, urządzanych Polakom przez Ukraińców, ale mało kto w nie wierzył. Jakże to tak? Sąsiad sąsiada miałby szlachtować? Przecież mieszkali obok siebie od setek lat, dzielili dole i niedole, dzieci chodziły do tych samych szkół, i chociaż Polacy chodzili do kościoła, a Ukraińcy do cerkwi, to przecież wszystko we wzajemnym poszanowaniu.

Owo „wzajemne” okazało się jedną wielką ułudą...

Noc, w którą Stefania straciła ojca, matkę i małą siostrzyczkę — oczko w głowie rodziców, którzy nie spodziewali się drugiego dziecka w tak późnym wieku — była chłodna i bezgwiezdna. Nic nie zapowiadało koszmaru, który zbliżał się

do uśpionej wsi. Bestii w ludzkiej skórze, sunących cicho z tym, co która złapała w ręce, na śpiących sąsiadów. Polaków.

Stefania z Jankiem wracali tego wieczoru z wesela lekkim powozem, zaprzężonym w gniadosza ze stajni Raduńskich. Byli już blisko domu, gdy koń nagle okulał.

— Chodź, kochana. — Janek wyciągnął rękę do ciężarnej żony, Stefania od czterech miesięcy nosiła pod sercem nowe życie. — Dalej pójdziemy na piechotę. To nie więcej niż dwa kilometry. Wieś jest jeszcze bliżej. — Wskazał zagajnik, za którym powinni się natknąć na pierwsze zabudowania. Niebo nad nim zaczęło jaśnieć...

— Świta? — zdziwiła się Stefania.

Janek przez chwilę milczał, patrząc na różowiejące niebo z coraz większym przerażeniem, po czym wykrztusił:

— To nie świt. To pożar.

Rzucili się biegiem w tamtym kierunku, gotowi pomóc w gaszeniu pożogi. Wpadli do zagajnika i nagle... ciemna sylwetka wyskoczyła przed nimi, mierząc do obojga z obrzyna.

— Ani kroku dalej, słyszycie? Ani kroku! Riezuny uderzyły na Raduńki. Jeśli wam życie miłe, zostańcie tutaj. Ukryjcie się!

— Rodzice! I Marzenka! — Stefania, niepomna ostrzeżenia, chciała biec dalej, ale Janek zatrzymał ją w miejscu.

— Ukryjcie się, bo życie postradamy! — Krzyknął ten, który ich zatrzymał, syn kowala, Ukrainiec z Raduniek i sam przypadł do ziemi.

Świat nagle oszalał. Ukraińcy, których Stefania do tej pory uważała za porządných ludzi, pogrążyli się w obłędzie mordowania. Zza drzew dochodziły krzyki mrozące krew w żyłach, błagania o litość, o pomoc, o szybką śmierć. Wycie Polaków, palonych żywcem w kościele, wycie dzieci, wrzucanych do ognia, wycie kobiet, gwałconych w najokrutniejszy sposób, a potem równie okrutnie mordowanych...

— Nie słuchaj, Steniu, nie słuchaj... — błagał Janek, tuląc do piersi głowę żony.

Gryzła go po rękach, oszalała ze strachu o najbliższych, wyrywała się, by ratować... biec na pomoc, ale trzymał mocno.

Nie mógł jej stracić.

Rzeź dobiegała końca. Wymordowanie sąsiadów zajęło Ukraińcom nie więcej niż dwie godziny. Oni rzeźli Lachów, one paliły, a ich dzieciaki okradaly pomordowanych. Nie trzeba było żadnej UPA, by polskie Raduńki przestały istnieć.

Ci prawosławni mieszkańcy wioski, którzy byli równie przerażeni jak Stenia i Janek i tylko pozornie bezpieczni, chowali się w swoich chałupach, udając pijanych lub umierających. Modlili się tam do tego samego Boga, do którego wołali o pomoc po sąsiedzku konający w męczarniach Polacy. Ale bestie ich też nie oszczędziły...

Świt ścielił się tłustym dymem ze spalonych ciał.

Tych troje — Janek, Stefania i syn kowala — wyszli z ukrycia dopiero wtedy, gdy na leśnej drodze pojawiły się widmowe sylwetki AK-owców. Przybyli na odsiecz mordowanym.

Za późno.

Droga do majątku ciągnęła się w nieskończoność, chociaż Stefania biegła niemal cały czas, zatrzymując się jedynie dla złapania oddechu. Wreszcie jest...

Stanęła jak wryta.

Dwór był spalony do fundamentów, siny dym nadal sączył się ze zgliszczy. Ale to nie żałosny widok tego, co zostało z jej rodzinnego domu, sprawił, że teraz stała pośrodku drogi, nie wierząc... po prostu nie wierząc... Daleko przed nią, na łuku bramy zwisały trzy sylwetki, pacynki, kukielki — ta środkowa, najmniejsza, kołysana niczym do snu powiewami wiatru.

Janek, idący z tyłu, bo ranny chłopak, któremu pomagał, spowalniał marsz, wyszedł na drogę prowadzącą do dworu chwilę po Stefaniu i... zamarł tak jak ona. A potem ruszył biegiem, chwycił żonę za ramiona i siłą odwrócił ku sobie.

— Musimy wracać — rzucił, patrząc na nią oczami rozszerzonymi szokiem.

— Nie, kochany, chcę wiedzieć, że rodzice i Marzenka są bezpieczni. Na pewno się gdzieś ukryli. Dwór miał porządne piwnice o grubych murach. Może potrzebują pomocy, żeby wydostać się z pogorzelska?

— Steniu, serce moje, zawróćmy. Leśni są we wsi,

sprawdzają chałupa po chałupie, szukając ocalałych. Do dworu też zajdą. My musimy wracać do Lwowa. Natychmiast!

Wyrwała się mężowi i pobiegła w kierunku bramy. Wiatr rozwiął dym, nadal unoszący się znad pogorzelska i Stefania stanęła po raz drugi. Nieruchomo. Skamieniała z grozy.

Z ust wydarł się jej nieludzki skowyt. Na bramie wisieli jej rodzice. Między nimi czteroletnia siostrzyczka.

Tego dnia straciła całą rodzinę. Tego dnia straciła nienarodzone dziecko. Tego dnia znienawidziła Ukraińców całym sercem. I nie miała ani siły, ani chęci na zastanawianie się, czy mordowali wszyscy, czy tylko część z nich. Jeden syn kowala, jedyny sprawiedliwy wśród złoczyńców, nie mógł pomniejszyć ogromu zbrodni.

Nigdy więcej nie powiem o nich inaczej, *jak „bestie”*.

Weronika przeczytała ostatnie zdanie i przytknęła dłoń do oczu, by siłą powstrzymać łzy, ale nie chciały przestać płynąć. Opis mordu na bezbronnych ludziach, na dzieciach, na kobietach, mężczyznach i starcach był... porażający. W całym swoim życiu nie czytała nic bardziej potwornego.

Stefania spisała swoje wspomnienia po latach od tamtej nocy. W jej słowach było jedynie echo przeżyć, jakich doświadczyła, opisywała ofiary rzezi na chłodno, niczym spóźniony kronikarz, mimo to Weronika długą chwilę dochodziła do siebie, trzęsącymi się rękami ocierając mokre od łez policzki. Te dzieci... nadziewane na sztachety płotów... nabijane na widły i ciskane w płomienie... dzieci z główkami rozbijanymi o ściany domów... z rozpruwanymi brzuskami... A to wszystko przez ukraińskie bestie, sąsiadów, z którymi od wieków dzielili tę samą przestrzeń, smutki i radości... Nie. To się dziewczynie nie mieściło w głowie. Nie było w niej zgody na takie okrucieństwo.

Dotąd nie słyszała o rzezi wołyńskiej. Nie uczono tego na lekcjach historii. Pamiętnik Stefani szybko dziewczynę uświadomił. Na zimno, beznamiętnie niemal. Czyste, odarte z ozdobników fakty.

Rzezi zgotowanej Polakom mieszkającym w Raduńkach przez ich sąsiadów nie przeżył nikt. Oprócz trojga spóźnionych:

Stefanii, Janka i syna kowala...

— Babciu — wyszeptała słonymi od łez ustami. — Nie wiedziałam. Nigdy słowem się nie zdradziłaś, że przeszłaś takie piekło. Myślałam, że ja jestem najbardziej pokrzywdzoną istotą na świecie. Gdzie tam na świecie, w całej galaktyce! Tymczasem ty... Ujrzeć ukochanych rodziców i czteroletnie dziecko, powieszonych na bramie rodzinnego domu. Babciu kochana... Tak strasznie mi ciebie żal...

Nawet nie zauważyła, pochłonięta lekturą, jak za oknem cicho skrada się noc. Gdy gałąź, poruszona wiatrem, załomotała w szybę, Weronika aż podskoczyła, nadal zdjeta przerażeniem. Przypadła do okna, oparła czoło o chłodne szkło. Podwórze dwa piętra niżej było puste. Dobiegał ją zwykły miejski gwar, do którego zaczynała przywykać. Nagle spojrzała przez ramię, na zeszyty oprawione w granatowy papier. Pierwszy skrywał ludobójstwo na Kresach. Co będzie w trzech następnych?

Nie miała siły dzisiaj zaczynać lektury. Odłoży ją na inny dzień. Dziś pragnęła jedynie przemknąć do kuchni, chwycić coś na ząb, wziąć gorącą kąpiel, a potem paść na łóżko i spróbować zasnąć, mimo obrazów rzezi pod powiekami.

Jutro, gdy nad Warszawą wstanie nowy dzień, będzie nieco łatwiej...

## ROZDZIAŁ XVIII

EWA



— Ewka, no błagam cię, nie możesz opisywać rzezi wołyńskiej, ani żadnej innej, w powieści obyczajowej!

— Dlaczego? — Ewa Kotowska, która przesłała wczoraj wydawcy połowę swojej nie-autobiografii, a dziś siedziała w jego biurze, czekając na komentarz, uniosła brwi. — Dlaczego mam pominąć ten fragment naszej historii?

— Bo to historia! A ty piszesz obyczajówki! Gdybyś zaproponowała mi powieść historyczną, proszę bardzo, rozpisuj się o Wołyniu do woli, ale w romansie?!

— „Pisarka” nie jest romanssem — odparła Ewa, jeszcze w miarę spokojna.

— Nie, oczywiście, że nie jest, ale nie jest również horrorem o mordowaniu dzieci!

— Ktoś o tym musi pisać.

— I niech ktoś sobie pisze, ale nie ty!

— Konrad, swego czasu umawialiśmy się, że nie ingerujesz w treść moich powieści. Dostaję wolną rękę, bo masz do mnie pełne zaufanie. Tak?

— Tak, Ewuś, chodziło mi...

— Dlaczego uważasz, że moje czytelniczki nie chcą czytać o polskiej historii? Są głupsze od facetów, zgłębiających tajniki Powstania Warszawskiego? Mniej... nie wiem... godne? Nie dość patriotyczne?

— Ewa, proszę... wiesz, że nie o to mi biega! Co dla ciebie za problem pominąć ten wątek? Wykasować jeden jedyny, niezbyt długi rozdziałik?

Pisarka patrzyła na wydawcę przez dłuższą chwilę, po czym odrzekła:

— Nie mogę, Konrad. Sorry, ale nie mogę. Ta książka pisze się sama i rozdział o rzezi wołyńskiej też napisał się sam. Domagał się napisania, rozumiesz?

— Rozumiem! Wiem, że gdy siadasz do laptopa po prostu zatracasz się w tym, co piszesz i pisz sobie, co chcesz, ale



wykasować potem... hmm... niewłaściwe treści chyba możesz?

Spojrzała na niego ze zdumieniem, niemal grozą.

— Mord na setkach tysięcy Polaków nazywasz „niewłaściwymi treściami”?! Domagasz się, bym cenzurowała pamiętniki mojej babci, która tę masakrę cudem przeżyła, w imię politycznej poprawności? Serio?!

Wzniósł oczy do nieba, jakby ono mogło tu pomóc.

— Ewa... — zaczął jeszcze raz, ale przerwała mu stanowczym gestem dłoni.

— Konrad, powiem tak: cały świat próbuje nas oczerniać i oskarżać za winy, których nie popełniliśmy. Zakłamywać naszą historię. Określenie „polskie obozy koncentracyjne” wryło się w ogólnoswiatową świadomość. Musimy się przed tym bronić chociażby w ten sposób: sami przed sobą się tej historii nie wstydząc. Niemcy kręcą wredne seriale, w których bandyci z AK mordują niewinnych szwabskich obywateli. Robią z siebie ofiary, a z nas katów. Niemcy, rozumiesz?! Ukraińcy otwarcie i oficjalnie czczą bandziora, który odpowiada za ludobójstwo dwustu tysięcy Polaków. A my co? My uśmiechamy się głupio, jakby nie było tematu. Nigdy nie usłyszeliśmy od nich „wybaczcie nam”, nigdy nie uderzyli się w piersi i nie przeprosili za tamtą zbrodnię. Ofiary do dziś gniją w zbiorowych mogiłach i bezimiennych grobach, a ich kaci dożywają w spokoju i dostatku swoich dni, sponsorowani przez nasz rząd. Ja nie szczuję przeciwko nikomu, Konrad. Nie wzywam do samosądów. Po prostu domagam się pamięci dla pomordowanych, bo my, Polacy, jesteśmy to naszym rodakom winni. I chcę przypomnieć, tak by nikt nie miał żadnych wątpliwości, kto był katem, a kto ofiarą. Gdy słyszę, że przecież „Akcja Wisła”, że mieli prawo, że coś tam i srośtam, coś we mnie krzyczy: NIE! To nie była walka o wolną Ukrainę. To było zbydlęcenie. I tak należy rzeź wołyńską nazywać. Okej?

— Nie okej.

— Jesteśmy wspaniałym narodem — ciągnęła, niezrażona jego naburmuszoną miną. — Nigdy nie mieliśmy kolonii, w których eksterminowalibyśmy tubylców, nie wywoływaliśmy wojen światowych, nie jesteśmy odpowiedzialni za rzezie, nie

mieliśmy opętanych dyktatorów. Przeciwnie: ocaliliśmy Europę przez najazdem Turków, później przed bolszewią, nadstawialiśmy karku za zdradliwych aliantów, ratowaliśmy Żydów. Wiesz przecież, że nas Polaków, jako jedynych nie było w SS. Mamy wszelkie podstawy, by być dumnym narodem, a wiecznie przepraszamy, że istniejemy na mapie świata, klękamy a to przed jednymi, a to przed drugimi, trzecim robimy... — Urwała. Niech Konrad sam się domyśli, co robimy trzecim. Czyta gazety, ogląda telewizję.

— Rozumiem, że od dziś będziesz w swoich powieściach politykować? — odezwał się z przekąsem.

— Nie! Brzydzę się polityką! Womituje nią! Nie zamierzam jednak usuwać rozdziału o naszej historii. Sumienie mi na to nie pozwala!

Patrzył na nią bez słowa.

— Konrad — jej ton nieco złagodniał — jestem czytana osobą. Naprawdę lubię dużo wiedzieć, ale nawet ja nie miałam pojęcia, czym była rzeź wołyńska. Do jakiego bestialstwa tam dochodziło. Musiałam o tym przeczytać i musiałam napisać. Koniec. Kropka.

— Przyjmuję do wiadomości. Ale wiesz, że wyleje się na ciebie fala hejtu?

Machnęła ręką.

— Musztardowi będą hejtować tę powieść, czy usunę z niej Wołyń, czy nie. Im nie potrzeba do tego żadnych merytorycznych argumentów. Są jak wściekłe bestie, które ranią, żeby ranić i niszczą, żeby niszczyć. Ja rzucam im kij, w który mogą się wgryźć.

— Musztardowi?

— Miernoty, które zżera zawiść, a że zawiść ma kolor musztardy...

— Nie boisz się, że zniszczą cię wrednymi reckami?

— Wiesz, Konrad, tyle w życiu przeszłam, że niczego się już nie boję. I nie muszę być pisarką. Zawsze mogę wrócić do któregoś z pozostałych trzech zawodów. Z głodu nie umrę.

— Pamiętaj, że ta książka to również moje pieniądze!

— I dlatego mam pozwolić, by mnie kneblowano? A gdzie

wolność słowa?

Teraz naprawdę się przestraszył.

— Nie mów, że będziesz pisać o Sarze...

— Oczywiście, że będę! Hejterzy zaszczyli na śmierć szesnastoletnią, niezwykle zdolną dziewczynę. Bezkarnie. Bo „wolność słowa”. Myślisz, że im odpuszczę? Niby z jakiej racji?

Pokręcił tylko głową, całkiem zrezygnowany. Ulitowała się, odwracając jego uwagę:

— Masz jeszcze jakieś komentarze do tekstu?

Od razu się rozpromienił.

— Weronika jest świetna. Pokochałbym ją jak córkę. Wiktor — zajebisty gość. Poznam go osobiście? Przedstawisz nas sobie? On musi przecież istnieć. Nie stworzyłabyś tego faceta ot tak, z wyobraźni?

Odpowiedziało mu milczenie.

— Ewcia, mam jedną obawę: nie pozwie cię? Rozumiesz, facet ma być może rodzinę, wiedzie normalne, praworzędne życie, a ty: łup go poprawczakiem! Jesteś pewna, że nie dostaniesz pozwu o zniesławienie?

— Jestem pewna — odparła cicho.

— On wie, że o nim piszesz?

— Umawialiśmy się, że nie będzie takich pytań.

— Po prostu martwię się na zapas. Wie?

— Nie wie.

— Ale się dowie, gdy książka trafi pod strzechy?

— Nie dowie się.

Nagle zrozumiał.

Chwilę patrzył Ewie prosto w oczy, znajdując na ich dnie bezbrzeżny smutek. Ten sam, który ujrzał dziesięć lat temu, gdy po raz pierwszy stanęła na progu jego wydawnictwa.

— Przykro mi, Ewcia. Naprawdę.

Wzruszyła ramionami.

— Jeszcze coś? — zapytała odpychającym tonem.

„Skończ i pozwól mi odejść!”, krzyczała bez słów.

— Dlaczego właściwie główną bohaterką jest Weronika Nocyk?

— A kto ma być?

— Ty! Nie masz schizy, pisząc o sobie „Weronika”?

Tym razem uśmiechnęła się lekko.

— Konrad... Jak mogłabym ja, Ewa Kotowska, nazwać główną bohaterkę „Ewa Kotowska” i wciskać czytelnikom kit, że nie jest to moja autobiografia? No proszę cię...

— Przecież każdy, nawet mało kumaty, na to wpadnie!

— Czytając o Weronice, będzie snuł domysły. Czytając o Ewie, miałby pewność.

— Ale...

— Nie ma żadnego „ale”, Konrad. Umawialiśmy się: to nie jest moja autobiografia.

— Jasne.

Zaśmiał się porozumiewawczo, klepnął dłońmi w kolana i wstał.

— Zabieram cię do „Zapiecka” na najlepsze pierogi w mieście.

Teraz i ona się rozpromieniła. Mieszkając na końcu świata do niczego tak nie tęskniła, jak do swojskich pierogów. Z kapustą i grzybami, z mięsem, z pieczarkami... Pychotka!

Szarmanckim gestem podał jej kożuszek. Wygrzana na australijskim słońcu, w Polsce ciągle marzła. Już mieli wychodzić, gdy zatrzymał się i, znów patrząc na Ewę uważnie, rzekł:

— Ta Weronika... Dzielna z niej dziewczyna. Klęczenie na kaszy z rękami w górze... Całe szczęście, że nie jest to twoja autobiografia, bo powiedziałbym, że dzieciństwo miałaś przesrane, a matka i ojciec to psychopaci.

— Tak, Konrad. Całe szczęście — ucięła, znosząc jego pytający wzrok.

Otworzył przed nią drzwi mieszkania, w którym mieściło się wydawnictwo. Chwilę później siedzieli w wygodnym lexusie, kierującym się w stronę Starego Miasta.

— Kiedy dostanę ciąg dalszy? Twoja historia wciąga. Nie mogłem się od niej oderwać. Dalej będzie równie dramatycznie czy nieco spokojniej?

Uniosła kącik ust w wieloznacznym uśmiechu. Ona i „spokojniej”?

— Dasz radę pisać w Polsce? — dopytywał, nie otrzymawszy odpowiedzi. — Wiem, że w Australii masz dom, ocean, słońce i ciepło. U nas... sama widzisz. — Wskazał szary, deszczowy dzień za oknem samochodu i skulonych, przemoczonych, zmarzniętych ludzi, przemykających ulicami.

— Potrafię pisać wszędzie — odparła.

Rzeczywiście: miejsce nie miało dla Ewy większego znaczenia. Równie dobrze pisało się jej w azylu nad brzegiem oceanu, gdzie miała święty spokój, jak na tłocznym lotnisku w Hong Kongu, o którym można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że panuje tam cisza i spokój. Duże centra handlowe też były niezłe. Siedziała sobie w kątku, otoczona tłumem obcych ludzi, którzy nic do niej nie mieli, więc nie zawracali jej głowy pytaniami czy konwersacją, i klikała pracowicie w klawisze laptopa.

Gdy Ewę porywała snuta historia, świat zewnętrzny przestawał istnieć. Pisarka zapadała się w świat powieści, której bohaterowie stawali się jej bliżsi i bardziej prawdziwi, niż otaczający ją ludzie z krwi i kości. To było piękne. Za to kochała swój zawód.

Nagle zapragnęła wrócić do Weroniki i Wiktora. W duszy znów czuła drżenie, jak zawsze, gdy historia chciała się pisać.

Koniuszki palców mrowiły lekko, domagając się klawiatury.

— Odwieź mnie do hotelu — rzuciła.

Konrad spojrział na nią ze zdziwieniem.

— A pierogi? Przecież uwielbiasz...

— Przyślesz mi uberem. Muszę pisać — dodała, nagle zniecierpliwiona, jakby to wszystko wyjaśniało.

I wyjaśniało.

Potulnie zawrócił w stronę centrum.

— Pisz, moja kochana, pisz — powiedział na pożegnanie, otulając szyję Ewy ciepłym, miękkim szalikiem. — Tylko się nie przemęczaj, okej? I, błagam Ewuś, bez następnych rzezi. Bo nie będzie ich już więcej? Powiedz, że nie...

Posłała mu uroczy uśmiech i już jej nie było.

## ROZDZIAŁ XIX

### MARZENA



Cały świat wie o KL Auschwitz-Birkenau, skąd miliony Żydów szły do nieba, niewielu pamięta o Kinder-KZ Litzmannstadt<sup>2</sup> 11, skąd tysiące polskich dzieci szły do piachu.

Jednym z nich była Dziewczynka, która trafiła tam w wieku dwóch lat za niewinność, bo czym mogło szwabom podpaść dwuletnie dziecko?

Przeżyła tylko dzięki starszacom, które — same głodzone i bite — opiekowały się młodszymi. Wolność, która nadeszła ze zwycięską armią radziecką zastała więc Dziewczynkę za drutami obozu koncentracyjnego, wypłuła ją zza tych drutów i, prawdę mówiąc, o niej zapomniała. Świat miał większe troski, niż mała, polska sierota.

Bezimienne dziecko, jakimś cudem, zamiast w powojennym sierocińcu, znalazło się na ulicy. Ktoś z wyzwolicieli je przeoczył? Mogło tak być. Nie miejmy do tego kogoś żalu. Wojennych sierot poniewierało się wtedy po kraju tysiące. Jedna więcej, jedna mniej nie robiła różnicy.

W tym samym czasie Stefania wracała do Ojczyzny.

Po rzezi wołyńskiej, z której cudem uszła z życiem, zamieszkała w Warszawie, przy rodzinie Janka i, w końcu tak jak on, wstąpiła do konspiracji. Niczym, oprócz własnego życia, już nie ryzykowała. Straciła rodziców i siostrzyczkę, straciła własne małeństwo, terror dookoła zbierał żniwo, czy się z nim walczyło, czy było zwykłym przechodniem. Służba Polsce Podziemnej stawała się nie tyle wyborem, co obowiązkiem.

Stefania skończyła kurs sanitarny i towarzyszyła oddziałowi Janka na wypadach w podwarszawskie lasy jako pomoc medyczna. Powstanie przeciwko szwabskiemu okupantowi zbliżało się wielkimi krokami.

Pierwszy sierpnia. Dla warszawiaków święto wolności. Wychodzą na ulice z Mazurkiem Dąbrowskiego na ustach i biało-czerwoną flagą w rękach. Później nazwą ich za to faszystami, ewentualnie bandytami, odpowiedzialnymi za rzeź

kolejnych setek tysięcy, a wyzwoliciiele będą ich szlachtować w podziemiach katowni na Rakowieckiej. Dziś, zachłyśnięci wolnością, idą na szwabów.

Radość trwa krótko. Broni nie ma. Oddają Wolę, oddają Starówkę, powoli tracą Czerniaków. Stefania niewiele pisze o tamtych czasach. Pamiętnik skąpo dzieli się z potomnymi tym, co przeżyła. A przeżyła piekło. Wraz ze Zgrupowaniem Radosław była przecież w centrum najcięższych walk.

Pisze o wyzwolicielach, czekających na drugim brzegu Wisły, aż Warszawa się wykrwawi. Pisze o wsparciu ogniowym, które następowało tylko wtedy, gdy podawali współrzędne własnych pozycji. W pamiętniku dwudziestotrzyletniej dziewczyny brak heroizmu. Jest tylko gorycz i żal. Żal nie do dowódców, bo gdyby ponownie dali rozkaz, ona ponownie poszłaby do Powstania, nawet nie do szwabów — zawsze małą literą — którzy mordowanie Polaków mają we krwi, lecz do... powiedzmy, że reszty świata, patrzącej beznamiętnie na śmierć Miasta.

Wtedy nie zastanawiała się nad sensem tej walki. Chłopcy ruszali w bój z tym, co zdobyli, ona ratowała rannym życie w powstańczych szpitalach. Polak czy Niemiec, bez różnicy — chociaż dzisiaj może by się zastanowiła, zanim oddałaby własną krew szwabowi — wtedy humanitaryzm sanitariuszek nakazywał ratować każdego. Chociaż po Starówce wiedziały, że na litość szwabskich oprawców liczyć nie mogą. Były gwałcone i mordowane. Opaski z czerwonym krzyżem na białym tle znaczyły dla Niemców mniej niż nic. Czasem jakiś wstawił się za siostrzyczkami, dzięki którym uszedł z wojny z życiem, tak, to trzeba przyznać, ale częściej ginął w bombardowanym szpitalu.

Któregoś wrześniowego dnia Stefania, po kolejnej amputacji na żywca, gdy delikwent wyjął z bólu omal jej nie pogryzł, ma dosyć. Wybiega ze szpitala, zaciąga się łapczywie papierosem, patrząc w sine od popiołów niebo.

Stukas nadlatuje niczym szaroskrzydła śmierć. Huk ogłusza dziewczynę, podmuch ciska nią o ścianę sąsiedniej kamienicy. Gdy odzyskuje przytomność, z gmachu, w którego podziemiach

mieścił się szpital, zostaje kupa gruzu. Nie przeżywa nikt, oprócz zdziwionej faktem, że ona żyje, Stefanii.

Z Czerniakowa przechodzi kanałami na Żoliborz. Stamtąd, gdy Powstanie upada, wędruje przez Polskę na zachód, wraz z rzeszą niedawnych okupantów. Niemcy i Polacy uciekają przed wyzwolicielami w tym samym kierunku...

Wyzwoliciele dopadają ich gdzieś w okolicach Poznania. Mordują szwabów — to zrozumiałe. Mordują Polaków — to już mniej. Lecz robią to nieoficjalnie: mężczyzn z kolumny uchodźców wywożą do lasu i słuch o nich ginie na zawsze.

Co ładniejsze kobiety wywożą do lasu również. Wśród nich jest Stefania. Co wyzwoliciele jej robią? O tym pamiętnik milczy. Stefania cudem przeżywa interwencję wyzwolicieli, parę dziewczyn zostaje na jej oczach zainterweniowanych na śmierć, i wraca do tonącej w gruzach Warszawy.

Zaczyna się nowa era dla Polski i dla Stefanii.

Era mordu pod patronatem sierpa i młota.

Pamiętniki babci sprawiły, że coś w szesnastoletniej Weronice się zmieniło. Przed ich lekturą była zalęknioną nastolatką, która w domu, gdzie jej nie kochano, i w szkole, gdzie znów była „tą nową” schodziła wszystkim z drogi i przeproszała, że żyje. Teraz jednak... podjęła walkę. Walkę o siebie.

Babcia powtarzała: ucz się, dziecko. Wykształcenie to jedyne, czego nikt ci nie odbierze. I Weronika znów przynosiła do domu same piątki, chociaż nie przychodziło jej to łatwo. Po szkole biegła do młodszych dzieci, za grosze udzielając im korepetycji. Wracała wieczorem, przemykała do swojego pokoju, by uniknąć matki i ojczyma, odrabiała lekcje, po czym późną nocą padała wyczerpana do granic wytrzymałości na łóżko i zasypiała w chwili, gdy przyłożyła głowę do poduszki.

W soboty i niedziele, gdy jej rówieśnicy balowali na imprezkach i dyskotekach, Weronika sprzątała w obcych domach, stała na zmywaku albo kelnerowała w restauracjach. Krok po kroku, dzień po dniu realizowała plan: odnaleźć Wiktora. Przyrzekła to sobie i jemu? Przyrzekła. A Weronika nie rzucała słów na wiatr.



Po szkole i po pracy, gdy znajdowała na to siły, słała listy do kolejnych poprawczaków. Nigdy nie dostała odpowiedzi, ale nie zrażało jej to przed pisaniem następnych. Babcia Stefania by się przecież nie poddała!

Do jej pamiętników wróciła w święta wielkanocne. I wtedy... zrozumiała wszystko.

Kamieniczka na Krakowskim Przedmieściu, należąca do rodziców Janka, przetrwała tylko w połowie. Tak właśnie. Część jej była kupą gruzów, sięgającą pierwszego piętra, druga trwała jak gdyby nigdy nic, jakby wojny i Powstania nie było. Matka i ojciec Janka, w momencie, gdy na dom spadła bomba, kryli się w piwnicy tej pierwszej części. Rok po wojnie odnaleziono ich ciała i pochowano, jak tysiące innych Warszawiaków, na Powązkach.

We wrześniu roku czterdziestego piątego Stefania wróciła do Warszawy, stanęła przed morzem gruzów, w które szwaby zamieniły Starówkę, i — jak tysiące innych — zakasała rękawy. Jedna cegła, druga, trzecia... Miasto powoli dźwigało się z martwych. Kamieniczka na Krakowskim, którą Stefania pragnęła nazwać swoim domem — innego przecież nie miała — rosła z piętra na piętro. Z cegły na cegłę, które młoda kobieta niestrudzenie dźwigała. Tutaj przecież miał wrócić Janek. Że wróci — Stefania nie miała najmniejszej wątpliwości. Przeżył Powstanie. Razem wyszli z Żoliborza. Wojna dobiegła końca. Los nie mógłby być tak okrutny i odebrać Stefanii także męża!

I Janek powrócił z tułaczki.

Pewnego kwietniowego dnia, gdy kamieniczka na Krakowskim miała już dach, a Stefania dźwigała ostatnie cegły, obdarty, wychudzony *bradziaga* stanął przed rodzinnym domem i zapłakał. Serce rozpoznało go natychmiast. Stefania zbiegła z drugiego piętra jak na skrzydłach, żeby w następnej chwili zatonać w kochanych ramionach.

Przeżyliśmy! — śpiewała jej dusza.

— Przeżyliśmy! — szeptała do męża, śmiejąc się i płacząc na przemian.

Przeżyli tylko po to, by parę miesięcy później konać w kazamatach ubeckiej katowni.

Najpierw przyszli po niego.

Potem przyszli po nią.

On nie wyszedł z podziemi już nigdy, poczęstowany, jak tysiące polskich patriotów, kulą w potylicę.

Ona wyszła, owszem, dwa lata później.

W pamiętniku beznamiętnie opisała tortury, jakim rodacy spod znaku sierpa i młota ją częstowali. Bicie po piersiach nahajem, zakończonym żelazną kulą, masakrowanie drutem kolczastym — szczególnie jeden z psychopatów. Wyrwanie paznokci. Katowanie gumową pałką. Wreszcie gwałt tym, co pan kat miał pod ręką. Drewniana noga od taboretu? Butelka? Lufa pistoletu? Czymkolwiek mógł dogodzić „akowskiej kurwie”, tym dogadzał.

Stefania przeżyła śmierć rodziców i siostry, przeżyła śmierć dziecka, potem okupację i Powstanie Warszawskie. Interwencję wyzwolicieli również. Dopiero kaci z Rakowieckiej ją złamali... Mówiący tym samym językiem, co ona, nie szwaby, nie ukry, nawet nie sowieci, a właśnie „rodacy” doprowadzili Stefanię do krawędzi i... pchnęli.

Przeżyła próbę samobójczą tylko dzięki towarzyszkom niedoli. Odratowały ją, obandażowały nadgarstki, rozorane żyłką, podebraną oprawcy, tą samą, którą parę godzin wcześniej ciął jej piersi, pilnowały, by żyła nadal. I Stefania żyła. Dlaczego? Dla kogo? Przestała zadawać sobie takie pytania. Po prostu trwała z dnia na dzień, znosząc kolejne tortury i upodlenia. Nazywana przez katów suką, kurwą, szmatą, ścierą, żyła... bo tak.

Nie wydała nikogo z czasów Powstania i konspiracji, ale podpisała wszystko, co w końcu dali jej do podpisu. Wyrok śmierci? Nie ma sprawy, byle tylko mieć was z głowy, ubeckie skurwiele!

Gdy wyszła na wolność — sama tym zaskoczona — ta chodząca łagodność, panienska z dobrego domu, tak miała ich do końca życia nazywać: ubeckie skurwiele. I Weronika całkowicie się z babcią zgadzała...

Była wiosna czterdziestego dziewiątego. Stefania znów stała przed kamieniczką na Krakowskim. Patrzyła w lśniące okna

mieszkania na drugim piętrze, które mogłoby należeć do niej, gdyby nie była „zaplutą karlicą reakcji” z więzienną przeszłością. Mieszkanie oczywiście przejęła władza ludowa, jej pozostała tułaczka po Polsce.

Dziedziczka majątku na Kresach, sanitariuszka AK, która ratowała życie swoim i obcym, stała się żebraczką, krążącą od domu do domu w poszukiwaniu pracy. Nie poddawała się jednak. Skoro przeżyła ubecką katownię, Bóg miał wobec niej jakiś plan, prawda? W jakimś celu kazał jej dalej żyć... I oto ów cel pewnego dnia znalazła czy raczej cel odnalazł ją.

Spała właśnie, zwinięta w godzien pożałowania kłębek, pod drzewem w Parku Skaryszewskim, gdy obudziło ją pociągnięcie za ramię. Ocknęła się gwałtownie, gotowa uciekać przed milicyjną pałką, ale to nie był stróż bezprawia, a mały, ludzki szkielecik. Dziewczynka. Tak na oko sześćioletnia. Stała bez ruchu, trzymając się życia jedynie siłami boskiej magii, patrzyła na Stefanię ogromnymi, szarymi oczami i czekała. Na cokolwiek.

— Jesteś głodna? — domyśliła się kobieta.

Dziecko milczało. Albo było niemową, albo nie miało sił na przytaknięcie.

Stefania, sama głodna, podzieliła się z Dziewczynką tym, co miała.

Parę okruchów chleba związało je na resztę życia. Dziewczynka dostała imię po siostrze Stefanii, powieszonej na bramie dworu przez ukraińskie bestie: Marzenka, tak się od tej pory nazywała. Stefania, którą z kolei ubeckie skurwiele pozbawiły szansy na własne dzieci — tak, tak, miała dopiero dwadzieścia osiem lat, a już nigdy, „dzięki” torturom na Rakowieckiej, nie będzie matką — pokochała małą jak córkę. Całym sercem.

I już wszystko byłoby dobrze, Stefania znalazła pracę i skromne mieszkanie, Marzenka poszła do szkoły, świat, który rozsypał się w trzydziestym dziewiątym, powoli zaczął wznosić się z gruzów, gdyby nie... cóż... na tym samym osiedlu, gdzie mieszkały w jednym pokoiku z kuchnią, dostał piękne M-4 na pierwszym piętrze kat z Rakowieckiej. Ten sam, który tłukł

Stefanię pejczem z żelazną kulą i drutem kolczastym.

Gdy spotkała go po raz pierwszy, przerażenie po prostu sparaliżowało kobietę. Stała niczym słup soli, odprowadzając oprawcę spojrzeniem sarny pochwyconej w sidła. Miała właśnie iść do pracy, wcześniej zaprowadziwszy Marzenkę do przedszkola, ale — gdy kat zniknął im z oczu — zawróciła na uginających się nogach do domu, zostawiła dziecko w miniaturowej kuchni, a sama skuliła się na łóżku, wgryzła w poduszkę i — kiwając się w przód i w tył — trwała w przerażonym stuporze aż do wieczora. Marzenka grzecznie bawiła się lalką z gałganków.

Parę dni później, gdy kat rozpoznał Stefanię i uklonił się jej z krzywym uśmiechem, ona powiedziała: dość. Spakowała skromny dobytek w równie skromną walizkę i ruszyła, ciągnąc za sobą Marzenkę, w Polskę. Tułały się przez jakiś czas od domu do domu, by wreszcie znaleźć bezpieczny kąt w podlaskiej wsi, Orławie.

Tam Stefania dostała posadę „uczycielki” i tam Marzenka zesłała na złą drogę. Ją, ofiarę nazizmu i komunizmu, przybraną córkę Stefanii, represjonowanej i przez tych pierwszych, i przez drugich, zafascynowała idea równości dla wszystkich.

Mimo protestów przybranej matki, tej samej, która ocaliła Marzenkę od śmierci głodowej, stała się zagorzałą aktywistką komunistycznej młodzieżówki. Po uzyskaniu pełnoletności natychmiast wstąpiła w szeregi Jedynej Słusznej Partii, a potem poszło z górki. Kogoś tak utalentowanego w donoszeniu na klasowe koleżanki i sąsiadów władza łaknęła niczym kania dżdżu. Zaopiekowała się Marzenką troskliwie, zafundowała jej studia i wypuściła w świat, by gorliwa apolegetka spełniała się w swym powołaniu: wsadzaniu za kraty, najlepiej na dożywocie, wrogów owej władzy.

Stefania... cóż... mogła się jedynie cieszyć, że córka jej samej nie poszła do więzienia. A przecież mogła. Choćby za przechowywaną przez wszystkie te lata powstańczą opaskę, jej jedyny skarb.

Nigdy nie zrozumiała, dlaczego Pan Bóg doświadczył ją i w ten sposób. Czy nie mógł postawić na jej drodze dziewczynki,

której rodzice zginęli w Powstaniu, walcząc pod stronie AK? Małej patriotki? Musiał zafundować Stefani i takie rozczarowanie? Córkę, która nie dość, że wyrosła na donosicielkę i komuszy podnózek, to jeszcze własne dziecko stawiała pod ścianą z rączkami w górze?

Widać musiał, żeby na końcu tym właśnie dzieckiem, Weroniką, ukochaną wnuczką, perełeczką, serduszką, Stefanię wynagrodzić.

Kocham Cię, Nisiu, najbardziej, najmocniej na świecie. Jesteś moim jedynym szczęściem.

Wierzę w Ciebie, w Twoją mądrość i dobre serce. Nigdy się nie poddawaj.

Bądź wierna. Idź.

Przesłanie Zbigniewa Herberta<sup>3</sup>, którym babcia się z nią zegnała, nabrało dla Weroniki nowego znaczenia...

Ostatnie strony babcinego pamiętnika czytała po wielokroć. Na początku w szoku, potem z coraz większym zrozumieniem. Skoro Marzena nie była biologiczną córką Stefani, ona, Weronika, nie była jej prawdziwą wnuczką. Stop! Wróć! Weronika nie była biologiczną wnuczką Buni, to prawda, lecz nie mogła kochać jej bardziej, niż kochała. Geny... to nie wszystko. Miłość — ta, którą dajemy i ta, którą jesteśmy obdarzani — ona czyni z nas rodzinę. Wiążemy się przecież na całe życie nie z bratem, a z obcym człowiekiem, z którym nie łączy nas z początku zupełnie nic. Dopiero miłość... ona sprawia, że ten obcy człowiek staje się dla nas całym światem.

Ostatnie słowa, które Stefania zapisała specjalnie dla niej, zapadły Weronice głęboko w serce. „Bądź wierna. Idź” — to proste, piękne przesłanie będzie dziewczyna powtarzała w najtrudniejszych chwilach swojego życia, a tych los jej nie oszczędzi.

Szykuj się, moja kochana, na kolejne niespodzianki.

Są tuż za progiem...

## ROZDZIAŁ XX

### WERONIKA



*Chyba każda z nas, patrząc wstecz, nieraz się nad tym zastanawiała: gdybym mogła cofnąć czas, co zmieniałabym w swojej przeszłości? Które wydarzenie wymazałabym całkiem, które lekko skorygowała? Jak zachowałabym się w tym i w tym momencie? Co zrobiłabym, gdyby ten albo ta ponownie uczyniliby to, co uczynili?*

*Gdy wracam pamięcią do pewnego listopadowego wieczoru, też się nad tym zastanawiam. Dzień, który ponownie wywrócił moje szesnastoletnie życie do góry nogami... Wtedy oddałabym wszystko, no, prawie wszystko, żeby zatrzymać lawinę wydarzeń. Dziś, gdy jestem starsza i mądrzejsza, wiem, że to musiało się tak skończyć, a gdy ktoś zadaje mi pytanie: co zmieniałabyś w swojej przeszłości? Odpowiadam: nic. Zupełnie nic. Wszystko miało swój sens i swoją logikę. Każda minuta mojego życia wiodła mnie tu, gdzie dziś jestem.*

*Nie możemy obrażać się na los, że dla jednych jest łaskawy, dla nas zaś parszywy. Takie wylosowałyśmy karty. Nasza w tym głowa, by mimo wszystko wygrać nimi życie...*

Weronika ledwo żywa biegła do domu po całym dniu w szkole, a potem w pracy. W tajemnicy przed matką udzielała przecież korepetycji, ciułając pieniądze na poszukiwanie Wiktora. Na razie zdobyła adres prywatnego detektywa i dopytała o stawki za podobną usługę, wiedziała więc, ile musi jeszcze zbierać, by ów detektyw w ogóle chciał z nią rozmawiać.

W duchu przeliczyła pieniądze. Jeśli będzie mieć tylu uczniów, co teraz, na początku przyszłego roku powinna zbierać potrzebne pieniądze.

Jeszcze parę miesięcy — powtarzała sobie za każdym razem, gdy brakowało jej sił. Jeszcze troszeczkę, wytrzymaj — prosiła samą siebie w takie wieczory jak ten, dżdżysty, zimny i wietrzny, gdy każdy normalny człowiek siedzi w domu, tuląc się do kaloryfera, ona zaś przemierza puste ulice miasta,

wracając z korepetycji.

„Niedługo tobie trzeba ich będzie udzielać”, pomyślała. Tak, nieco opuściła się w nauce. Nie przynosiła już do domu samych piątek — co zresztą matkę przestało obchodzić — ale tylko dlatego, że Weronika na naukę po prostu nie miała czasu i sił.

Praca zajmowała jej wszystkie wieczory i weekendy. Kiedy miała wkuwać biologię, chemię i fizykę? Całe szczęście, że matematyka wchodziła jej do głowy bez problemu... Liceum nie cieszyło się najlepszą opinią, poziom miało równie mizerny, jak miejsce w rankingu. Nie był to wymarzony Batory — matka chyba ze zwykłej złośliwości nie zgodziła się na najlepsze liceum w Warszawie, mieszczące się parę przecznic dalej — i dziś Weronika była jej trochę wdzięczna. W Batorym nie dałaby sobie rady, ucząc się tyle co nic.

„Odnajdę Wiktora i wezmę się porządnie do nauki”, obiecała sobie solennie. Jeżeli chciała zdawać na weterynarię, naprawdę musiała przyłożyć się do pracy. Egzaminy były niemożliwie trudne, konkurencja duża, stopnie na świadectwie maturalnym też się liczyły.

Nerwowo zerknęła na zegarek. Jeśli się spóźni, awantura jej nie ominie. Miała być w domu przed dwudziestą drugą i żadne usprawiedliwienia matki nie obchodziły.

Przyspieszyła kroku. Wpadła do bramy i... chwycona za ramię krzyknęła dziko.

— Ciii, to ja — usłyszała bełkotliwy głos ojczyma.

— Czego chcesz? Puść mnie! — Próbowwała wyszarpnąć rękę, ale trzymał mocno. — Puść, bo powiem matce!

Zaśmiał się jej w twarz i zwolnił uścisk. Odskokczyła na bezpieczną odległość, oddychając płytko i szybko z niedawnego przerażenia. Ruszył za nią, zataczając się nieznacznie. Był podпиты, ale nie pijany, co czyniło go znacznie bardziej niebezpiecznym. Weronika czuła, że strach wraca. Czego ten typ chciał?! Dlaczego czał się w bramie?!

Wpadła do domu z nadzieją, że matka będzie kręciła się w kuchni czy salonie, ale ona leżała rozwalona na kanapie z głową odgiętą do tyłu i chrapała w najlepsze. Pusta butelka, która wypadła jej z ręki, leżała na podłodze. Weronika obejrzała się

przez ramię. Ojczym zdejmował w przedpokoju kurtkę i buty, nie spuszczać z niej oka.

Co mu dzisiaj odbiło?! Naprawdę zaczęła się bać...

Musi szybko się wykąpać, chwycić coś do jedzenia, zamknąć się w swoim pokoju i modlić, by ten oblech dopił się wódką i poszedł spać. Wpadła do łazienki, przekręciła klucz w zamku i chwilę nasłuchiwała. Tamten był w kuchni. Zrzuciła ubranie i weszła pod prysznic, drżąc lekko ze strachu. Czowała się jak bohaterka „Psychozy” normalnie...

Gdy wyszła z łazienki, w domu panowała cisza, przerywana chrapnięciami matki. Weronika na palcach przemknęła do swojego pokoju, pal licho kolację!, i... drzwi zamknęły się za nią, pchnięte ręką ojczyma. Przekręcił klucz w zamku, odcinając jej drogę ucieczki. W panice zaczęła cofać się pod okno.

— Ej, chyba się mnie nie boisz, kwiatuszku? — wymruczał, zbliżając się do dziewczyny wolnym, pewnym siebie krokiem. Z tej matni nie było ucieczki. — Nic ci nie zrobię. Trochę się poprzytulamy i...

— Nie będziesz mnie przytulał! — wydusiła przez zaciśnięte spazmatycznie gardło. — Wyjdź stąd albo zacznę krzyczeć!

Powinna była krzyczeć od razu, w chwili gdy zamykał za nią drzwi, a nie uprzedzać go o tym teraz, bo... był szybki. Mimo alkoholu był naprawdę szybki. Jedną ręką chwycił ją za gardło, zdusił krzyk. Palce drugiej zacisnął na piersi dziewczyny. Tak silnie, że nogi się pod nią ugięły z bólu i przerażenia.

— Będziesz milutka, księżniczko, i pozwolisz na zwykłe macanko, czy zaczniesz się stawiać i macankiem się nie zadowolę? — wysyczał, nie zwalniając uścisku.

Weronika, wychudzona, słabsza i niższa od niego o głowę nie miała żadnych szans z tym basiorem. Znieruchomiła. Opuściła ręce, którymi próbowała uwolnić gardło, i trwała ledwie łapiąc oddech. Uśmiechnął się i mlasnął oblesnie.

— Bardzo dobrze. Widzę, że się dogadamy. Jeszcze cię chwilę przytrzymam, żebyś poczuła, co ci zrobię, jak zaczniesz fikać i...

Dziewczyna rzeczywiście czuła, ale zupełnie co innego, niż



bydlak miał na myśli. To zaczęło się w opuszczonych wzdłuż boków rękach: chłód wędrujący szybko od palców przez ramiona aż do serca. Czysta, płynna adrenalina. Ciało spięło się, gotowe na atak.

Jeszcze nie teraz... — coś szeptało w umyśle dziewczyny, przed sekundą spanikowanym, teraz zimnym jak ostrze noża przyłożone do gardła. — Czekaj, aż skurwiel cię puści. Jeśli chce zabawy, musi to zrobić. Czekaj... Ani drgnij. W tej chwili może skrócić ci kark, a tego nie chcesz. Po prostu trwaj nieruchomo.

Trzymając ją za gardło, zaczął szarpać się z guzikiem jej dzinsów i suwakiem rozporka. Ani drgnęła. Gdy wsadził rękę między nogi dziewczyny, też nie zareagowała.

Wreszcie... Chcąc przyciągnąć ją bliżej rozwarł palce i... Zaatakowała niczym wściekła żmija: kciukami w oczy, zawył, poprawiła kopniakiem w jądra, padł na kolana. Nie bawiąc się dłużej w ninja, rzuciła się biegiem do drzwi. Chwycił ją za nogę, ale za lekko. Wyrwała się. Wypadła na korytarz. Potem na klatkę schodową. Zbiegła na dół. Byle dalej od bandziora!

Wybiegła na dwór i zatrzymała się, nasłuchując. Panowała niczym niezmacona cisza. Weronika stała pośrodku podwórza, trzęsąc się z przerażenia i odrazy. Jeszcze nie czuła zimna, chociaż miała na sobie tylko dzinsy i bluzkę, ale musi w końcu się ruszyć, bo zamarznie.

Tylko dokąd?!

Poczeka do rana w kotłowni. Tam jest ciepło. Ukryje się tak, żeby palacz jej nie znalazł i będzie czekała na świt. Wtedy ocknie się matka — musi przecież iść do roboty — Weronika powie jej, co się stało i pedofil zniknie z ich domu. W końcu! Matka powinna tego nieroba, zboczeńca cholernego, pogonić już dawno!

Dziewczyna ze wstrzymanym oddechem zawróciła. Zanim weszła w ciemną czeluść klatki schodowej, długie chwile nasłuchiwała, czy ojczym się tam nie czai, ale pewnie został w mieszkaniu, bo panowała cisza. Weronika słyszała tylko wściekły łomot własnego serca. Bezszelestnie zbiegła do piwnicy. Drzwi od kotłowni były uchylone. Widać palacz właśnie

dorzucał węgla do pieca. To dobrze. Za chwilę facet wyjdzie i wróci dopiero za kilka godzin. Ukryła się we wnęce pod schodami i czekała, uspokajając oddech, aż droga będzie wolna.

Do rana, skulona za workami z węglem, nie zmrużyła oka. Nasłuchiwała odgłosów dochodzących z wyższych pięter. Dzień zaczął się jak zwykle awanturą u nich w domu. Po paru wiązkach ojczym wyszedł, trzasnąwszy z pasją drzwiami. Weronika słyszała jego ciężkie kroki na schodach, potem na podwórzu. Odczekawszy jeszcze parę minut, wypełzła zza worków. Mogła wracać do domu.

— Mamo... — zaczęła, z trudem panując nad łzami.

Marzena, niemrawo popijająca poranną kawę, podniosła na córkę wzrok.

— Gdzieś ty się szlajała? — syknęła, widząc czarne od węglowego pyłu ręce dziewczyny, brudne dżinsy.

— W nocy musiałam uciekać, mamo... — Weronika zrobiła krok w jej stronę, błagając matkę spojrzeniem, by ta wstała, objęła ją ramionami i przytuliła. — Ojczym się na mnie rzucił. Chciał... chciał mnie... — Słowo „gwałt” nie mogło przejść dziewczynie przez gardło. Łzy popłynęły po brudnych od węgla policzkach.

Marzena wstała powoli, czując narastającą furię. Wiedziała, że Rafał ją zdradza, nieraz robiła mu o to karczemne awantury, ale on śmiał się jej w twarz i groził, że odejdzie. Gdyby dorwała którąś z jego flam, wydrapałaby suce oczy, serce wyrwała, ale nie знаła żadnej z nich. Aż do teraz. Oto właśnie miała przed sobą tę małą, podłą dziwkę, która paradowała po domu, kręcąc biodrami, prowokując, uśmiechając się do Rafała zachęcająco...

Jak nie trzaśnie dziewczynę w twarz!

Ta wpada na ścianę, łapiąc się za policzek. W oczach ma szok.

— Coś taka zdziwiona? — syczy Marzena. — Nie wiesz, że za kurestwo się płaci?!

Jak nie przywali jej z drugiej strony!

Dziewczyna ucieka z kuchni. Biegnie do swojego pokoju. Zatrzaskuje za sobą drzwi i przekręca klucz w zamku.

— Masz się wynosić z tego domu, suko! — Marzena wali w

drzwi pięścią. — Gdy wrócę z roboty, ma ciebie tu nie być! Słyszysz, bękarcie?!

Odpowiada jej cisza.

Marzena zaciska zęby, aż zgrzyta, wraca do kuchni i wychyla ledwo ciepłą kawę. W jej domu nie biło się dzieci, owszem, ale ta mała dziwka nie jest już dzieckiem. Siała wiatr? Niech zbiera burzę!

Kobieta z satysfakcją wraca do swojego pokoju, który dzieli z Rafim. Ubierając się w za ciasną garsonkę zaczyna podśpiewywać. Ma pewność, że pozbyła się Wery z domu raz na zawsze.

*Tak oto w wieku szesnastu lat stałam się bezdomną. Nie mogłam liczyć na nikogo, tylko na siebie. Nie miałam rodziny. Przyjaciół, którzy przygarnęliby mnie pod swój dach, nie zadając pytań, także nie. Jedynie Wiktor... tak, on by mi pomógł, gdybym tylko wiedziała, gdzie go szukać, no i gdyby akurat nie siedział w poprawczaku. Tam wprowadzić się przecież nie mogłam. Byłam samotna, bezdomna i... wolna. Nie trzymało mnie w tym miejscu nic ani nikt. Mogłam ruszać w świat swoją własną drogą. Dokądkolwiek mnie ona zaprowadzi.*

Weronika szła przed siebie sztywno, niczym manekin. Policzki, obite przez matkę spuchły, głowa pękała z bólu. Powinna płakać. Tak. To nienormalne, że od chwili gdy wpadła do pokoju i zamknęła drzwi na klucz, tym razem uciekając przez matkę, nie uroniła ani jednej łzy, ale... jeśli miałyby płakać to nie z bólu, nie z przerażenia, a narastającej z każdym uderzeniem serca nienawiści. Właśnie to uczucie wrzało jej w żyłach. Kobieta, która ją urodziła i powinna chronić nawet za cenę życia, zamiast wyrzucić z domu zboczeńca, co dobiera się do jej córki, wyrzuca tę córkę. Uprzednio przypieprzając jej z całej siły w twarz. Raz i drugi.

Nienawidziła.

Znów pakowała rzeczy do dwóch walizek, dorzucała pamiętniki babci Steni, automatyczną sekretarkę oraz pudełko, w którym ukryła pieniądze i... nienawidziła.

Gniew, rosnący w sercu Weroniki od kilku lat wreszcie eksplodował potężnym płomieniem, paląc resztki uczucia, jakim

dziewczyna darzyła matkę. Marzena nie zasługiwała na miłość. Taką matkę jak ona można tylko nienawidzić. Więc Weronika nienawidziła.

Godzinę temu wyszła z domu, ostatecznie zamykając za sobą drzwi do przeszłości. Nie wróci do tego miejsca. Nigdy!

Zbiegła po schodach, mimo ciężących jej walizek czując lekkość w sercu. Była wolna! Gdyby to ona uciekła z domu, bałaby się, że matka zacznie jej szukać, ale ta ją wyrzuciła!

W bramie minęła listonosza. Spojrzał na nią bez ciekawości czy zdziwienia. W tych okolicach nastolatki z czerwonymi od uderzeń policzkami, były częstym widokiem.

Dziewczyna zniknęła. On podszedł do skrzynki i wrzucił pod numer czwarty list zaadresowany do Weroniki Nocyk. Pierwszy z kilkunastu, których ona nigdy nie dostanie. Minęła się z miłością swego życia dosłownie o krok. Szkoda...

Dziewczyna zwolniła wreszcie, zmęczenie po nieprzespanej nocy i wycieńczenie głodem — kiedy ostatnio miała coś w ustach, wczoraj rano? — wzięło górę. Przysiadła na ławce.

Ludzie spieszący gdzieś w swoich sprawach omiatali Weronikę obojętnymi spojrzeniami. Jeśli ktoś zdumiał się, co robi nastolatka z dwiema walizami i obitą buzią we wtorkowy rano na przystanku, krótko się nad tym zastanawiał, mając swoje problemy. Weronika przez nikogo nie niepokojona odpoczywała przez parę minut, wreszcie wstała i ruszyła dalej.

Tylko dokąd?

Zatrzymała się gwałtownie.

Do tej pory zawsze miała jakiś cel. Jeśli wychodziła z domu, szła albo do szkoły, albo na korepetycje. Dzisiaj do szkoły z dwiema walizami i posiniaczoną twarzą pójść nie może — nauczyciele natychmiast by się tym zainteresowali, całkiem życzliwie, i wolność Weroniki skończyłaby się pewnie na posterunku policji — a po ulicach błąkać się w nieskończoność przecież nie będzie!

Zawróciła na przystanek, żeby pomyśleć, co dalej. Hostel? Tam też zainteresują się jej oplakany stanem. Schronisko dla bezdomnych? Już lepiej. Tylko czy ona, niepełnoletnia, może być w ogóle bezdomna? Do osiemnastki odpowiadają za nią

rodzice... Ojciec. Może odnajdzie ojca?

I co? Zamieszkaś z nim dla odmiany? Żadnych cholernych rodziców, okej?!

Naprawdę nie miała pomysłu, co ze sobą zrobić.

Sięgnęła po gazetę, którą ktoś zostawił na ławce. Otworzyła na stronie z ogłoszeniami. Och, mieszkań do wynajęcia było co niemiara, lecz Weronikę na żadne z nich nie było po prostu stać. Pieniądzy przeznaczonych na poszukiwania nie ruszy dotąd, aż będzie umierać z głodu albo chłodu. Koniec. Kropka. Musi więc zacząć życie na wolności od poszukiwania pracy. Najlepiej z zamieszkaniem. Takiej, gdzie nie będą pytać o wiek.

To ogłoszenie od razu przyciągnęło jej wzrok: „Poszukiwana dziewczyna, najlepiej studentka, do opieki nad dwoma końmi w zamian za mieszkanie przy stajni i możliwość jazdy konnej”. Znaczyło to mniej więcej tyle, że nie zarobi ani złotówki, ale będzie miała dach nad głową. No i dwa konie pod opieką. Kochała konie!

Poderwała się na równe nogi, gotowa natychmiast biec pod adres podany w ogłoszeniu. Tylko gdzie jest ulica Czeremchowa? Znalazła ją na planie Warszawy, wyrwanym z książki telefonicznej. Akurat na przystanek podjeżdżał autobus, który zawiezie ją na Białołękę. Weronika wniosła do środka swój dobytek, skasowała bilet i usiadła przy oknie. Autobus ruszył. Los zachichotał złośliwie, zacierając ręce. Jeśli Nisia łudzi się, że teraz ma już z górki, jest w błędzie. Oj, w dużym błędzie...

## ROZDZIAŁ XXI

MAGDA



Na Białolecie Weronika nigdy nie była, przecież dzieciństwo i młodość spędziła u babci Steni, nie wiedziała więc, czego się spodziewać. Tego, że trafi na koniec świata nie spodziewała się na pewno. Ulica, którą właśnie szła, wyglądała jakby czas się zatrzymał. Pusta i cicha, z drewnianymi chatami po obu stronach, przypominała dziewczynie bardziej Orławę, niż stolicę. Ale to się Weronice podobało. Kochała przecież wieś.

Im bliżej było do celu, tym serce dziewczyny biło mocniej, a żołądek bolał ze strachu. Zapadał zmierzch, jak to w listopadzie, gdzie ona się podzieje tej nocy, jeśli stąd ją pogonią?

Wreszcie jest: na koślawym płocie z poczerniałych ze starości sztachet tabliczka z numerem 18. Furtka uchyla się zapraszająco od lekkiego pchnięcia dłonią. Weronika wchodzi do środka i... aż wstrzymuje oddech. Zachwycona i przerażona zarazem.

Wydeptana ścieżka wiedzie przez chaszczę: a to zbrązowiały oset, a to kępa pokrzyw do pasa, zwiędła i pomarszczona, dziurawe liście łopianu panoszącego się pod płotem. Widać, że od dziesięcioleci nikt o ten ogród nie dbał. Stara studnia z kołowrotem, nakryta daszkiem, stoi przy płocie. W głębi ogrodu zza krzaków bzu — ich zbrązowiałe kwiatostany są niczym kikuty rąk, wzniesione ku chmurnemu niebu — wygląda przycupnięta do ziemi chatynka z czerwonej cegły, która spokojnie pamięta czasy przedwojenne. Okna w szprosik przyglądają się nadchodzącej dziewczynie, okiennice zbite z kilku desek są otwarte. Weronika zagląda do środka, lecz przez gęste firanki niewiele widać. Rusza więc dalej.

Do chatki wchodzi się od drugiej strony, przez stajnię. Dziewczyna zagląda do mrocznego wnętrza.

— Dzień dobry! Jest tu kto?

Gdzieś w głębi zapala się światło i czyjś miły, kobiecy głos odkrzykuje:

— Jestem na stryszku! Wejdz, kimkolwiek jesteś zbłąkana duszo!

I Weronika już wie, że wróciła do domu...

Zapach słomy i siana, mieszał się z wonią końskiego potu. Dwie klacze — jedna cisawa, druga skarogniada — wyciągnęły ku dziewczynie ciekawskie pyski. Podeszła do pierwszej, żeby pogłaskać ją po nosie, gdy ostre: — Nie! Ona gryzie! — zatrzymało ją w miejscu.

Klacz jak na zawołanie położyła uszy po sobie i kłapnęła zębami tuż przed wyciągniętą ręką. Weronika cofnęła się gwałtownie. Po drabinie zeszła na dół dwudziestokilkuletnia dziewczyna, podbiegła do Weroniki i chwyciła ją za ramiona:

— Cała jesteś? Dzięki Bogu. Ta bestia — wskazała cisawą klacz — udaje łagodną i przyjacielską, żeby zwabić cię bliżej i odgryźć ci dłoń albo zerwać skalp. Uważaj na nią, dobrze? Nie chcemy tu pogotowia. Jestem Magda Łotysz, a ty? Przyszłaś pojeździć? Nie! Masz ze sobą walizki, czyżbyś... — zawiesiła głos.

— Weronika. Weronika Nocyk. Przyszłam w sprawie pracy, jeśli ogłoszenie jest jeszcze aktualne.

— Och, było kilku chętnych, ale jeden dotarł zaledwie do połowy ścieżki, dwie owszem, weszły do stajni i czym prędzej zawróciły, marszcząc zgrabne noski, chociaż dbam przecież o zwierzęta i nawóz wywożę na bieżąco, trzeci nawet się nie skrzywił, dopiero gdy uświadomiłam go, że łazienki w domu nie uświadczysz, wychodek jest na zewnątrz, ogrzewać musi kozą na węgiel, a wodę targać ze studni, również wymiękł. Tak więc żegnam, Weroniko, wiesz, jak trafić do wyjścia?

Dziewczyna zamrugwała, nic nie rozumiejąc.

— Ale... z tego co mówisz, nie został nikt — zauważyła nieśmiało. — Posada jest do wzięcia.

Tym razem zdziwiła się Magda.

— Dziewczynko droga, to nie jest miejsce dla takiego chucherka — wyjaśniła. — Trzeba dźwigać węgiel, który spala się zastraszająco szybko, trzeba targać cholernie ciężkie wiadra wody dla siebie, a przede wszystkim dla koni...

— Jestem silna! Dam radę! — zapewniła Weronika gorąco.

Tamta przyjrzała się jej z ciekawością.

— Nie powinnaś o tej porze siedzieć w domciu i przy stole w cieplej kuchni lekcje odrabiać? Ile ty masz właściwie lat?

— Prawie siedemnaście. I nie mam... — W ostatniej chwili ugryzła się w język.

Gdy wyzna nieznajomej, że nie ma domu, ta zaczęła pytać, dlaczego. Uciekła z sierocińca? Weronika będzie musiała przyznać, że matka wyrzuciła ją na ulicę, a przecież matki ot tak dzieci nie wyrzucają. Padną następne pytania, na które nie chciała odpowiadać.

— Przyjechałam z daleka. Chcę się uczyć w warszawskim liceum. Tam, skąd przybywam, poziom jest dużo niższy. Stancja, na której miałam się zatrzymać, została wynajęta komu innemu. Nie mam gdzie się podziać, nie mam co ze sobą zrobić, a to miejsce podoba mi się bardzo. Widzisz, chcę zdawać na weterynarię. Kocham zwierzęta, a szczególnie konie. Będę dobrze się nimi opiekowała, tylko proszę... — głos jej zadrżał od z trudem powstrzymywanych łez — ...daj mi szansę. Niestraszne mi noszenie węgla, wiadro wody też przydźwigam i to niejedno. Bardziej przeraża mnie perspektywa powrotu do domu — o, tutaj mówiła prawdę — niż mieszkanie w tej chatynce, wierz mi.

Magda z każdym słowem dziewczyny uśmiechała się coraz szerzej. Gdy ta skończyła swą gorączkową opowieść, chwyciła ją za rękę, uścisnęła i rzekła:

— Masz tę fuchę. Z zamieszkaniem.

W oczach Weroniki błysnęły pierwsze łzy.

— Nap-naprawdę? — zająknęła się, nie dowierzając swojemu szczęściu i... rzuciła się Magdzie na szyję. — Dziękuję! Bardzo, z całego serca ci dziękuję!

Ta zaśmiała się i rzekła, poważniejąc:

— Kochana, mogę się założyć, że jeszcze dziś, a najpóźniej jutro rano będziesz mnie przeklinać. Mieszkam tutaj od wiosny i, nie powiem, było super. Do pierwszych przymrozków. Teraz jest masakra. Chata wyziębia się momentalnie, a ja, cały dzień spędzając na uczelni, nie mogę dorzucić węgla, więc wracam do lodowni. Jeśli nie wstanę w nocy i nie nakarmię żarłocznej



kozy, na parapecie zamarza śmietana. Doprawdy nie potrzebna ci będzie lodówka. Gdy na dodatek przelecisz się kilka razy dziennie z dwoma wiadrami wody... — Machnęła ręką. Weronika potrafi to sobie chyba wyobrazić. — Ale najgorsze... — Urwała.

Jeśli chce wrócić do cywilizacji, musi znaleźć kogoś na swoje miejsce, a ta zbłąkana dusza naprawdę wydaje się zdesperowana. Nie wolno jej stracić! Pomoże Weronice, pomoże i sobie.

— Nie uda ci się mnie zniechęcić — odezwała się dziewczyna, zupełnie jakby czytała jej w myślach.

— Boisz się... żuków? — Magda musiała jednak zapytać.

— Niespecjalnie. Mieszkałam na wsi. Tam jest pełno żuków.

— Super. W takim razie powinnaś sobie poradzić. Kiedy możesz zacząć? — Magda spojrzała z nadzieją na dwie walizy.

— Teraz — odparła stanowczo Weronika.

I tak oto zaczął się w jej życiu rozdział pod tytułem „Krew, pot i łzy”...

— Ta wścieklizna ma na imię Huba. — Magda, uradowana, że jej wygnanie lada moment dobiegnie końca, bez zwłoki zaczęła wprowadzać swą następczynię w obowiązki. — Nie wchodzi do niej pod żadnym pozorem, dobrze?

— Dobrze.

— Przyrzeknij mi to!

— Przyrzekam, ale...

— Wodę podstawiasz jej dołem, pilnując by nie sięgnęła cię zębami. Siano rzucasz od góry, również się pilnując. Owies sypiesz tą długą łychę...

— Pilnując się oczywiście — wpadła jej w słowo Weronika i obie się roześmiały. Nagle poczuła sympatię do starszej koleżanki. Chciałaby przyjaźnić się z kimś takim jak Magda Łotysz...

— Uratowałam tę bestię od przerobienia na żarcie dla psów i bynajmniej nie jest mi za to wdzięczna — ciągnęła Magda. — Tak! O tobie mówię, wredoto! — Wyciągnęła rękę i potargała ucho kasztanowatej klaczy. Ta, o dziwo, nie odgryzła jej tej ręki, chociaż pro forma zębami kłapnęła. — Ty tego nie rób —

dodała, zwracając się do Weroniki, a potem podeszła do boksu obok, gdzie spokojnie żuła owies skarogniada klacz.

— Ta ślicznotka jest przeciwieństwem Huby. No chodź do mnie, kochana... — Magda weszła do boksu, klacz przyczłapała do niej i oparła głowę na ramieniu dziewczyny, za co została nagrodzona czułym całusem. — Kupiłam ją razem z hacjendą. Gdy weszłam tu pierwszy raz, smród mało nie pozbawił mnie przytomności. Możesz nie wierzyć, ale gnoju w tym boksie było tyle, że koń sięgał grzbietem sufitu. Stał przygarbiony, brudny i chudy jak śmierć. Nie ruszał się, bo nogi zapadły mu się w to bagno po pęciny. Weroniko droga... nie mogłam postąpić inaczej, niż wykupić bidulę razem z całą rudera. A ile miałam potem sprzątanania! Grzbiet mi pękał od krążenia z taczka pełną gnoju. Całe szczęście, że mam przyjaciół, którzy za wikt i parę piw pomogli mi w tej stajni Augiasza. Tobie, mam nadzieję, też będzie miał kto pomóc? W razie... no nie wiem... gdy nasypie śniegu po pas?

Weronika przytaknęła pośpiesznie, w duchu prosząc Magdę o wybaczenie za owo drobne kłamstwo. Poradzi sobie i ze śniegiem!

— Nevada, bo tak ma na imię moja pieszczoszka, jest najłagodniejszym, najukochańszym konikiem na tej planecie. Możesz z nią spać tutaj, w boksie, mówię serio!, a ona nie tylko cię nie nadeptnie, to jeszcze położy się, by cię ogrzać, no i być bliżej ciebie. Cud konik. Chodź, poznajcie się.

Weronika bez namysłu weszła do środka, przytuliła policzek do szyi klaczy i zaczęła ją gładzić z rosnącym wzruszeniem. Czowała, że jest na swoim miejscu. W domku, w którym chciała zostać, ze zwierzakiem, którego już kochała.

— O, są i dwie łobuziary! — wykrzyknęła Magda, a do boksu wpadły, popiskując z radości i łaszcząc się dziewczynom do nóg, dwie suczki, wielkością i wyglądem przypominające owczarki niemieckie. — Ta większa to Aza, Azunia moja kochana, ta mniejsza, szlajaczka, co sąsiadów straszy, to Timba...

— Timba?! — wykrzyknęła Weronika. — Czytałaś tę opowieść?!

— No pewnie! Uwielbiałam ją i nie mogłam się doczekać

własnego owczarka. Zamiast jednak rodowodowej piękności trafiła mi się ta, nieco pokraczna kundelka, ale i tak nazwałam ją Timba. Azę kupiłam wraz z domem, stajnią i Nevadą. Jest autochtonką. Nie było tego w ogłoszeniu, ale opieka nad psami również należy do ciebie. Ja funduję zwierzyńcowi karmę, siano i słomę. Za siebie płacisz ty. Mam nadzieję, że to uczciwe warunki? — Spojrzała na Weronikę z niepokojem, czy dziewczyna aby się nie rozmyśliła.

— Bardzo uczciwe.

— Na pewno dasz sobie radę? Będzie ciężko.

— Życie nigdy specjalnie mnie nie rozpieszczęło.

— Nika, ja nie mówię o „rozpieszczaniu”. Właśnie załapałaś się na prawdziwy survival. Jesteś pewna...

— Survival hartuje charakter. Nie martw się, Madziu, ani o mnie, ani o zwierzęta. Zostawiasz je w dobrych rękach. Będę dbała i o psiaki, i o konie. Możesz być spokojna.

— O psiaki i konie się nie martwię. O ciebie — owszem.

Przyjrzała się dziewczynie tak chudej, że trzymała się w pionie chyba tylko siłami magii.

— Jadasz czasem, czy jesteś na nieustającej diecie? Jeśli zemdlejesz z wysiłku, nikt cię tu nie znajdzie, nie wezwie pogotowia. Masz tego świadomość? Chyba nie załapałaś się na anoreksję? — Nagle na serio zaczęła mieć wątpliwości, czy zatrudnienie tego dziecka będzie dobrą decyzją i nie sprowadzi na nią, na Magdę, samych kłopotów.

— Nie mam anoreksji, po prostu za bardzo nie znajduję czasu na jedzenie. W dzień chodzę do szkoły, popołudniami dorabiam, udzielając korepetycji, do domu wracam po nocach i czasem nie mam po prostu siły, by sobie coś ugotować. Ale skoro odpadną mi koszty czynszu, nie będę się tak zaharowywała — zapewniła Magdę, w duchu rozgrzeszając siebie za kolejne kłamstwo.

Pieniądze odkładała nie na czynsz, a na odnalezienie poprawczaka, a którym siedział Wiktor. Nie mogła przecież powiedzieć Magdzie, że kocha się w łobuzie z wyrokiem, prawda?

— No dobrze. Chodź, pokażę ci twoje królestwo. — Magda

pociągnęła ją za sobą do części mieszkalnej. Suczki w podskokach pobiegły za nimi.

Ze stajni przechodziło się do sieni, w której stała beczka z owsem, wiadro węgla i drugie, ze świeżą wodą, a stamtąd do ciepłej, jasnej kuchni, gdzie oprócz miski do mycia naczyń i dwupalnikowej kuchenki na gaz z butli, koślawej szafki i małej lodówki, nie było nic.

— Skromnie tu, przyznaję. — Magda rozejrzała się po pomieszczeniu, patrząc na nie oczami Weroniki.

Czy dziewczyna aby się nie zrazi...? Ale ona zdawała się zachwycona. Chociaż powodem tej radości też nie mogła się ze starszą koleżanką podzielić. Kuchnia bez kręcącego się po niej zboczonego faceta! I bez matki, syczącej przekleństwa! Co za ulga!

— Zapraszam na pokoje. To znaczy jeden pokój.

Magda otworzyła następne drzwi i oto znalazły się w uroczym, dziewczęcym pokoiku, z wygodnym tapczanem pod ścianą, szafą po przeciwnej stronie, biurkiem pod jednym z dwóch okien, na którego parapecie stała kolorowa doniczka z drzewkiem szczęścia, i uroczą komódką pod drugim oknem, na której z kolei stało zdjęcie przystojniaka.

— Twój chłopak? — Domyśliła się Weronika. Odpowiedział jej rozmarzony uśmiech.

— Mój misiulek najmilszy. Nie mogę się doczekać, kiedy wróci. Studiuje w Dublinie. Inżynierię lądową. Tęsknię za nim, jak wariatka jakaś. Będzie w Polsce na święta i wtedy się nim nacieszę. — Ucałowała zdjęcie i od razu wrzuciła je do walizki, stojącej do tej pory w kącie. — Ty pozwiedzaj otoczenie, ja zacznę się pakować, okej?

— Pewnie.

Weronika wyszła z pokoju, czując w sercu niczym niezmaconą radość. Domek się jej podobał, zwierzaki były kochane. Dojazd do miasta jest. Może od razu się rozpakować i mieszkać. Już dziś zaśnie spokojnie w bezpiecznym miejscu. Nigdy więcej ojczym nie wsadzi jej między nogi swoich obmierzłych, lepkich łap.

## ROZDZIAŁ XXII

### WERONIKA



Tuż przy wyjściu ze stajni natknęła się na niewielką stertę węgla. Zbyt długo się nim nie pogrzeje. Pierwszym wydatkiem — jak wysokim? — w nowym miejscu będzie zakup opału.

Nieco dalej stała wygódka z obowiązkowym serduszkim w drzwiach. Weronika zajrzała do środka i skonstatowała z ulgą, że kibelek jest czysty i nawet specjalnie nie odrzuca wonią. Przytulony był do kuchni letniej, gdzie będzie można gotować karmę dla psów, o ile Magda zostawi jej jakieś pieniądze na świeże mięso. Jeśli nie, Aza i Timba będą musiały zadowolić się granulkami, których kilka worków stało w sieni.

Za kuchnią letnią ciągnęły się padoki i pastwiska aż pod las. Sąsiadów po lewej nie było widać, dom sąsiadów po prawej ukryty był za wielką szklarnią, której komin górował nad całą okolicą. Nie będą więc wchodzić sobie w drogę.

Zawróciła do domu, po drodze przytulając się na chwilę do Nevady. Konik położył jej głowę na ramieniu, jak poprzednio swojej pani, i parsknął cicho.

— Tu jest siodlarnia — usłyszała głos Magdy. — Gdy tylko znajdziesz czas i chęci, możesz wypuścić się na przejażdżkę. Tylko na Nevadzie oczywiście. Jest bardzo spokojna i uważna. Nie zrobi ci krzywdy. Gdybyś jednak spadła, zatrzyma się i poczeka, aż z powrotem wgramolisz się na jej grzbiet. Cudna moja, Nevadzia kochana. — Z czułością pogłaskała gładką, lśniącą sierść zwierzęcia. — Co jakiś czas będę wpadała sprawdzić, jak ci idzie. Podrzucę żarełko dla psów, karmę dla koni i wszystko, co potrzebne. Zostawiam kosmetyki i parę ciuchów roboczych, bo swoich pewnie nie masz. Czestuj się wszystkim, co znajdziesz w domu i zagrodzie, okej?

Położyła Weronice ręce na ramionach i spojrzała jej poważnie w oczy.

— Gdybyś miała dosyć, nie wstydź się, że nie podałaś. Dzwon. Najbliższy telefon jest u sąsiada z kominem.

— Wszystko będzie w porządku. Jestem twardsza, niż się

wydaje.

„Chyba nie masz wyboru, dziecińo”, odparła w myślach Magda.

Kiedyś może zaprzyjaźni się z tą zabiedzoną sierotą na tyle, że Weronika wypłacze się na jej ramieniu ze wszystkich trosk. Teraz uśmiechała się i miała słońce w oczach, widać było, że jest szczęśliwa, ale na dnie źrenic czaił się smutek i ból. Magda studiowała psychologię. Nie mogła się mylić.

Zacisnęła lekko ręce na ramionach dziewczyny.

— Bądź dzielna. Nie zostaniesz z tym wszystkim sama. Raz w miesiącu wpadnę z paczką przyjaciół i wysprzątamy stajnię. Nie przemęczaj się. I jedz, na miłość boską! Masz jakieś pieniądze, czy ci pożyczyć?

Weronika poczuła, jak gardło zaciska się jej ze wzruszenia. Oto obca dziewczyna, poznana godzinę temu, troszczy się o nią bardziej niż ci, co powinni.

— Mam pieniądze. Dziękuję. Za wszystko — wydusiła przez łzy.

— Podziękujesz mi jutro rano, jeśli przetrwasz walkę z żukami — odparła Magda, sama równie wzruszona. — Albo mnie przeklniesz. Jedno z dwojga.

Druga wzmianka o żukach powinna zapalić czerwoną lampkę w umyśle Weroniki, ale ta była zbyt szczęśliwa, by zwracać uwagę na takie drobiazgi. Co tam jakieś żuki! Miała na głowie poważniejsze problemy, chociażby zakup węgla. I to pilny!

Magda dała jej namiary na sąsiada, który podrzuci opał pod drzwi stajni i zbyt wiele za to sobie nie policzy, po czym nadszedł czas, by wsiadła do swojego żółtego jak kurczaczek maluszka i odjechała. Weronika machała jej na pożegnanie, stojąc pośrodku wciąż pustej ulicy Czeremchowej dotąd, aż samochód zniknął jej z oczu.

Wróciła do domu. Usiadła przy biurku i zapatrzyła się w szary zmierzch, czując jak serce wypełnia się spokojem i radością. Postawiła na honorowym miejscu automatyczną sekretarkę. Na komódce, z której zniknęła fotka tamtego przystojniaka, umieściła oprawione w malutką ramkę zdjęcie

Wiktora, to samo które dał jej, gdy wyjeżdżała z babcią na wieś. No. Teraz to był jej dom. Jej własny.

Włączyła automatyczną sekretarkę.

Piip. „Nie mogę teraz odebrać telefonu. Proszę o pozostawienie wiadomości”. Piip.

— Cześć babciu, to ja, Weronika — zaczęła przyciszonym głosem, ale natychmiast sobie przypomniała, że jest sama. Nikt, żaden zboczony typ, nie podsłuchuje pod drzwiami. Mogła spokojnie opowiedzieć babci o wydarzeniach mijającego dnia. I poprzedniej nocy również. Z tym, że babcia nie odpowie jej już nigdy, powoli zaczynała się godzić.

Był jednak ktoś, kto odpowiedzieć powinien. Wystarczyło tylko go odnaleźć.

Weronika wyciągnęła z walizki ostatni pamiętnik babci, w którym trzymała swoje dokumenty, ozdobną papeterię i... skarb, jaki babcia jej zostawiła. Skarb z czcią wsunęła z powrotem do zeszytu, po czym wyjęła kartkę z papeterii, długopis, przygryzła jego końcówkę, jak zawsze, gdy miała się rozpisać i zaczęła od tych samych słów, co dziesiątki razy wcześniej:

*Wiktorze najmilszy...*

Pisała do późnej nocy. Najpierw list do Helerta, który wyśle jutro z samego rana, potem początek nowej opowieści. O sierocie, która ucieka z domu dziecka i trafia do chatki na wsi, gdzie jedynymi mieszkańcami są dwa konie i dwa psy.

Cudnie się Weronice pisało tę historię. Słowa same spływały na zeszytowe kartki. Przerwała dopiero wtedy, gdy powieki zaczęły jej opadać ze zmęczenia. Dorzuciła węgla do kozy, stojącej w rogu pokoju. Postawiła na niej wiadro wody, która nagrzeje się na poranną kąpiel i... mogła kłaść się spać.

— Muszę zapamiętać, co mi się przyśni — wyszeptwała do siebie. — Sen w nowym miejscu zawsze się spełnia. Chodźcie, pieski. — Zachęciła sunie, by weszły do pokoju i położyły się na dywaniku pod łóżkiem. Z nimi czuła się po prostu dobrze.

Zgasiła światło i z westchnieniem ulgi przyłożyła głowę do poduszki. Chwilę później spała jak zabita.

Może z kwadrans.

Obudził ją... dziwny dźwięk. Cichutkie, ale denerwujące

chrobotanie.

Myszy? Raczej nie. W domu Buni były myszy i one chrobotają inaczej.

Weronika sięgnęła do nocnej lampki, włączyła światło i... wrzasnęła na całe gardło z przerażenia i wstrętu. Po wszystkich czterech ścianach pokoju wspinały się... nieee, Magda bezczelnie ją ołgała! To nie były żadne „żuki”, tylko tłuste, błyszczące karaluchy! Krzyknęła ponownie. Niczego nie brzydziła się bardziej od karaluchów! Odskokczyła od ściany przy łóżku, bo i tam się już pokazały. Poderwała się na równe nogi, nie mając pojęcia, co robić. Szufelka! Na kozie leżała szufelka na węgiel!

Chwyciła ją i, krztusząc się łzami skrajnego obrzydzenia, zmiażdżyła pierwszego insekta. Wydał ohydny dźwięk i spadł na podłogę, nadal ruszając odnóżami.

Weronika przytknęła dłoń do ust, siłą powstrzymując odruch wymiotny, nagarnęła robala na szufelkę i cisnęła do ognia. Z następnymi walczyła niemal do rana, na przemian płacząc i klnąc. Mimo iż przyznała rację Magdzie — to nie były karaluchy, poruszały się zbyt wolno — nie umniejszało to ohydy robactwa.

— Jak mogłaś tu żyć?! — krzyczała przez łzy, niosąc do ognia ostatnie truchło. — Nie wytrzymam z karaluchami, co noc łażącymi po ścianach! Nie wytrzymam!

Zatrzasnęła drzwiczki i desperackim gestem przyciągnęła do siebie Timbę. Długo płakała z twarzą zanurzoną w gęstym futrze zwierzęcia. Próbowano ją pocieszyć liźnięciami po dłoniach i policzku, ale Weronika nie potrafiła się uspokoić. Wreszcie szloch umilkł. Dziewczyna, zupełnie bez sił, padła z powrotem na łóżko.

Jutro. Pomyśli jutro, jak skutecznie pozbyć się robactwa. Dopóki tego nie uczyni, będzie musiała spać w dzień, a czuwać w nocy. Nie było takiej opcji, by zmrużyła oko, wiedząc że po ścianach pełzają karaluchy.

Co ze szkołą? — przez otumaniony umysł dziewczyny przemknęła ostatnia myśl.

Jutro. O tym też zdecyduje jutro...



Walka z karaluchami wryła mi się w pamięć na resztę życia. Ilekroć wracam do tamtych chwil, wstrząsam się z obrzydzenia. Opisałam to w jednej z moich powieści. Różnica między mną a bohaterką była jednak taka, że ona miała przy sobie fajnego faceta, który wspierał ją w tej walce — i nie tylko w niej — ja zaś byłam sama, bo przecież dwóch psów, płaczących się pod nogami zamiast pomagać, liczyć nie mogłam.

Traktowałam karaluchy sprayami i prusakolepami — pamiętacie tę reklamę? „Nęci, wabi, gwałci, niszczy, PRUSAKOLEP!“. Nic nie pomagało. Jak pojawiały się po zgaszeniu światła, tak się pojawiały. Dopiero gdy w zaprzyjaźnionej lecznicy weterynaryjnej, do której zawitałam któregoś dnia po środki przeciwpchelne dla Timby i Azy i... zostałam na dłużej, dano mi straszliwie śmierdzący zajzajer, populacja karaluchów zaczęła gwałtownie maleć, ale minął dobry miesiąc, zanim ubiłam ostatniego.

Miesiąc niemal bez snu, bo żeby nie umrzeć z głodu i chłodu, musiałam wrócić do pracy, a żeby nie stracić roku, do liceum.

Miesiąc płaczu, torsji z obrzydzenia, przekleństw i przyrzeczeń, że to koniec, mam dosyć, jutro wracam na kolanach do domu, prosić matkę, by przyjęła mnie z powrotem.

Nie wróciłam.

Jednak po tym miesiącu wyglądałam jak żywy trup. Dobrze, że nie spotkałeś mnie wtedy, Wiktor. Twoja miłość, o ile jeszcze mnie kochałeś, przylaby jak sen nocy... styczniowej.

## ROZDZIAŁ XXIII

WIKTOR



Zaszył się, jak każdego dnia, w bibliotece, wyciągnął z szuflady biurka kartkę i długopis, lecz zamiast postawić pierwsze słowa, odsunął się nagle razem z krzesłem, splótł ręce na karku i zapatrzył się w okratowane okno.

— To nie ma sensu — mruknął do siebie. — Ona nigdy ci nie odpisze. Dawno załapała się na jakiegoś gogusia, który ma tę podstawową zaletę, że jest z nią tam, w wolnym świecie, a nie siedzi zamknięty w poprawczaku. Obudź się, chłopie. Weronika zapomniała o tobie.

Patrzył na nagie gałęzie drzew, by wreszcie poderwać się na równe nogi, rzucić: „I super! Przynajmniej jestem wolny!”, jak absurdalnie by to nie brzmiało, po czym skierować się do wyjścia. Miał wprowadzić skatalogować dzisiaj nową dostawę książek, obiecał to wychowawcy, ale pieprzyć książki i wychowawcę. Dzisiaj się urżnie.

Z tym mocnym postanowieniem, które wieczorem ma szansę się ziścić, o ile Olek przemycił na teren zakładu coś mocniejszego niż jabol, kładł rękę na klamce, gdy ta ustąpiła pod naciskiem innej dłoni i do środka wszedł dyrektor.

Wiktor stanął na baczność.

— Co tam, Helert? — zagaił mężczyzna. — Nudzisz się?

— Nie, panie dyrektorze — odparł chłopak, patrząc przed siebie.

W poprawczaku kontakt wzrokowy nie był mile widziany. Za kose spojrzenie mogłeś oberwać tak, że w pobliskim szpitalu znów przeklinaliby „młodocianych bandytów”, jak powszechnie o nich w miasteczku mówiono. Mniejsza, że żaden z mieszkańców nigdy od owych „bandytów” nie ucierpiał, nikogo nie okradli, nie pobili, przeciwnie, podejmowali się prac, których tamci nie chcieli wykonywać, dla szczerów z poprawczaka zaś były w sam raz.

— Zabierałem się do katalogowania nowych książek.

— I...? — Dyrektor spojrzał na biurko zavalone książkami, a

potem na Helerta stojącego w drzwiach.

— I przeszła mi ochota — wycedził Wiktor.

— Zmień ton, chłopcze, bo znów wylądujesz w pokoju odosobnienia — poradził mu uprzejmie mężczyzna. — A wierz mi, że tym razem nie byłbyś kontent. Mam dla ciebie dwie wiadomości: dobrą i lepszą. Od której zacząć?

Wiktor rzucił mężczyźnie zdziwione spojrzenie. Przeniesiono go tutaj karnie z Warszawy pół roku temu. Od tamtej pory nie uświadczył żadnej łaski od dyrektora, ani któregokolwiek z wychowawców. Przez pierwsze tygodnie znów musiał walczyć ze współosadzonymi o szacunek, zrozumiałym więc było, że narobił trochę zamieszania, a szpital miał więcej pracy, ale takie były reguły tej gry. Dawalesz w mordę, albo musialesz w mordę brać. Wiktor wolał być tym, który spuszcza łomot, więc z dyrektorem, który nie lubił kłopotów i zamieszania, nie polubili się. Tymczasem dzisiaj facet, który zwykle na widok Helerta niemal spluwa, przychodzi jak gdyby nigdy nic z dwiema dobrymi wiadomościami? W tym jedną lepszą?

— Za co? — rzucił Wiktor, znów patrząc przez siebie.

Dyrektor uniósł brwi, zdziwiony.

— Za co mnie pan przynosi? Ostatnio jestem potulny jak cielę.

— Ty i potulny? Helert, nie rozśmieszaj mnie. I pudło, nigdzie cię nie przynoszę. Nie zrobiłbym tego moim kolegom po fachu. Masz gościa. Zaraz tu będzie. Musiałem się upewnić, że jesteś sam.

Wiktor ponownie na niego spojrział, mrużąc lekko oczy. Ten nawyk pozostał mu z czasów, gdy nosił okulary. Dziś używał soczewek, ale w chwilach totalnego zaskoczenia mrużył oczy. Jak teraz.

— Ten gość... z którym mam być sam... zamierza mnie wykorzystać? Uprzedzam, że będę się bronił.

— Ha, ha, ha. Masz dowcip, synu. Pójdę po niego, a ty czekaj tu grzecznie i, na miłość boską, nie skompromituj mnie! Poręczyłem za ciebie, głupi gnojku! — W ostatnich słowach, mimo że obraźliwych, zabrzmiał cień sympatii. Dzień cudów trwał.

Dyrektor już miał ruszać na poszukiwania tajemniczego gościa, gdy zawrócił nagle.

— Byłbym zapomniał o drugiej niespodziance. Trzymaj, Helert.

Wcisnął chłopakowi do ręki białą kopertę. On spojrzał na adresata i... zacisnął powieki, nie wierząc własnym oczom. Znał ten charakter pisma! Ładne, okrągłe, równe litery, układające się w jego imię i nazwisko! Musi ukryć ten list, żeby nie wpadł w czyjeś łapy! Przeczyta go dopiero, gdy będzie pewien, że nikt go na tym nie nakryje... Podeszedł do regału z książkami, zasłonił tę, którą wyciągnął, plecami przed bystrym okiem kamery, ukradkiem ucałował kopertę, a potem wsunął ją między kartki i umieścił książkę z powrotem na półce.

— Nie ruszę się z biblioteki na krok — mruknął do siebie. — Będziesz bezpieczna.

Ależ chciałby zaszyć się gdzieś, rozerwać kopertę i chłonąć słowa kreślone ręką Weroniki już teraz...

— Wiktor Helert? — padło od drzwi.

Staął na baczność, wbijając wzrok gdzieś ponad ramię mężczyzny koło trzydziestki, który wchodził właśnie do środka. Kątem oka zauważył, że nieznajomy jest rosły i napakowany jak byk — bibliotekarzem to on nie był — krótko ostrzyżony i porusza się sprężystym krokiem mundurowego. Gliniarz. Wiktor nagle zeszywniał. Będzie próbował zrobić z niego wtykę?

„Takiego wała”, z góry odpowiedział na propozycję, która nie zdążyła paść.

— Spocznij. I usiądź. Pogadamy.

— Wolałbym zostać tutaj — odparł odpychającym tonem.

Nieznajomy uśmiechnął się lekko. Nie spodziewał się po Helercie innego zachowania. Dyrektor ze szczegółami opisał mu tego krnąbrnego, inteligentnego szczeniaka. Taki był im potrzebny...

Poszedł do chłopaka, stanął naprzeciw niego i przyglądał mu się długą chwilę. Wiktor znosił badawczy wzrok tamtego z rosnącą frustracją. Wreszcie wbił spojrzenie chmurnych oczu w źrenice tamtego i tak walczyli, kto pierwszy odwróci wzrok

dotąd, aż to nieznajomy skapitulował. Odstąpił na krok.

— Co ćwiczysz? — zapytał, wskazując na umięśnione ramiona chłopaka.

Wiktor nie był napakowany, jak typowy pensjonariusz podobnych przybytków. Taekwondo wymagało szybkości i precyzji, nie tylko siły. Ćwicząc codziennie, wyrobił sobie wspaniałą rzeźbę mięśni i ścięgien. Przypominał pumę, a nie goryla.

— Nie gadam z nieznajomymi — odparł Helert bezczelnie.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko. Wiedział o tym chłopaku niemal wszystko. To on wręczył dyrektorowi list od niejakiej Weroniki z poleceniem, by przekazał go Helertowi przed ich spotkaniem. Treść listu oczywiście znał. Weronice zdążył się z daleka przyjrzeć. Sympatyczna wiewióreczka...

— Jestem Jan Zadra, co dziś nic ci jeszcze nie mówi. Mam dla ciebie pewną propozycję.

— Nie interesują mnie żadne...

— Ta cię zainteresuje. Jest skrojona idealnie na kogoś takiego jak ty. Usiądź. Pogadamy. I... — Uniósł ostrzegawczo palec do góry, bo Wiktor już otwierał usta, by go uświadomić, gdzie ma wszelkie „usiądź, pogadamy”. — Jeśli tym razem odmówisz, więcej listów od uroczej Weroniki nie dostaniesz. Zrozumiano?

Imię dziewczyny na ustach tego typu sprawiło, że Wiktor bez słowa podszedł do wolnego stołu, usiadł na jednym z czterech krzeseł i spojrzał wyzywająco na mężczyznę.

— No. Tak lepiej — mruknął tamten. — Szybko się uczysz. Odsunął krzesło po prawej stronie chłopaka.

— Przeglądałem twoje papiery — zagaił. — Wyjdiesz dopiero po skończeniu dwudziestu jeden lat.

Helert wzruszył nonszalancko ramionami, chociaż zrobiło mu się ciężko na duszy.

— Będę składał wniosek o warunkowe zwolnienie — mruknął.

— Z twoją historią? Nie ma takiej opcji — od razu rozczarował go Zadra. — Chyba, że...

— Chyba, że...? — Chłopak przeniósł spojrzenie z drzew za

oknem na mężczyznę.

Ten przyglądał mu się parę chwil i wreszcie rzucił:

— Zapomnij. Wyjdiesz, gdy skończysz dwadzieścia jeden lat.

— Ona nie będzie na mnie tyle czekać!

— Nie będzie żadnej „niej”, Helert. Weronika pójdzie własną drogą.

— Ale...!

— I żadnego „ale”. Przecież nie chciałbyś jej skrzywdzić związkiem z kimś takim jak ty.

Wiktor zwiesił głowę, by tamten nie dojrzał łez, napływających do oczu.

— Zrobię wszystko, by jej nie stracić.

— Wszystko? — zainteresował się mężczyzna.

Wiktor od razu się nastroszył. Czego ten facet chciał? Po co tu przyszedł? Kim on właściwie jest?!

Zadra zupełnie jakby czytał w jego myślach... Jeszcze przez moment patrzył na chłopaka, jakby wahał się przyjąć decyzję, wreszcie pochylił się ku niemu tak, że nikt nie mógł ich słyszeć, i zaczął mówić. Wiktor zaś, jeśli z początku nie był zainteresowany jego słowami, tak przez następne parę minut słuchał mężczyzny ze wstrzymanym oddechem. Propozycja była ciekawa. Bardzo ciekawa. Lecz cena... za wysoka.

— Zostawię cię z tym. — Zadra wstał. — Nie musisz odpowiadać teraz. Masz tyle czasu, ile potrzebujesz.

Chłopak poderwał się również.

— A Weronika? Jeśli miałbym się zgodzić, chcę się z nią spotykać.

— Więc jednak? Pociągniesz ją za sobą?

Nic nie mógł na to odpowiedzieć. W oczach błysnęły łyzy frustracji i rozczarowania, w głosie zabrzmiało błaganie, za co sam siebie nienawidził, gdy pytał:

— Jeżeli zgodzę się już teraz, będę mógł się z nią zobaczyć? Chociaż raz?

Mężczyzna znów przyglądał mu się przez chwilę, zupełnie jakby granie Helertowi na nerwach sprawiało mu przyjemność, po czym rzekł:

— Tak, Wiktor. Myślę, że raz możecie się spotkać. Nie tutaj. Nie w parszywym poprawczaku. W knajpce na mieście. Dam ci dzień wcześniej znać, żebyś mógł się przygotować.

— Kiedy?

— Nie tak szybko. Są pewne... uwarunkowania. Ale spotkacie się. Więc co? Zgoda?

Wyciągnął do Wiktora dłoń. Ten uściśnął ją bez wahania. Silnie. Po męsku.

Tego dnia stracił niewinność. Nagle dorósł. Podjął decyzję, która wpłynie na resztę jego życia. I na życie tej, którą kochał.

— Do zobaczenia, Helert. Postaraj się dożyć następnego spotkania — usłyszał głos Zadry i wreszcie został sam. Z burzą uczuć w sercu i mętlikiem w mózgu, a na to znał jeden, wypróbowany sposób.

Wyszedł z biblioteki i szybkim krokiem ruszył w kierunku sali gimnastycznej. Tam ćwiczył sekwencje ciosów taekwondo dotąd, aż umysł miał czysty, a serce zaczęło bić równym rytmem.

Gdy wszyscy inni poszli na obiad, on wrócił do biblioteki, wyciągnął z książki białą kopertę, stanął przy oknie, rozdarł papier i zaczął chłonać oczami słowa, kreślone kochaną dłonią:

*Wiktorze najmilszy,*

*to mój dwudziesty list do Ciebie. Powoli tracę nadzieję, że któryś z nich do Ciebie dotrze. Wysyłam je do wszystkich zakładów poprawczych w Polsce, prosząc, by Ci je doręczano. Na razie bez odpowiedzi. Albo więc giną, zanim dotrą do Twoich rąk, albo... nie dbasz już o mnie i Twoje milczenie powinnam brać za odpowiedź. Mimo wszystko będę pisała dotąd, aż Ty sam, osobiście nie powiesz: „Między nami wszystko skończone, daj sobie spokój, Nika”.*

Musiał w tym momencie przerwać. Wściekłość na łachudry, które kradły listy do niego, groziła zdemolowaniem biblioteki.

*Jeśli ten list jakimś cudem do Ciebie dotrze, daj proszę znać, że go przeczytałeś. Napisz choć jedno zdanie, bym nie łudziła się tak głupio, albo przeciwnie: nie traciła nadziei. Wiesz, co do Ciebie czułam, Wiktor, i nic się tu nie zmieniło.*

*Czekam na Twój powrót.*

*Kocham Cię.*

*Weronika*

Podniósł list do ust i ucałował imię dziewczyny.

W sercu czuł przemożny żal, że nie mogą być w tej chwili razem, nie może trzymać jej w ramionach i scałowywać łez z jej policzków — był pewien, że płakała, pisząc te słowa — a potem czule całować ust dziewczyny. Zatracić się w tym. Porwać ją za sobą w namiętność tak silną, że aż bolesną. Pieścić jej...

— Stop, Helert! — nakazał sobie. — I marsz pod lodowaty prysznic! Wystygnij, albo kumple będą mieli z ciebie ubaw.

A byli spostrzegawczy.

Włożył list z powrotem do książki, ją zaś ukrył między innymi tomami. Naprawdę miałby pecha, gdyby wpadła w czyjeś ręce.

Biegł na obiad i powtarzał słowa krótkiego listu, ucząc się ich na pamięć. Od teraz będą wybrzmiewać w umyśle młodego mężczyzny w trudnych chwilach, których nie zabraknie.

Słowami można zabić. Można też ocalić. Te miały czarodziejską moc.



## ROZDZIAŁ XXIV

### WERONIKA



Powiada się, że co nas nie zabije, to wzmocni. Powiada się, że człowiek może znieść wszystko, tylko samobójcy o tym nie wiedzą. Powiada się, że najlepszą szkołą przetrwania jest samo życie. Weronika po dwóch miesiącach na Czeremchowej mogła się podpisać pod tymi mądrościami własną krwią.

Pierwszy tydzień był w miarę znośny: czekając, aż zejdzie jej opuchlizna z policzków i sińce spod oczu, powoli uczyła się życia w małej chacie z czerwonej cegły. Najtrudniejsze okazało się podtrzymywanie ognia w kafłowej kozie, bo węgiel należało dorzucać co kilka godzin. Gdy była na miejscu, wystarczyło przytachać wiadro i nakarmić piec, w nocy nastawiała budzik — o ile oczywiście nie była na nogach, ubijając karaluchy — i do rana w pokoju było ciepło, ale gdy tylko jechała do miasta, węgiel się wypalał, piec gasł i do domu natychmiast wkradał się chłód, a kiedy nastaly mrozy — dotkliwie zimno. Było tak, jak przepowiedziała Magda: na parapecie zamarzała śmietana.

Wtedy, w styczniu, równie trudne stało się noszenie wody ze studni po oblodzonej ścieżce. Pałak wiadra był tak zimny, że aż parzył, a jeśli niechcący go zachlapała wodą i przytknęła dłoń, skóra potrafiła momentalnie do metalu przymarznąć. Weronika chodziła wiecznie zziębnięta, marząc o ciepłym domu, wiosnie, Australii czy choćby kubku gorącej herbaty, ale... o dziwo, nie imaly się jej żadne choróbska.

Pół Polski leżało złamane grypą — dziewczyna jak gdyby nigdy nic w lichej kufajce i szalu narzuconym na głowę, jechała do sklepu, wierzchem, a jakże, na grzbiecie kochanej, spokojnej Nevady, robiła zakupy na cały tydzień i również wierzchem wracała do chaty. Dookoła szalały zapalenia krtani, oskrzeli i płuc, szpitale przyjmowały ludzi z odmrożeniami — Weronika narzucała na nocną koszulinę kubraczek z owczej wełny i za potrzebą gnała w samych kapciach do wygodki. Do kąpeli w misce wody przywykła z takim samym stoickim spokojem, jak do dźwigania wiader ze studni, palenia w kozie i korzystania z

wychodka zamiast toalety. Po prostu przywykła.

Zazwyczaj więc sobie radziła, naprawdę! Czasem tylko zmęczenie, samotność czy wszechobecny chłód brały górę, a ona wtedy zwijała się pod kołdrą w żalosny kłębek i łkała bezradnie.

Nie słyszał jej nikt.

W cieplejsze dni brała Nevadę na lonżę, wypuszczała psy i we cztery szły na długi spacer do lasu. Dziewczyna zdejmowała wtedy wełnianą czapeczkę, własnoręcznie wydzierganą na drutach, rozpuszczała włosy, unosiła twarz do zimowego słońca i krzyczała na całe gardło z czystej radości życia. Ta radość gasła dopiero wieczorem, gdy trzeba było zacząć walkę z insektami.

— Madzia, dlaczego mi nie powiedziałaś? — zapytała z urazą w głosie, gdy Magda po raz pierwszy od opuszczenia chaty wpadła w odwiedzin.

Dziewczyna zawstydziała się.

— Wiesz, wprowadziłam się wiosną i tego tałatajstwa już nie było. One ciągną do ciepła. Lęgną się pewnie w podpiwniczeniu, latem i jesienią wychodzą na słońce czy gdzieś tam, a do domu zaczynają wpełzać dopiero, gdy nadchodzi zima i nocą rozpalisz w piecu. Przepraszam, Nisia, ale bałam się, że nie zostaniesz, jak ci o nich powiem. Ja sama właśnie dlatego uciekłam z tego domu: przez te cholerne karaluchy, szczypawy, żuki, czymkolwiek to badziewie jest. Nie mogłam spać, wiedząc, że po mnie łażą.

Tak. Weronika doskonale rozumiała Magdę, z tym że ona miała dokąd uciec, natomiast Weronika musiała tu zostać. Tańcząca z karaluchami, psia ich mać...

Gdy pierwszy tydzień dobiegł końca i Weronika zaczęła wyglądać jak człowiek, a nie zombie, wyjęła swoje najlepsze ciuchy — grzeczną białą bluzkę i granatową spódnicę — zabrała niezbędne dokumenty i pojechała autobusem do najbliższego liceum, żeby wrócić do nauki.

Dyrektorka, pani Zofia Rucińska, z początku podejrzliwie potraktowała nastoletnią dziewczynę, która zjawia się w środku semestru ot tak, sama, bez rodziców i prosi, wręcz błaga o

przyjęcie do drugiej klasy, ale gdy owa dziewczyna zaczęła mówić...

Weronika zdecydowała się powiedzieć wszystko, jak na spowiedzi, niczego nie ukrywając. Zaczęła od dzieciństwa i „beztresowego wychowywania” przez niekochających ani jej, ani siebie nawzajem rodziców, poprzez ucieczkę z babcią Stefanią na drugi koniec Polski, na próbie gwałtu, jakiej dopuścił się na niej ojczym i pobiciu przez matkę, której o tym powiedziała, kończąc.

Dyrektorka słuchała cichej, spokojnej opowieści z rosnącym niedowierzaniem, wreszcie gniewem. Ostatnie słowa zszokowały kobietę, która wychowawcą była z powołania, nie z przypadku.

Weronika skończyła swą smutną, dramatyczną opowieść, a kobieta trwała dłuższą chwilę w milczeniu, gorączkowo zastanawiając się, jak pomóc temu dziecku. Siedziało na brzeżku krzesła, przeraźliwie blade i wychudzone, nerwowo splatało i rozplatało palce i... czekało na wyrok.

— Posłuchaj mnie, córciu, uważnie — zaczęła, waząc każde słowo. — W normalnym przypadku odesłałabym cię do domu, żebyś wróciła z opiekunem prawnym i dopiero wtedy mogłabym cię zapisać do którejś z klas. Ale twój przypadek jest wyjątkowy. Zrozumiałe, że do domu wrócić nie możesz. Potrzebuję jednak podpisu pełnoletniej osoby, która weźmie za ciebie pewną odpowiedzialność. Może to być ktoś z dalszej rodziny.

— Nie mam nikogo takiego. — Weronika pokręciła bezradnie głową. — Nie mam rodzeństwa ani ciotek czy wujków. Ojciec zniknął. Matka... — Machnęła ręką. — Ja... nie wiem, kto mógłby wziąć tę odpowiedzialność.

— W ostateczności starsza, pełnoletnia przyjaciółka albo przyjaciel. Kogoś takiego chyba masz?

„Tak, mam, siedzi w poprawczaku. Nie wiem w którym”, pomyślała z goryczą Weronika. Nagle olśniło ją. Magda! Madzia Łotysz! Może ona się zgodzi?

— Widzisz? — ucieszyła się pani Zofia. — Z każdej sytuacji znajdziemy wyjście. Nie można się załamywać i poddawać. Masz świadectwo ukończenia klasy pierwszej? Oceny z klasy

drugiej? Może wolisz powtarzać rok, zamiast nadrabiać zaległości?

— Postaram się nadrobić. Chciałabym szybko skończyć liceum i dostać się na studia.

— Och, to pięknie. A wiesz już, co chcesz studiować?

To Weronika wiedziała mniej więcej od kołyski.

— Weterynarię.

— Ambitnie, moje dziecko, bardzo ambitnie. Musimy cię więc zapisać do klasy biologiczno-chemicznej. Egzaminy są trudne.

Tak się właśnie stało.

Dyrektorka od razu zaprowadziła nową uczennicę do wychowawczynie, prosząc profesorkę od biologii, by otoczyła dziewczynę opieką. Ta zaprosiła Weronikę do klasy i przedstawiła ją reszcie uczniów. Z początku nieufni, choć ciekawi nowej koleżanki, szybko przyjęli ją do swego grona, bo okazało się, że ta nieśmiała, chuda Ania z Zielonego Wzgórza posiada niebywałe, genialne talenta.

Otóż Weronika świetnie podpowiadała! Umiała usiąść tak, że widział ją delikwent stojący pod tablicą, a nie widziała profesorka i — to było jeszcze cenniejsze — bezgłośnie potrafiła przekazać delikwentowi pożądane informacje. Była w tym niezastąpiona!

Miała jeszcze jeden talent: potrafiła na poczekaniu układać krótkie wierszyki, dedykowane profesorom, dzięki którym upiekła się klasie niejedna kartkówka czy odpytywanie. Oj tak, Weronka Nocyk potrafiła rozbrajać tym swoim uroczym uśmiechem i fraszką napisaną na kolanie.

Równie szybko okazała się klasową powieściopisarką. Już wkrótce jej romansami, w których główne role grali idole filmowi czy muzycy, zaczytywały się nie tylko koleżanki, ale i koledzy!

Po miesiącu uczniowie drugiej biol-chem dziwili się, jak mogli, do tej pory tworzyć zgraną paczkę bez swojej „Ani”. Ewentualnie „sówki pójdzki” — tak też ją pieszczotliwie nazywali, przez wzgląd na wielkie oczy, płonące w wychudzonej twarzy.

Weronika, otoczona sympatią rówieśników i nauczycieli, rozkwitła. Stała się zwykłą, uśmiechniętą dziewczyną. Na przerwach plotkowała z przyjaciółkami i flirtowała, tak troszeczkę, z kolegami z wyższych klas. Po lekcjach biegła do biblioteki, by tam, w cieple i spokoju, odrabiać lekcje i się uczyć. Gdy bibliotekę zamykano, zaczynał się pracowity wieczór. Weronika znów jeździła od ucznia do ucznia, udzielając korepetycji, ale teraz do domu, do swojej chaty wracała jak na skrzydłach, a nie jak do więzienia. Przecież, gdy piec się w końcu rozgrzał, a karaluchy zostały ubite, było to cudne, kochane miejsce. Jej własne. Spokojne i bezpieczne.

Żeby bajka nie do końca była bajką, trafił się ktoś, kto dodał trochę dziegciu do tej beczki miodu: polonistka od pierwszego wejrzenia znieubiła nową uczennicę. Może raczej od pierwszego wypracowania, w którym dziewczyna tak dalece się zapomniała i odbiegła do tematu, tworząc jakąś abstrakcyjną historię, zamiast trzymać się meritum, że profesorka postawiła jej wielkie na pół strony trzy z dwoma minusami i dopisała na czerwono: „To jest grafomania, nie wypracowanie! Pisarką to ty nie będziesz, polonistką także nie. Trzymaj się tematu!!!”.

To stało się ich swoistym rytuałem: dziewczyna odlatywała, zamiast trzymać się ram wypracowania, polonistka traktowała ją trójką z minusem albo dwoma i zjadliwym dopiskiem. Klasa zaczytywała się powieściami Weronki, a polonistka za to samo ją tępiła.

Coraz skuteczniej. Dziewczyna pisała coraz mniej. Nie przez brak czasu — na pisanie, drugą miłość Weroniki zaraz po zwierzakach, czas zawsze by się znalazł — po prostu zaczęła wątpić, że to co pisze, ma jakąś wartość. Czerwone trójki z dwoma minusami brały górę nad zachwytemi koleżanek.

Poczucie własnej wartości, i tak niskie, zaczęło znikać w przyspieszonym tempie. Powróciły echem słowa matki: „Jesteś głupia i brzydka, podła, niewdzięczna i zła”. Weronika jeszcze się broniła, pozostając uśmiechniętą, zawsze gotową nieść pomoc przyjaciółką, ale pisać w końcu przestała...

*Słowami można tworzyć, słowami można niszczyć. Pieścić albo zadawać ból. Serdecznie żal mi tamtej Weroniczki, ufnej aż*

do naiwności, kochającej życie i ludzi, wrażliwej, może nawet zbyt wrażliwej, podatnej na zranienie i przez to tak łatwej do zniszczenia...

Polonistka nie była złą wiedźmą, która wyżywa się na słabszych. Na pewno nie! Była jedynie niespełnioną pisarką. Na studia poszła z nadzieją, że po ich ukończeniu będzie potrafiła stworzyć wiekopomne dzieło, zostanie znaną literatką, może nawet noblistką? Jak marzyć, to marzyć! Tymczasem nikt nigdy nie wydał tego, co pisała w pocie czoła, i zamiast do grona wybitnych twórców trafiła do podrzędnego liceum na warszawskiej Białołęce.

Mój talent — jestem pewna, że odkryła go już w pierwszym wypracowaniu — musiał ją nieźle sfrustrować. Jako wychowawca powinna schować własne niespełnione ambicje do kieszeni i pomóc uczennicy rozwinąć taki dar, ale... tego nie zrobiła. Tak jak tysiące jej podobnych, nauczycieli, rodziców, trenerów, którzy nie widzą albo nie potrafią docenić wyjątkowych umiejętności dzieci.

Jestem przekonana i powtarzam to, czy ktoś chce słuchać, czy nie, że każdy ma jakiś talent dany mu od Boga, lecz nie wszyscy odkrywają, w czym są tacy niezwykli, a jeśli nawet odkrywają, to nie wszystkim się chce nad swoją wyjątkowością pracować. Sam talent bowiem nie wystarczy. Potrzebny jest jeszcze ogrom pracy i dużo determinacji, żeby osiągnąć sukces. Mojej polonistce być może się po prostu nie chciało. Nigdy nie miałam okazji jej o to zapytać...

Zemsta okazała się słodka, chociaż — przysięgam! — nie przyłożyłam do niej ręki. Wiele lat później koleżanki z byłej drugiej b zaniósł polonistce moją „pierworodną”, pięknie wydaną w zacnym wydawnictwie. Mina starszej już kobiety była ponoć bezcenna. Podobno się wzruszyła, że jedna z jej uczennic została pisarką. Prosiła, by przekazały mi serdeczne gratulacje.

Sorry, ale nie uwierzyłam. Nie po wrednych uwagach, stawianych czerwonym długopisem, które zabiły moją miłość do pisania na długie lata.

## ROZDZIAŁ XXV

### HUBA



Zbliżał się marzec. W powietrzu czuć było nadchodzącą wiosnę. Weronika mogła wreszcie odetchnąć. Przeżyła najtrudniejszą zimę w całym swoim siedemnastoletnim życiu. Teraz może być tylko lepiej.

Dwa psiaki radośnie płaśały dookoła niej, gdy z samego rana szła do stajni, oporządzić Nevadę i Hubę. Z tą pierwszą darzyły się nieustającą miłością, tej drugiej nie dało się nawet polubić. Choćby nie wiem jak łagodnie dziewczyna do niej przemawiała, koń za każdym razem tulił uszy, szczyrzył zęby i tłukł kopytami w ściany boksu.

— Aleś ty wredna — mruzczała Weronika, sypiąc klaczy owies do żłobu długą łyżką, dokładnie tak, jak przykazała Magda. — Patrz na Nevadzie, byłabyś tak samo wypieszczona i błyszcząca, szcietkowałabym ci sierść, rozczesywała grzywę i czyściła kopyta. Jeździłybyśmy na długie spacery do lasu, biegałabyś po padoku. A ty gnijesz w ciemnym boksie i bardzo ci tak dob...

Urwała, bo w stołek, na którym balansowała z ciężką łyżką, uderzyło rozpędzone ciało Azy. Potem wpadła na nią Timba. Dziewczyna nagle straciła równowagę, krzyknęła i poleciała do przodu. Wprost pod wyszczerzone zęby wścieklej klaczy. Ta zacisnęła je na ramieniu Weroniki i szarpnęła z całych sił, a potem miotnęła dziewczyną o ścianę...

Odzyskała przytomność jakiś czas później.

Próbowała się poruszyć, ale natychmiast opadła z jękiem na betonową posadzkę. Głowa pękała jej z bólu, a może w ogóle była pęknięta? Weronika uniosła rękę i... niemal zawyła, tak strasznie bolało potraktowane końskimi zębami ramię.

— Musisz wstać — nakazała sobie, drżąc na całym ciele z zimna i szoku. — Wstać i iść do domu. Natychmiast!

Podciągnęła się na belce podpierającej strop i powlokła, z trudem panując nad zawrotami głowy, do pokoju. Pokonała dystans może dziesięciu metrów, a padła na łóżko tak

wyczerpana, jakby przebiegła maraton.

Do następnego dnia nie wstała nawet po to, by napić konie. Musiały sobie jakoś radzić, bo Weronika, cóż... sobie nie radziła. Co próbowała usiąść, zawroty głowy kładły ją z powrotem na wznak. Na domiar złego widziała podwójnie i męczyły ją mdłości. Miała podręcznikowe objawy wstrząśnienia mózgu i... nie bardzo wiedziała, co robić. Najbliższy telefon był u sąsiadów, ale za chińskiego pana tam nie dopełźnie! Nawet na czworakach! Próbowała, naprawdę! I zemdląła po raz drugi ledwie, dotarła do drzwi.

Leżała skulona niczym embrion, płacząc cicho ze strachu i bezsilności. Psy popiskiwały, głodne i spragnione. Marcowe zimno hulało po domu, a Weronika nie mogła uczynić nic więcej, niż naciągnąć na siebie kołdrę i koc. Ramię, za które szarpnęła ją Huba, rwało trudnym do zniesienia bólem, najpewniej złamane, a ona nie mogła wezwać pomocy, kompletnie unieruchomiona.

Zapadła w letarg. Dreszcze z zimna i rosnącej gorączki miała tak silne, że parę razy przygryzła sobie język, jakby tego cierpienia było jeszcze mało.

Pod wieczór konie stały się niespokojne. Były głodne, umierały z pragnienia. O tak, Weronika potrafiła je zrozumieć, bo sama miała gardło wyschnięte na wiór. Nawet gdyby chciała zawołać o pomoc, wykrzesałaby z siebie jedynie cichy skrzek.

Znów próbowała wstać. Chciało jej się pić. Ból potłuczonego ciała odbierał zmysły. I ponownie dotarła jedynie do drzwi. Ręce — bo szła na czworaka — się pod nią ugięły i upadła właśnie tam, na progu kuchni. Dwa metry od wiadra pełnego czystej, chłodnej wody...

Jak długo leżała, umierając powoli z wychłodzenia, odwodnienia i gorączki?

Długo.

Pukanie w okno otępiały umysł wziął z początku za majaczenie. Weronika nawet nie podniosła głowy. Dopiero czyjś głos: — Halo, jest tam kto? — sprawił, że uniosła się na zdrowej ręce i spróbowała krzyknąć:

— Pomocy! Pomocy...



Bardzo słaby był to krzyk, mimo to ów ktoś musiał go usłyszeć, a może światło palące się w środku czy popiskiwanie psów zachęciło go, by wszedł do środka, koniec końców najpierw w stajni, potem w korytarzu rozbrzmiały czyjeś kroki, wreszcie do drzwi kuchni rozległo się pukanie.

— Pomocy! — wyjęczała dziewczyna.

Nieznajomy mężczyzna wszedł do środka i natychmiast przypadł do Weroniki.

— Rany boskie, co z tobą?! Leż. Nie ruszaj się. Wzywam karetkę.

Zapłakała. Po prostu rozkleiła się jak dziecko.

On zniknął. Nie było go kilka minut. Wrócił i ponownie pochylił się nad dziewczyną, niezgrabnie gładząc ją po włosach.

— Zaraz będą. Przyniosę coś do przykrycia.

Chwilę później otulał ją kołdrą i kocem.

— Co ci się stało? Ktoś cię napadł? Podgrzeję wodę. Jesteś zimna jak lód i odwodniona. Jak długo tak leżysz?

— Długo — wyszeptała, patrząc na nieznajomego oczami mętnymi od cierpienia. — Konie.

— Nie, nie, moja droga, to jeszcze nie koniec. Pogotowie zaraz będzie.

— Konie — powtórzyła. — Trzeba napić konie. — I zemdlą.

Odzyskała przytomność w ciepłym, suchym, szpitalnym łóżku. Pierwszą dziękczynną myśl skierowała ku Bogu, bo to on przywiódł akurat tego dnia nieznajomego, który ją uratował, drugą, owemu nieznajomemu. Jego głos dochodził właśnie z korytarza. Drzwi uchyliły się i mężczyzna zajrzał do środka.

— Doktorze, obudziła się — rzucił do swego rozmówcy i obaj weszli do sali, w której leżała potłuczona, ledwo odratowana Weronika.

W oczach nieznajomego mężczyzny dojrzała niepokój. Lekarz beznamiętnie ujął ją za nadgarstek, żeby zmierzyć puls.

— Jak się czujesz? — zapytał tamten.

— Słabo — szepnęła. — Ale przynajmniej żyję.

— Masz wstrząśnienie mózgu, złamaną rękę i paskudną ranę na ramieniu. Jakby cię ktoś grabiami potraktował.

— Koń. Spadłam ze stołka wprost pod zęby jednej z dwóch klaczy, którymi się zajmuję. Złapała mnie za ramię i cisnęła o ścianę. Dziękuję... — głos się jej załamał. — Dziękuję, że pan się zjawił...

— Jan Zadra — przedstawił się w końcu.

Nic jej to nazwisko nie mówiło. A powinno?

— Jestem znajomym twojego przy...

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł...

— O wilku mowa — skwitował Zadra.

— Wiktor! — jęknęła Weronika z niedowierzaniem i szczęściem zarazem.

Przypadł do niej, chwycił za dłoń i wtulił w nią usta.

— Nisiu, kochana moja, co z tobą? — zaszeptał gorączkowo, omiatając twarz dziewczyny pełnym niepokoju i miłości spojrzeniem. Pogładził ją po policzku gestem tak czułym, że przygryzła wargi, żeby się nie rozplakać.

— Wiktor... — powtórzyła, dotykając z niedowierzaniem jego dłoni.

— Jestem przy tobie. Już jestem. — Musnął ustami jej włosy i przeniósł spojrzenie na Zadnę. — Dziękuję — wydusił przez zaciśnięte gardło.

Strach o Weronikę, gdy gnał do szpitala, nie wiedząc w jakim ona jest stanie, odbierał Helertowi zdolność logicznego myślenia. Dyrektor wezwał go do siebie dwie godziny temu.

— Twoja przyjaciółka, ta Weronika, miała wypadek. Dostajesz przepustkę do jutra. Jedź do niej. Leży w Szpitalu Bielańskim na urazówce. Zadra ją znalazł...

Nie słuchał dalej. Chwycił świstek papieru i wybiegł z pokoju, pragnąc jak najszybciej znaleźć się na Bielanach. Przy Weronice.

Teraz miał ją wreszcie blisko, tuż obok, i nie mógł porwać dziewczyny w ramiona, zacałować, utulić, rozpieścić, bo leżała nieruchomo, śmiertelnie blada od urazów i bólu.

— Jak to się stało? — chciał wiedzieć. Musiał wiedzieć! Jeśli ktoś ją napadł... Jeśli uczynił jej krzywdę... On, Wiktor, znajdzie skurwiela i wykastuje go pierwszym ostrym narzędziem, jakie mu wpadnie w ręce.

— Koń ją tak potraktował — odpowiedział Zadra za Weronikę, która zapadła w płytki, ponarkotyczny sen. — Dobrze, że nie zabił, choć mało brakowało. Była w kiepskim stanie, gdy ją znalazłem, ale teraz jest już dobrze, nie musisz ciskać zabójczych spojrzeń, Helert.

— Ten „koń” to przerośnięta czy autentyczne zwierzę? — wycedził, dygocząc z furii.

— Zwierzę. Nie mówiłem ci, że Weronika mieszka w rozpadającej się chałupie z dwoma psami i dwoma końmi, opiekując się całym tym zwierzyńcem?

— Co ona robi w chałupie? Jej matka ma na własność kamienicę, do kurwy nędzy!

— Ciii, opanuj się, jesteś w szpitalu! — zgromił go mężczyzna. — Z tego co się orientuję pod koniec zeszłego roku albo ona wyrzuciła dziewczynę z domu, albo Weronika uciekła. Szczegółów nie znam. Wiem tylko, że od listopada mieszka w tej chacie.

— Od listopada?! Mamy marzec!

— No właśnie. Dzielna mała. I zdeterminowana. Sama jedna w chacie bez bieżącej wody. Z psami i końmi... Gdybym akurat dzisiaj jej nie odwiedził... — Mężczyzna pokręcił głową. Mogło się to naprawdę źle skończyć.

— Co właściwie pan u niej robił? — Wiktor, wściekle o dziewczynę zazdrosny, bo też hormony dawały o sobie znać, szybko zapomniał o wdzięczności, nieufny i podejrzliwy. O nic zdrożnego faceta nie podejrzewał, o knucie spisku — owszem.

— Zamierzałem zaprosić ją do Grodziska. Na spotkanie z tobą — odparł Zadra spokojnie, rozbawiony w głębi ducha zachowaniem chłopaka.

Helert miał wybuchowy charakter, chociaż zwykle potrafił trzymać emocje na wodzy. Popracują nad tym w swoim czasie. Spokojna głowa.

— Nic tu po mnie. Dziewczyna jest w dobrych rękach — rzekł, sięgając po płaszcz, leżący na krześle. — Zostawię was samych. Tylko ręce przy sobie, chłopcze. Żeby nie strzeliło ci do łba coś... rozumiesz...

— Nie musi mi pan tego mówić — wycedził Wiktor. — W

życiu bym jej nie skrzywdził.

— I tak trzymaj. — Mężczyzna klepnął go w ramię i wyszedł. Wiktor został sam ze śpiącą Weroniką.

Przysunął bliżej krzesło, usiadł na nim, ujął dłoń dziewczyny i po prostu zaczął chłonąć spojrzeniem obraz śpiącej. Była taka piękna... tak delikatna i bezbronna...

„To nie jest dziewczyna dla ciebie”, w umyśle rozbrzmiewały mu słowa Zadry, które ten wypowiedział podczas ich pierwszej rozmowy. „Odpuść ją sobie, Helert. Będiesz miał w życiu wiele kobiet, zapomnisz”.

„Nie chcę wielu, chcę ją!”, niemal zawył wtedy i teraz, ale na głos nie wypowiedział ani słowa.

— Pisałam do ciebie listy — usłyszał cichy szept, uniósł głowę i zajął w jej oczy, zwykle zielone niczym nadzieja, teraz, w mroku spowijającym pokój, niemal czarne. — Słałam je do wszystkich zakładów.

— Ja pisałem na adres twojej matki. Ponad dwadzieścia. Nie dostałaś żadnego? — domyślił się.

Uśmiechnęła się smutno.

— Myślałam, że nie odpowiadasz, bo nie chcesz mnie znać.

— Nisia... nigdy tak nie mów. — Pochylił się i musnął ustami spękane wargi dziewczyny. — Jesteś moją jedyną. Jedyną miłością.

— Ty moją też.

Uniosła dłoń i dotknęła jego policzka.

— Teraz będzie już wszystko dobrze? Wyjdiesz i zamieszkamy razem? — W jej głosie było tyle nadziei...

Jak bardzo chciał przytaknąć. Wypowiedzieć słowa, na które ona czeka, na które zasługuje. Lecz milczał.

— Wiktor?

— Wyjdę za trzy lata — odrzekł nie tak, jakby tego pragnęła.

Weronika zacisnęła powieki. Trzy lata?! To strasznie długo!

Miała nadzieję, że teraz, gdy się z Wiktozem odnaleźli, przeraźliwa samotność wreszcie się skończy i razem będą walczyć z losem i ludźmi, którzy krzywdzą. Nie doceniła tych ostatnich.

— Mógłbyś wyjść wcześniej za dobre sprawowanie...

— Nie sprawuję się dobrze, Nisia.

— To zacznij! Zrób to, jeśli nie dla siebie, to dla mnie!  
Możemy być razem, Wiktor. Razem!

Nie możemy, najmilsza, ale nie wiem, jak to powiedzieć, byś cierpiała jak najkrócej...

— Niewiele o mnie wiesz — odparł wymijająco.

— Wystarczy mi świadomość, że jesteś dobrym człowiekiem.  
Parsknął śmiechem.

— Mówisz „dobry człowiek” o facecie, który jest na przepustce z pierdła?

— Mówię „dobry człowiek” o moim przyjacielu, który nigdy mnie nie zawiódł, nie skrzywdził.

Mierzyli się wzrokiem. Jeszcze przed chwilą para zakochanych nastolatków, teraz dwoje dorosłych ludzi, z których każde ma w dłoniach życie tego drugiego.

— Daj nam szansę, Wiktor — w głosie Weroniki zabrzmiało błaganie. — Daj sobie szansę. Skreślili cię rodzice, skreśla społeczeństwo, ale nie ja.

Poderwał się gwałtownie i bez słowa ruszył do drzwi. Nie mógł dłużej na nią patrzeć i jej słuchać. Jeszcze chwila i złamie swoje postanowienie, chwyci Weronikę w ramiona i przyrzeknie wszystko, o co ona prosi. Nie wolno do tego dopuścić!

— Wiktor! — zawołała za nim głosem przepełnionym niedowierzaniem i bólem. — Przecież nie możesz tak odejść! Nie zostawisz mnie!

Stał pod drzwiami z ręką na klamce, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że jeśli teraz wyjdzie, zniszczy wszystko, co ich łączyło. Przyjaźń, miłość, zaufanie... Wewnątrz rozsypywał się na milion bolesnych kawałków, na zewnątrz pozostał niewzruszony.

— Wiktor?

— Nic o mnie nie wiesz — rzucił, nie patrząc na nią. — Tamten chłopak, którego pokochałaś... jego już nie ma.

Wyszedł, zatraskując za sobą drzwi.

Po drugiej stronie oparł się plecami o gładkie drewno, zacisnął powieki i słuchał cichego płaczu Weroniki.

„Jesteś skurwysynem, Helert. Niech cię szlag!”, mówiło

sumienie, żeby więc odejść, musiał się pozbyć i sumienia.

— I co? Po wszystkim? — usłyszał głos Zadry.

Mężczyzna stał oparty o ścianę po przeciwnej stronie korytarza, popijał kawę i przyglądał się chłopakowi beznamiętnie. Ten zmiął w ustach najgorsze przekleństwa, po czym ruszył do wyjścia, nie oglądając się za siebie.

— Poczekaj, podwiozę cię do zakładu.

Helert posłał mu przez ramię takie spojrzenie, że Zadra nie proponował już niczego więcej. Za Wiktorem zamknęły się drzwi szpitala, jednak mężczyzna był pewien, że się jeszcze spotkają.

Weronika zaś... Ona straciła resztki nadziei.

## ROZDZIAŁ XXVI

### ZADRA



*Nasze serca są nieprzewidywalne. Potrafią kochać bez względu na wszystko nawet tych, którzy nie zasługują na cień miłości.*

*Gdy tamtej nocy Wiktor Helert zostawił mnie w szpitalu, byłam pewna, że to koniec, że znienawidzę go raz na zawsze, pozbędę się go z pamięci i serca, znajdę kogoś, kogo będę mogła bezkarnie z wzajemnością kochać i wreszcie nie będę sama.*

*Miałam siedemnaście lat. Ponad wszystko potrzebowałam miłości i opieki.*

*Jednak pierwsze wielkie uczucie nie gaśnie nigdy. Na zawsze pozostawia w naszych duszach jakiś ślad. Próbowalam, naprawdę — zdradzona, odrzucona, rozczarowana — próbowałam wyrzucić Wiktora z mojego życia. Wykorzenić tę nieszczęsną miłość. Zapomnieć.*

*I nie mogłam.*

Jan Zadra — Weronika nie wiedziała, kim jest ten człowiek i co go łączy z Helertem, jest jego wychowawcą?, przełożonym? — czuwał nad dziewczyną do chwili, gdy rany się zagoiły, odchuchano ją, odkarmiono i mogła wracać do domu. Do chaty z czerwonej cegły, koni i psów.

Nie to, żeby odwiedzał ją codziennie, wysiadywał godzinami pod jej salą czy przy jej łóżku. Po prostu zjawiał się o różnych porach dnia, niekoniecznie w godzinach odwiedzin, przeglądał kartę choroby, pytał, jak się Weronika ma, czy czegoś jej nie trzeba i znikał.

Dziewczyna, pewna, że za odejściem Wiktora stoi właśnie ten zwalisty, umięśniony jak gladiator, surowy facet, traktowała go niczym najgorszego wroga. Gdy wchodził do pokoju, odwracała twarz. Gdy pytał, jak się czuje, ignorowała jego troskę — o ile to ona nim powodowała. Mógł nachodzić Weronikę z braku innych zajęć, mógł mieć również nieczyste intencje.

„Co on sobie wyobraża? Że zastąpi mi Wiktora?! Wskoczy na jego miejsce?! Wynoś się! Wynoś z mojego życia razem z Helertem! Wsadź sobie gdzieś swoje uprzejme pytania! Nie chcę z tobą gadać, nie chcę cię oglądać! Wynoś się!!!”, krzyczała w duchu za każdym razem, gdy mężczyzna pojawiał się w pokoju.

— W moim domu też będzie mnie pan nachodził? — rzuciła przez zaciśnięte zęby w dniu, w którym dostała wypis.

Zadra, który właśnie wszedł do sali, ze swoim zwykłym: „Jak się czujesz?”, podał dziewczynie torbę, do której tydzień wcześniej, kiedy znalazł Weronikę nieprzytomną, pakował jej przybory osobiste i piżamę. Tak, to on zadbał, by dziewczyna miała w szpitalu chociaż taką namiastkę domu.

Z pasją cisnęła tę namiastkę na dno torby.

— Stoimy po tej samej stronie barykady — odezwał się, ale ona prychnęła ironicznie.

— Ja z nikim nie walczę. Nie stawiam barykad. To pan postawił taką jedną. Między mną i Wiktorem. Jestem pewna, że przez pana go straciłam. Proszę więc oddać moje rzeczy i po prostu wyjść.

Chciała wyszarpnąć mu torbę z ręki, ale ruch był zbyt gwałtowny i łzy jej w oczach stanęły z bólu. Tydzień temu koń złamał jej rękę i mało nie zabił o ścianę. Zbyt szybko o tym zapomniała.

— Helert dokonał wyboru — usłyszała ciche słowa Zadry i prychnęła po raz drugi.

— Serio? Nie wierzę, że wybrał więzienie zamiast mnie! Proszę nie wciskać mi głodnych kawałków! Kochałam go i kocham nadal. Czekałabym na niego, odwiedzała za murami, chociaż nie jest to łatwe, pisałabym do niego listy... Miałyby do kogo wrócić. I pan śmie twierdzić, że wybrał wszystko inne zamiast mojej miłości?!

— Niewiele wiesz... Nie znasz go tak dobrze, jak my go znamy. Widzisz czułego, kochającego chłopaka, bo taki chce dla ciebie być, ale za murami... — zawiesił znacząco głos.

Ona usiadła na łóżku, spojrzała na niego wyzywająco i rzekła:



— Skoro nic nie wiem, proszę mnie uświadomić. Jaki niby jest ten Wiktor Helert za murami poprawczaka? Znęca się nad słabszymi? Gwałci? Kradnie? No? Słucham!

Przysunął sobie krzesło i usiadł, biorąc oparcie między uda.

— Wiktor to twardy gość — zaczął z wahaniem, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego rozmawia jeszcze z tą dziewczyną. Dawno powinien pożegnać się i ruszyć swoją drogą, tymczasem... lubił na nią patrzeć. Lubiał słuchać jej głosu. Była od niego młodsza o dobre dziesięć lat, ale... Była młodsza. Koniec. Kropka.

— Twardy facet z tego Helerta — powtórzył z wyraźnym uznaniem w głosie. — Pierwszy nie startuje z łapami, ale gdy ktoś go sprowokuje, nie ma przeproś. Czy próbują go tłuc w dwóch, trzech, pięciu czy dziesięciu, nieważne, walczy do końca.

— Tak było w szkole — skwitowała sucho. — Miał siedem lat, gdy zaczęli go dręczyć i osiem, gdy zaczął oddawać. Proszę podziękować społeczeństwu. I nauczycielom, którzy nie chcieli widzieć. Ze szkoły wracał do domu, w którym uroczy tatuś masakrował i jego, i matkę. Czego się pan spodziewał? Że Wiktor wyrośnie na potulnego, słodkiego misia, co to ojcu wybaczy i pozwoli matką o ścianę rzucać?

— Jest szanowany właśnie za charakter — odparł wymijająco Zadra.

— Szanowany?! Niby przez kogo? Bo chyba nie przez pracowników zakładu, którzy kradli moje listy do niego! Czy zamknięci w poprawczakach nie mają przypadkiem prawa do korespondencji?

— Widzisz, to nie takie proste... Twój Wiktor, oprócz twardego charakteru, ma wyjątkowe zdolności podpadania władzy, a władza nie lubi niepokornych i tych, co sprawiają kłopoty. Helert zawsze wmiesza się w jakąś aferę. Choćby przysięgał, że nie on zaczął rozróbę, będzie uznany za prowokatora. Pech? Nie mam pojęcia. Obserwowałem go. Jest zrównoważony, panuje nad emocjami, może aż za bardzo, i na pewno trzyma na wodzy agresję. Mimo to najczęściej ze wszystkich osadzonych trafia do izolatki. Potrafisz mi to wytłumaczyć?

— Niby co? Zamykanie niewinnego człowieka w karcerze? Ja mam tłumaczyć to panu?!

Zmilczał. Rozmawiał z tą dziewczyną o Helercie tylko dlatego, że to jedyne, co ich łączyło. Ona za chwilę wyjdzie ze szpitala i Zadra straci pretekst do spotkań.

— Jeśli powiem, że na dobre mu to wyszło, uwierzysz? — rzucił, a ona parsknęła szyderczym śmiechem, choć wcale za wesoło Weronice nie było. — Takie doświadczenia hartują człowieka. No i zwiększają szanse na przeżycie. Wiktor siedząc w izolatkach nie prowokuje bójek.

— Super metody macie w tych więzieniach! Po prostu super! Czy on wie, że zamykacie go w karcerze dla jego dobra? Błagam... niech pan się nie kompromituje.

Pokręciła głową z politowaniem, a mężczyzna poczuł, jak wzbiera w nim furia. Chciał dobrze i dla Helerta, i dla tej żony, a wyszło jak zawsze. Ależ miał ochotę chwycić gówniarę za ramiona, potrząsnąć nią tak, by ten kpiący uśmieszek zniknął z jej ust. A gdy już by ją trzymał... Ręka sama powędrowała do kosmyka włosów, który opadł jej na oczy. Cofnęła gwałtownie głowę, a on dłoń.

Przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem.

— Jaka jest pana rola w tym wszystkim? — Dziewczyna machnęła ręką w niesprecyzowanym kierunku, ale Zadra wiedział, o co jej chodzi.

— Jestem koordynatorem specjalnego programu resocjalizacyjnego dla najtrudniejszych przypadków — odrzekł powoli i dobitnie. — Wiktor Helert do nich należy.

Milczała, patrząc mężczyźnie prosto w oczy. „Mów dalej, człowieku, chętnie posłucham jak z dobrego dzieciaka zrobiliście bandytę”, to mniej więcej mógł wyczytać w jej spojrzeniu.

— Powinnaś wiedzieć, że to ode mnie zależy, jak będzie traktowany. Ja wnioskuję o nagrody za dobre sprawowanie i kary za złe. Mój podpis wystarczy, byś mogła się z nim widywać nawet codziennie i również wystarczy, byś nie zobaczyła go przez następne trzy lata.

Zmrużyła oczy, uśmiechnęła się domyślnie.

— Szantaż? Będę grzeczna, nie zamknie pan mojego chłopaka w karczerze, nie dam tego, po co pan przyszedł i Wiktor zgnije w więzieniu? Tak mam rozumieć pana słowa? Może więc przejdźmy do rzeczy: czego pan ode mnie chce?

Domyśl się...

Ona... nagle zrozumiała. Mimowolnie przeniósł spojrzenie na jej usta.

— Mam pewną propozycję — zaczęła powoli. — Wyjdzie pan teraz z pokoju, zamknie za sobą drzwi i nigdy więcej się nie spotkamy, a ja uznam, że tej rozmowy nie było. Może pan również próbować dalej, wolna wola, ale wtedy... — Urwała. Bo niby co „wtedy”? Nie dotknął jej, nie składał niemoralnych propozycji, nawet aluzja do takowych nie padła. Ten facet dał jedynie do zrozumienia, że ma w garści Wiktora. Że jednym podpisem może mu zniszczyć życie. Zupełnie, jakby wcisnął długopis do ręki dziewczynie i położył przed nią sentencję wyroku, a potem zapytał: „Podpisziesz, czy się dogadamy?”.

— Mogę również opiniować pozytywnie wnioszek o zwolnienie warunkowe — rzucił od niechcienia. — Helert wyszedłby za parę miesięcy.

Weronika aż wstrzymała oddech. W oczach miała szok i niedowierzanie. Rzeczywiście ten dobry wujek może skrócić Wiktorowi wyrok? Ale... za jaką cenę? Dlaczego rozmawia o tym z nią, a nie z Wiktorem?

Naprawdę jesteś taka naiwna, że pytasz?

Poczuła, że jest w matni. I każdy wybór będzie zły, więc właściwie nie ma wyboru. Jeśli padnie propozycja i Weronika się zgodzi, nie spojrzy Wiktorowi w oczy. Sobie zresztą również nie. Bez względu na to, czy facet zażąda niewinnego pocałunku, czy czegoś więcej. Tego „więcej” wyobraźnia dziewczyny, której jedynym doświadczeniem seksualnym był pocałunek z Wiktorem, nie ogarniała.

Jeśli zaś odmówi i facet zacznie mścić się na Wiktorze, a była pewna, że tak właśnie będzie, może doprowadzić go do ostateczności! Szykanowany, zaszczuty, karany za byle co, w końcu popełni samobójstwo!

Odwróciła się w stronę okna, żeby ukryć łzy, jakie nabiegły

jej do oczu.

Zadra, widząc spływającą po policzku dziewczyny słoną kroplę, nagle otrzeźwiał. Wyprostował się, zamrugał, jakby sam siebie obudził trzaśnięciem w twarz.

— Przepraszam. Nie płacz — odezwał się, przerażony tym, do czego przed chwilą był zdolny. — Nie wiem, co mi odbiło, żeby dzielić się z tobą takimi rewelacjami. Weroniko, proszę, nie płacz.

Dotknął lekko jej ramienia, ale odsunęła się ze wstrętem.

— Co mam zrobić, żebyś wybaczyła i zapomniała?

Poderwała głowę. Rzuciła:

— Idź stąd. I nie mścij się na Wiktorze. Tylko tyle.

A potem patrzyła z mieszaniną ulgi i strachu, że on mimo wszystko mścił się będzie, jak Zadra wstaje, zarzuca na ramię marynarkę i wychodzi, nie oglądając się więcej.

Opadła na łóżko. Potarła twarz zdrową dłonią. A więc tak wygląda dorosłość i gierki damsko-męskie? Wy nas szantażujecie, my jesteśmy „miłe” albo „niemiłe” i, w zależności od tego, ci których kochamy, są zdradzani albo cierpią? Jeśli świat tak właśnie funkcjonuje, to ja wysiadam.

Mogła sobie wysiadać.

Świat naprawdę miał głęboko gdzieś jej deklaracje.

*Kiedyś dowiem się, kim był ten człowiek, jaką naprawdę rolę pełnił, jak nami manipulował i jak strasznie mnie i Wiktora skrzywdził. I nie będę mogła uczynić nic, by odwrócić czas.*

*Niech ci szlag, jasny szlag, Janie Zadro...*

## ROZDZIAŁ XXVII

### MAGDA



Magda krzątała się przy koniach, gdy doszedł ją dźwięk klaksonu. Odstawiła wiadro z wodą, wyszła ze stajni i aż pisnęła na widok Weroniki, idącej dróżką przez chwaszczak. Wybiegła jej naprzeciw.

— Weronisiu, kochana moja, tak mi przykro, tak strasznie czuję się winna!

Rzuciła się dziewczynie na szyję, nie bacząc na jej złamaną i posiniaczoną rękę, i tuliła przyjaciółkę niczym odzyskany cudem skarb.

Po prawdzie tak było: mało tego skarbu nie straciła.

— To nie twoja wina — odparła Weronika, wzruszona powitaniem. — Moja zresztą też nie. Sajgonki wpadły na stołek, z którego sypałam Hubie owies i podały mnie tej wścieklicznie jak na tacy.

— Sajgonki?

— Tak nazywam Timbę i Azę, bo czasami robią taki sajgon, że ręce opadają.

Magda parsknęła śmiechem. Bardzo jej się to określenie spodobało.

— Moje małe sajgonki... — Pochwyciła przebiegającą obok Azę i uściskała psiaka, ku jego radości. — Dwa dni temu byli tu twoi kumple z klasy, zaniepokojeni, że znikłaś tak nagle. Na szczęście miałam dla nich lepsze wieści, niż Janek dla mnie tydzień wcześniej.

— Janek? — Weronika spojrzała na Magdę podejrzliwie.

— Ten facet, który cię znalazł. Zadzwoił po mnie nazajutrz, mówiąc, że miałaś wypadek i ktoś musi się zająć zwierzętami. On, obcy człowiek, nie był przecież do tego zobowiązany. Rzuciłam wszystko, naprawdę przerażona, pojechałam do ciebie do szpitala, ale spałaś i nie chciałam cię budzić, potem tutaj, na Czeremchową i zastałam jego, jak spokojnie szcztokował... Hubę. Stał jak gdyby nigdy nic w jej boksie i pucował wiedźmę. Mało zawału nie dostałam na ten widok!

Wrzasnęłam: „Uciekaj, człowieku! Wyskakuj stamtąd!”, ale on wzruszył tylko ramionami. Ta bestia — tu pogroziła cisawej klaczy palcem — pozwalała mu na to! Nie wiem, co z nią zrobił, czy wpieprzył jej jak kozie za obierki, czy przeciwnie, zahipnotyzował albo ją czymś przekupił, grunt, że przy nim stała się potulna jak cielę. Co tylko kładła po sobie uszy, on podnosił ostrzegawczo palec, i Huba natychmiast pokorniała. Tak oto wychował mi ją jednym palcem.

Weronika słuchała tej opowieści z mieszaniną uczuć w sercu. Wczoraj byłaby tamtemu mężczyźnie wdzięczna i zachwycona jego altruistyczną postawą, dziś, po tym co sobie powiedzieli nie dalej jak godzinę temu, po prostu Zadrze nie ufała.

— Nie muszę mówić, że mi zaimponował? — ciągnęła Magda. — Ugościłam go wszystkim, co znalazłam w domu, również przez wdzięczność, że uratował ci życie. Nie darowałabym sobie, gdyby mój wściekły koń cię zabił. — Uścisnęła Weronikę raz jeszcze. — Trochę pogadaliśmy, wypuściliśmy się na przejażdżkę... nie wiem, gdzie ten facet uczył się jazdy konnej, ale jeździ świetnie... i tak oto się z Jankiem zakumplowałam. Miał cię przywieźć ze szpitala, notabene. Coś mu wypadło?

Magda spojrzała na wejście do stajni, jakby Zadra lada moment miał się w nim pojawić, ale Weronika musiała ją rozczarować:

— Spławiłam człowieka. On nie jest tak bezinteresowny, jak może się wydawać. To koordynator programu resocjalizacyjnego, pod który podpięli Wiktora.

— Aaach, Wiktora, twoją wielką miłość?

Weronika posmutniała.

— Byłą wielką miłość. Nie wiem, co zrobiłam nie tak, ale Wiktor po prostu odszedł. Nie chce ani mnie, ani mojej miłości.

— Nie łam się, kochana... — Magda otoczyła przyjaciółkę ramionami. — Faceci to dziwny, nie do końca zbadany gatunek człowieka. Może twój chłopak potrzebuje czasu, by coś tam przerobić? Przepracować? Dojrzeć do miłości? Skoro pochodzi z takiej rodziny, jak opowiadałaś, zwyczajnie może nie potrafić kochać. Wiesz, że z próżnego się nie należy.

— Myślisz? — Dziewczyna uchwyciła się tych słów. Chciała w nie wierzyć! Jeżeli Wiktor potrzebuje więcej czasu, gotowa jest czekać! — Muszę się z nim zobaczyć raz jeszcze. Dostaje chyba przepustki? Może w zwykłej kafejce, nie w szpitalu i nie w poprawczaku, będzie zupełnie inaczej?

— Na pewno! Ale jeszcze nie teraz. Daj sobie czas na wygojenie ran — wskazała złamane ramię dziewczyny — a jemu na przemyślenie pewnych spraw. Zatemskni i od razu będzie inna rozmowa.

Weronika mogła się tylko zgodzić z rozsądnymi słowami przyjaciółki. Przeszły do pokoju, Magda posłała łóżko.

— Wskakuj, jesteś osłabiona po szpitalu. Nakarmię cię, napoję pyszną herbatą z różaną konfiturą i będę wracała do siebie, ale jutro wpadnę ogarnąć zwierzyńiec. Tobie nie wolno jeszcze dźwigać wiader z wodą. Zresztą złamaną ręką nawet byś jej nie naczepała. Może szarpnę się na inwestycję, kupię hydrofor i doprowadzę wodę do domu? Co ty na to, Nisia?

— Byłoby cudownie — odpowiedziała z westchnieniem.

Bieżąca woda... koniec ze studnią, oblodzoną ścieżką i pałąkiem tak zimnym, że aż parzy. Co za komfort!

— Właściwie nie wiem, dlaczego do tej pory nie wpadłam na tak prosty pomysł — ciągnęła Magda. — Może studnia, wiadra i te klocki wydawały mi się romantyczne? Swego rodzaju powrót do przeszłości?

Romantyczne?! Weronika spojrzała na nią z takim zdumieniem, że tamta parsknęła śmiechem.

— Wiem, wiem, dla ciebie, która szarpała się z tym wszystkim w zimie, nie ma w tym nic romantycznego, ale ja lubię takie skansenowe klimaty. Telefon też wypadaloby zamontować. Na wszelki wypadek.

Otuliła dziewczynę troskliwie kołdrą i przeszła do kuchni, żeby zaparzyć herbaty.

— Karaluchy jeszcze się pokazują? — Weronika musiała zapytać.

Ona walczyła z robactwem na śmierć i życie, jeśli jednak Magda odpuściła, dziś w nocy znów będzie musiała tłuc je szufelką. Jak nagarnie truchłą jedną ręką? Nie miała pojęcia.

— Nie. Wytępiłaś je skutecznie. Można spać spokojnie. — Magda postawiła przy łóżku talerz z kanapkami i kubek z herbatą, po czym przysiadła na krawędzi biurka, zastanawiając się nad czymś ze zmarszczonymi brwiami.

— Podoba mi się ten facet — wypaliła wreszcie. Weronice kęś utkwiał w gardle. — Mówię o Janku Zadrze. Jest kwintesencją męskości. Widziałaś, jak genialnie jest umięśniony? Na roku mam kilkudziesięciu kumpli, na uczelni o niebo więcej, a tak zbudowanego jak Zadra nie spotkałam.

— Mięśnie to nie wszystko — zauważyła cicho Weronika. — Przydałoby się jeszcze serce, a on go nie ma.

— Serio? A wiesz, jak troszczył się o konie, i o ciebie też, panno niewdzięczna, on, obcy facet, niezobowiązany do niczego, gdy leżałaś w szpitalu? Dlaczego właściwie za nim nie przepadasz?

„Bo o mało nie złożył mi pewnej propozycji w zamian za wolność Wiktora. Czy to wystarczy?“, odpowiedziała w duchu pytaniem na pytanie.

— Będiesz miała coś przeciwko, jeśli umówię się z nim tutaj na przejażdżkę? — Magda nie przejęła się milczeniem przyjaciółki i nie czekała na odpowiedź.

— Jesteś u siebie. Możesz zapraszać, kogo chcesz. Mieszkam tutaj tylko dzięki twojej dobrej woli — odparła Weronika równie cicho, co poprzednio. Będzie musiała od czasu do czasu znosić widok szantażysty. Oby tylko to...

— Nie mów tak, Nisia. Nie jesteś na mojej łasce. Zarabiasz na mieszkanie ciężką pracą. Omal życiem tego nie przyplącałaś! Jeśli nie chcesz facia widywać, nie będzie tu przyjeżdżał. Najwyżej umówię się z nim na miście.

— Madziu... możesz go zapraszać kiedy tylko chcesz. Weronika, przestraszona, że straci przyjaciółkę, gotowa była zgodzić się na wszystko. — Przekonam się do niego. Może nawet polubię? Masz rację, jestem niewdzięczna. On mi przecież nic nie zrobił. Tylko pomógł.

— Super! Dzięki, Nisia — ucieszyła się Magda i wstała. — Znikam. Przyjadę jutro. Nie podchodź do Huby!

Zadra przyjechał na Czeremchową dopiero miesiąc później,



gdy na świat spłynęło błogosławieństwo wiosny.

Dom w promieniach złotego słońca wypiękniał. Chwaszczak zazielenił się bujnie. Weronika wyszła akurat po wodę — nauczyła się czerpać ją ze studni mimo ręki w gipsie i nie musiała już liczyć na pomoc Magdy. Przysiadła na cembrowinie, wystawiła twarz do słońca i przymknęła z rozkoszy oczy.

Miała tyle planów, związanych z tym miejscem! Gdy ramię całkiem wydobrzeje, ona weźmie się za chwasty na serio. Wykarczkuje, powyrywa i w ich miejsce posadzi kwiaty. Malwy, róże, może kilka krzaków porzeczek i agrestu? Uwielbiała!

Gdy zaś Magda podciągnie do domu wodę, urządzi w kącie kuchni maleńką łazieneczkę, taką jednoosobową, tylko dla siebie. Boże mój... prysznic, choćby z konewki, byle pod ciepłą wodą... sama rozkosz.

Furtka skrzypnęła.

— Dzień dobry, Weroniko — usłyszała znajomy głos i dobry nastrój przysł.

Mężczyzna ubrany w twarzową, błękitną koszulę polo i także dzinsy, stanął przed dziewczyną, obciął ją spojrzeniem i zauważył:

— Wyglądasz o niebo lepiej, niż przed miesiącem.

— Dziękuję — odparła zmieszana. Przypomniała sobie rozmowę z Magdą i mimowolnie zerknęła na wspaniale umięśnione ramiona mężczyzny. Był przystojny, świetnie zbudowany, niegłupi... rzeczywiście mógł się podobać każdej. Tylko nie Weronice.

— Magda jest w stajni. Maluje ściany.

— Chciałem spotkać się z tobą, nie z nią.

Od razu się nastroszyła. Czego ten facet od niej chce, na Boga?! Znów będzie coś sugerował?!

— Przejdziemy się? — Wskazał ścieżkę, prowadzącą do lasu. Weronika już chciała odmówić, chociaż nie ze strachu, a z niechęci do tego faceta, jego następne słowa sprawiły jednak, że potulnie ruszyła za nim. — Za dwa tygodnie Wiktor kończy osiemnaście lat. Złożył wniosek o warunkowe zwolnienie. Sąd wystąpił do zakładu o sporządzenie opinii. Domyślasz się, kto ma decydujący wpływ, co się w niej znajdzie i kto się pod nią

podpisze?

— Domyślam się — odparła cicho.

Byli w połowie drogi. Na otwartej przestrzeni. Na padoku pasły się konie, dookoła nich podskakiwały radośnie psy.

Zagarnął ją ramieniem tak nagle, że nawet nie zdążyła się przestraszyć. Zaskoczona uniosła na mężczyznę oczy. On odgarnął kasztanowe włosy z jej policzka. Pociągnął opuszką palca po ustach dziewczyny. Stała bez ruchu, nie czując i nie myśląc. Zmrożona jego zachowaniem i swoją bezwolnością.

— Ależ ty śliczna. Nie dziwię się Helertowi, że oszalał na twoim punkcie. Wczoraj znów pobił się z kumplami. Z tego, co wiem o uwagę rzuconą właśnie na twój temat. Któryś podwędził mu twoje zdjęcie i się zaczęło... Nie pomaga to Wiktorowi... Nie przed rozprawą.

— Co mam zrobić? — wyszeptała, patrząc na mężczyznę wielkimi, przerażonymi oczami.

Mógł żądać wszystkiego, zdawał sobie sprawę, że ma dziewczynę w ręku. W tej chwili dosłownie. Ale... Nie potrafiłby jej skrzywdzić. Nie tego niewiniątka, które nie miało jeszcze mężczyzny — tego był pewien. Czułby się jak ostatni skurwiol, widząc po wszystkim łzy w tych nieprawdopodobnie zielonych oczach. Puścił ją tak nagle, jak pochwycił i odetchnął głęboko. Był blisko, naprawdę blisko... a przecież nie po to tu przyjechał. Miał sprowokować dziewczynę do pewnej reakcji, a nie ją obściskiwać.

Ona nadal stała nieruchomo, wiedząc, że to jeszcze nie koniec.

— Nie bój się mnie, na miłość boską! — warknął, zły na siebie i sfrustrowany podnieceniem, które w nim rozbudziła, a którego nie mógł zaspokoić. — Mówiłem: stoimy po tej samej stronie barykady. Mnie zależy tak jak tobie, żeby Helert wyszedł jak najszybciej.

— Dlaczego? Odnoszę przeciwne wrażenie. Gdyby on wyszedł i zamieszkał ze mną, do matki i ojca przecież nie wróci, pan nie będzie mógł tutaj przyjeżdżać i... robić tego, co przed chwilą. Wiktor by pana zabił.

Uśmiechnął się krzywo.

— Co najwyżej by próbował i, nic nie umniejszając jego umiejętnościom, mógłby się naciąć.

— Pozabijalibyście się więc nawzajem, a chyba nie o to w tym wszystkim chodzi. Chcę wiedzieć, o co.

— Muszę mieć pewność, o ile zdecyduję się podpisać pod wnioskiem o zwolnienie, że Helert mnie nie zawiedzie. Dlatego od dłuższego czasu przyglądam się tobie, Weroniko. Będzie tak, jak powiedziałaś: Wiktor nie wróci do rodziców, zamieszka z tobą. Jestem pewien, że tobie z jego strony nic nie grozi, ten chłopak naprawdę cię kocha, ale co z resztą świata? Potrafisz powstrzymać Helerta przed wdawaniem się w bójki? Uchronisz go przed prochami i alkoholem? Jesteś pewna, że za miesiąc, rok czy dwa, gdy będzie na warunkowym, nie podpadnie władzy, nie wkroczy na drogę przestępstwa i nie skończy w więzieniu? Teraz, w poprawczaku, jest bezpieczny jeszcze przez trzy lata. Jeśli zostanie warunkowo zwolniony, za byle wykroczenie trafi do więzienia. A z taką przeszłością, z wyrokiem za skatowanie niemal na śmierć własnego ojca, jest więcej niż pewne, że będzie to więzienie o zaostrowym rygorze. Zastanów się dobrze, Weroniko, czy tego właśnie chcesz. Dla siebie i dla Wiktora.

Słuchała go, znów czując pustkę w sercu i umyśle. Wreszcie zrozumiała intencje mężczyzny i choć jego zachowanie pozostawiało wiele do życzenia — naprawdę nie powinien był się do niej lepić — to zamiary miał dobre. Od niej zależało wiele, jeśli nie wszystko. To tutaj, już z Magdą o tym rozmawiały, a ona wyraziła zgodę, przyjedzie Wiktor po wyjściu na wolność. A przecież... tak naprawdę... wcale go nie znała.

Musisz mu zaufać!, coś natychmiast zakrzyczało w jej umyśle. Jeśli ty nie dasz Wiktorowi szansy, to kto ma dać?!

— Proszę podpisać ten wniosek. — Uniosła na mężczyznę poważne spojrzenie. — Zrobię wszystko, by Wiktor nie wrócił za kraty. On, jestem pewna, również.

Przez chwilę patrzył na dziewczynę z mieszaniną uczuć w szarych oczach. Ależ by chciał, żeby walczyła tak o niego... „Wzięło cię na punkcie tej małolaty, Zadra. Skończ ten cyrk i się nie kompromituj”, podpowiedziało uprzejmie sumienie.

Westchnął z głębi duszy. Jeszcze ostatni akt dramatu i...

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyciągnął złożoną na czworo, gęsto zapisaną kartkę i podał ją Weronice. Ta rozłożyła ją, zaczęła czytać i... aż pisnęła. Opinia! Piękna, wspaniała opinia o jej Wiktorze, Wiktorku, Wikusiu!

— Dziękuję! Z całego serca panu dziękuję! — W odruchu radości zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała policzek, pachnący wodą po goleniu. Przytulił dziewczynę do siebie, ale wypuścił z ramion chwilę później.

Gdy ona powtórnie zatopiła się w lekturze, Zadra uśmiechnął się lekko. Misja zakończyła się sukcesem. Mógł wracać do cywilizacji. A to nieznośne pragnienie, które obudziła w nim siedemnastoletnia, urocza Weronika, ugasi w znacznie chętniejszym ciele Magdy.

*Ależ byłam wtedy naiwna... Niby przeżyłam wiele złego, a wciąż łudziłam się, że świat jest piękny, ludzie dobrzy, a życie ciekawe. Ściskając w ręku bilet do wolności, niemal unosiłam się nad ziemią ze szczęścia. Ta niepozorna kartka, zapisana od góry do dołu, była tak niespodziewanym uśmiechem losu, że trudno mi było w to uwierzyć.*

*Niespodzianka była tym większa, że wreszcie wiedziałam, gdzie Wiktor jest osadzony! Na dokumencie był adres zakładu! Nie musiałam ciuć na detektywa — niemal wszystkie oszczędności wydałam na węgiel, jedzenie i prąd — mogłam po prostu wsiąść w autobus albo pociąg i pojechać do Grodziska. Tam właśnie mieścił się zakład poprawczy, którego tyle miesięcy szukałam.*

*Zaraz następnego dnia wyciągnęłam z szafy najładniejszą sukienkę, o makijażu z jedną ręką w gipsie mogłam pomarzyć, pociągnęłam jedynie usta błyszcznikiem i mogłam ruszać na spotkanie z moją miłością.*

*I oczywiście mnie nie wpuszczono. Znaczący, owszem, mogłam sobie poprawczak zwiedzać, ale za ostatnią bójkę, o której Zadra wspomniał, mój ukochany karnie siedział w izolatce. Wikuuuś...!*

*Gorycz rozczarowania osłodził mi pierwszy list od niego, który dwa dni później dotarł na Czeremchową. Tak pięknych*

*słów, wypełnionych miłością, tęsknotą i czułością, nie czytałam nigdy. Mogłam się nimi sycić przez następne trzy miesiące, aż do dnia, w którym Wiktor wyjdzie na wolność.*

*Tymczasem jednak spadło mi z nieba coś arcycudownego. Coś, co osłodziło czas oczekiwania i miało ogromny wpływ na moje życie. Coś i ktoś, dodajmy.*

*O Janie Zadrze zapomniałam w chwili, w której straciłam go z oczu.*

*Szkoda, że on nie zapomniał o mnie...*

## ROZDZIAŁ XXVIII

### DOKTOR



Lecznica dla zwierząt mieściła się w niewielkim, parterowym budynku, stojącym w zaniedbanym ogrodzie. Nie było tu pięknie. Wprost przeciwnie. Betonowy podjazd i parking dla kilku samochodów, szare ściany, okratowane okna, doprawdy Weronika mogłaby znaleźć coś bardziej godnego zachwyty, lecz ona już podczas pierwszej wizyty, w grudniu ubiegłego roku, przestępując próg lecznicy z lekko drżącą Azą, poczuła magię tego miejsca. Przyciągało ją z taką siłą, że zaczęła przychodzić tu częściej, wynajdując przeróżne preteksty.

A to środek przeciw pchłom dla jednej suni. Tydzień później dla drugiej. Coś na odrobaczenie — w następnym tygodniu. I może jakieś witaminy? A dla koni? Nevadkę i Hubę też przydałoby się potraktować jakimś zacnym specyfikiem...

Nie za bardzo stać było dziewczynę na drogie wizyty i leki, ale przecież tutaj, w lecznicy weterynaryjnej, była cała jej przyszłość! O takim miejscu marzyła! Kiedyś ona sama narzuci na ramiona biały fartuch i cóż... będzie kłuła zastrzykami dupki swoich czworonożnych pacjentów.

Gdy przyszły mrozy musiała zawiesić swoje wizyty w lecznicy, później nadrabiała zaległości w szkole, ale dziś — gdy w końcu zdjęli jej gips — był dobry dzień na odwiedziny w tym przybytku. Stęskniła się za specyficznym zapachem środków odkażających i za starym, poczciwym doktorem Lutkiem także.

— Timba, twoja kolej — rzekła do suczki w pewne piątkowe popołudnie. Wróciła ze szkoły wcześniej, korepetycji dzisiaj nie miała, mogła więc zająć się zwierzętami. No i odwiedzić lecznicę. — Aza była poprzednio — tłumaczyła psu, przypinając smycz do obroży.

Zwierzak, który rzadko chadzał na smyczy, na początku szarpał ręką Weroniki na wszystkie strony, ale łagodną perswazją przyuczyła Timbę do marszu przy nodze i w pół godziny dotarły do lecznicy.

Pierwsze, co Weronikę zdziwiło, to długa kolejka pacjentów i

ich właścicieli. Zwykle poczekalnia świeciła pustkami, ale też poprzednio bywała tu w sobotnie ranki, gdy przyjmował doktor Lutek. Ta kolejka była do kogo innego...

Dziewczyna usiadła na wolnym miejscu, Timba przywitała się z psiakami, czekającymi na swą kolej, po czym położyła się u stóp pani i zaczęła nerwowo lizać łapę. Kobiety — bo tylko one wypełniały niewielką poczekalnię — dzieliły się doświadczeniami ze swych wcześniejszych wizyt i wtedy po raz pierwszy padło imię Piotr. Piotr Kochanowski. Weronika domyśliła się, że to lekarz, który właśnie przyjmuje.

Drzwi do gabinetu otworzyły się. Wypadła z nich kula przerażonej sierści, holując na końcu smyczy rozanieloną właścicielkę. Ta próbowała zamienić z lekarzem parę słów, ale kula siłą pociągnęła ją do wyjścia.

W drzwiach stanął lekarz i rzekł niskim, seksownym głosem:  
— Bardzo proszę następnego pacjenta.

I Weronika już wiedziała, dlaczego musi czekać w tak długiej kolejce. Wszystkie kobiety w poczekalni miały w oczach czystą miłość!

Wyciągnęła „Nad Niemnem” — polonistka, która Weroniki z przyczyn wiadomych szczerze nie cierpiała, na pewno równie szczerze ją z lektury przemagluje — i przez następną godzinę była oderwana od świata.

Dla Weroniki, kochającej książki całym sercem, nie miało znaczenia, co czyta: romans czy nudną lekturę, każda opowieść coś wносиła do życia dziewczyny. Czytała więc pasjami. Wszędzie. W autobusie, przy śniadaniu i kolacji, na szkolnych przerwach i w bibliotece po lekcjach. Ponieważ zaś interesował dziewczynę każdy temat i rodzaj literacki, wypożyczała książki kolejno, autorami, od A do Z. W drugiej klasie doszła do litery K i do końca liceum miała nadzieję przeczytać wszystko, czym biblioteka bogata.

— Teraz twoja kolej. — Kobieta siedząca obok wskazała drzwi do gabinetu.

— Chodź, Timbunia! — Weronika pociągnęła opierającego się psiaka za sobą i po chwili przekraczała zaczarowany próg.

Ściany z zielonych kafelków, przeszklona witryna z

mnóstwem leków, biurko zavalone papierzyskami, a na środku metalowy stół, na którego widok Timba cichutko zaskomlała, oto królestwo weterynarii, gdzie Weronika pragnęła kiedyś pracować.

Przy biurku siedział przystojny, szczupły mężczyzna, z krótko przystrzyżonymi jasnymi włosami, drucianymi okularami na nosie i oczywiście w białym fartuchu, coś pilnie notując. Wreszcie zamknął notes i zwrócił się do dziewczyny niskim, zdecydowanie męskim głosem:

— No co tam, kochanie?

Weronika uniosła brwi, lekko zaskoczona takim powitaniem.

— Chciałabym zaszczepić Timbę przeciwko wścieklicznie, panie doktorze — odrzekła nieśmiało.

— Pewnie. Wskakuj, psiaku, na stół, a ty, słonko, przytrzymaj ją mocno. — Podszedł do lodówki, wyjął buteleczkę ze szczepionką i zaczął nabierać płyn do strzykawki. — Jak masz na imię, moja śliczna?

— Weronika.

— Weronka, Weroniczka, Nisia... Ile masz lat, skarbie?

— Siedemnaście.

Przerwał nabieranie szczepionki i rzucił:

— To wróć za rok.

Dziewczyna spojrzała na niego, zaskoczona.

— D-dlaczego?

— Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia. Wróć, gdy będziesz pełnoletnia. Oświadczę się twoim rodzicom, jak Pan Bóg przykazał, weźmiemy ślub, potem synek, córeczka, drzewo, dom i będziemy żyć w zgodzie i szczęściu do końca naszych dni. Jak ci się to podoba, Nisieńko? — mówił to wszystko z taką powagą... że prawie uwierzyła. Nie zdążyła jednak odmówić uprzejmie, bo puścił oczko i posłał jej łobuzerski uśmiech.

Weronika odetchnęła z ulgą, a potem roześmiała się.

— Boże, myślałam, że pan tak na serio.

— Za rok będzie na serio — zapewnił, ale ona nie dała się już nabrać.

Podszedł do stołu, potarł Timbę za włochate uszy, potem



raz-dwa i było po strachu.

— To już?

Weronika przeniosła spojrzenie z psiaka na lekarza. Była pod coraz większym urokiem tego człowieka i nie dziwiła się już, dlaczego poczekalnia jest pełna.

Miał trzydzieści parę lat, ale zachowywał się jak niesforny chłopiec, który dopiero co odkrył kobiety, zachłysnął się nimi i zamierzał uwieść cały damski świat. Uwieść, nie zaliczyć. A miał gadane, trzeba mu było przyznać. Weronika wychodziła z gabinetu rozchichotana i zauroczona doktorem Kochanowskim, jak wszystkie przed nią.

— To co, kochanie, widzimy się za tydzień? — zapytał, nim poprosił następną pacjentkę.

— Tak, panie doktorze — odrzekła szybko, bo chociaż nie przewidywała więcej wizyt u weterynarza w tym miesiącu, jakiś powód, by przyjść do doktora Piotra na pewno znajdzie.

I znalazła.

*Tamtego dnia, w kwietniowe popołudnie, nie miałam pojęcia, że oto zawiązuje się między nami prawdziwa przyjaźń. Że poznałam drugą wielką miłość mojego życia. Gdy cały mój świat legnie w gruzach, on, Piotr Kochanowski, będzie jedynym jasnym punktem w niekończącym się mroku. To tutaj, do niewielkiej białoleckiej lecznicy, będę uciekała przed chorą rzeczywistością, a on, ten niepoprawny uwodziciel i bawidamek, będzie zamykał mnie w ramionach, ramionach przyjaciela nie kochanka, i gładząc po drżących od płaczu plecach, będzie powtarzał swoją mantrę: Nawet najczarniejsza noc kiedyś się kończy. Musisz tylko doczekać świtu.*

*Nie widział we mnie kobiety, wróć!, oczywiście, że widział, ale nigdy nie posunął się w niewinnym flircie dalej, niż do mocnego przytulenia na dzień dobry i takiegoż na dowidzenia. Traktował mnie jak młodszą siostrzyczkę, którą należy kochać i rozpieszczać, ale łapy to się od niej trzyma z daleka.*

*Nie muszę dodawać, że ten piękny niczym młody Bóg, świetnie zbudowany, zawsze opalony na przyjemny brąz facet, do którego kobiety lgnęły jak pszczoły do miodu, mógł mieć każdą na jedno pstryknięcie i — wierzcie mi, korzystał z tego!*

— ale mnie, nastoletnią smarkulę, potem młodą koleżankę po fachu, wreszcie zaufaną przyjaciółkę, oszczędzał?

Kiedyś go zapytałam, dlaczego nigdy nie wyciągnął ręki po taką świeżynkę, a był czas, gdy światą poza doktorem Kochanowskim nie widziałam. Zdziwiony odpowiedział pytaniem:

— Weroniczko, byłaś takim niewinnym, złaknionym opieki i miłości dzieckiem. Gdybym posunął się za daleko, nie potrafiłbym spojrzeć sobie potem w twarz. Jak mógłbym cię wykorzystać?

Cały Piotruś. Niby luzak, chart na baby, co żadnej nie przepuści, ale w głębi duszy człowiek honorowy i szlachetny. Uwielbiałam go...

Weronika zaczęła przychodzić do lecznicy kilka razy w tygodniu. Nie po to, by pouwielbiać doktora Kochanowskiego — miała przecież swojego Wiktora, którego nie mogła się już doczekać — lecz po to, by chłonąć wiedzę i umiejętności.

Podczas drugiej wizyty wyznała doktorowi, że weterynaria jest jej wielką miłością i pasją, po liceum będzie zdawać na studia, a po studiach pracować w lecznicy takiej jak ta. Podobne wyznania słyszał od połowy swych nastoletnich wielbicielek, ale Weronice uwierzył bez mrugnięcia okiem.

— Pokażę ci, jak zrobić zastrzyk podskórny i następnego pacjenta zaszczepisz sama, okej? — mówił.

— Okej — odpowiadała drżącym od emocji głosem, a wielkie, zielone oczy płonęły z podekscytowania. Czuła, że to jest jej świat, jej miejsce, jej powołanie. Sterylne ściany gabinetu, mali pacjenci, którym może pomóc, leki, których nazwy i dawkowanie zaczęła studiować tak pilnie, iż po tygodniu znała wszystkie na pamięć...

Miesiąc później — nadal czekając na Wiktora — potrafiła całkiem zgrabnie wbijać się zwierzakom do żyły, zakładać wenflon i podłączać kroplówki. Doktor Piotr często obdarzał ją pełnym uznania uśmiechem, a ona w takich chwilach roztapiała się niczym lody waniliowe, przeszczęśliwa.

Któregoś dnia, gdy bezbłędnie umieściła igłę w szczególnie cienkiej psiej żyłce, Kochanowski pokręcił z niedowierzaniem

głową i rzekł:

— Masz talent, dziewczyno. Kiedyś będzie z ciebie świetny lekarz, już moja w tym głowa. — Zarumieniła się z radości, a on zapytał od niechcienia: — W sobotę rano mam umówiony zabieg, Lutek — mówił o drugim lekarzu — bierze wolne, chcesz mi asystować?

— Bardzo!

Operacja, zabieg chirurgiczny, to było coś, o czym marzyła, ale do tej pory doktor nawet nie napomknął, że mogłaby się chociaż z daleka przyglądać. Dziś prosił, by została jego asystentką!

— Sobota, ósma rano. Wstaniesz?

— Będę na czas. Dziękuję, panie doktorze — dodała z głębi serca. Szczęście aż dławilo ją w gardle.

— Zjedz coś przed wyjściem, żebyś mi nie zemdląła przy stole. Nie boisz się, mam nadzieję, widoku krwi?

— Nie boję — zaprzeczyła stanowczo, chociaż tak naprawdę poważniejszych wypadków nie miała i nie oglądała.

— I super, bo będzie krwawo.

— A... co to za zabieg? — musiała zapytać. Jego ostatnie słowa sprawiły, że zrobiło jej się jakoś tak... niewyraźnie.

— Amputacja kończyny, kochanie. Coś tak pobladła? Na pewno chcesz przy tym być?

— Na pewno — zapewniła, obiecując sobie w duchu, że wytrzyma i krew, i amputację. Przecież kiedyś sama chciała zostać lekarzem, być może chirurgiem. W najbliższą sobotę dostanie okazję, by się sprawdzić.

I sprawdziła się.

Przy stole operacyjnym była może blada, ale uważna i skupiona. Bezbłędnie rozpoznawała narzędzia i podawała doktorowi te, których potrzebował. Gdy trysnęła krew z przeciętej tętnicy, nie osunęła się zemdlona pod stół, przeciwnie — przytomnie ucisnęła naczynie gazikiem, doktor podłapał je szczypcami kochera, sprawnie podwiązał i było po krwotoku. Zaczął łączyć rozcięte skalpelem tkanki pierwszym piętrem szwów, potem drugim, wreszcie wziął się za szycie skóry na kikucie łapy. Weronika obserwowała ruchy

igłotrzymacza, notowała w pamięci jaki szew które tkanki łączy.

— Chcesz spróbować? — Wyciągnął do dziewczyny zakrzywioną igłę z przewleczoną przez jej ucho nicią chirurgiczną.

— Bardzo.

Ujęła igłotrzymacz pewnie, jakby czyniła to nie pierwszy raz, i idealnie odtworzyła ostatni szew, który założył Kochanowski. Potem następny i tak do końca, aż rana była zamknięta.

Doktor... On przyglądał się przez chwilę równej, długiej nitce szwu, po czym rzekł, wyraźnie wzruszony:

— Jesteś świetna, Nisia. Będiesz znakomitym lekarzem. Kurczę, dziecko drogie...! — Przygarnął ją i ucałował we włosy. — Cieszę się, że mogę cię uczyć. To pierwsza wspólna operacja, ale nie ostatnia. Wtorek o siedemnastej?

Podniosła na niego oczy pełne łez, dobrych łez radości, i odrzekła krótko:

— Będę.

Los nie mógł być dla dziewczyny hojniejszy w tamtych dniach. Mieszkała w miłym domku, do którego Magda doprowadziła w końcu wodę, opiekowała się dwiema sajgonkami, w każdy weekend jeździła konno do spożywczego, wracając z zakupami przez las — kochała te przejażdżki nie mniej niż skarogniada kłacz!, mniejsza o zdziwione miny ludzi, mijających konia, przywiązane pod sklepem do stojaka na rowery. Kwiecień był piękny, maj jeszcze piękniejszy. Słońce świeciło przez cały dzień, deszcz padał w nocy. Nauka w liceum szła jej całkiem nieźle, po szkole niemal co dnia biegła do lecznicy, by asystować ukochanemu doktorowi Kochanowskiemu i tylko Wiktora Helerta do pełni szczęścia było Weronice brak.

Wiedziała, że wyszedł z izolatki, złożył wniosek o warunkowe i czekał na rozprawę, ale prosił w listach, by nie przyjeżdżała na widzenia. Nie chciał, by oglądała go w tym parszywym miejscu, tak to tłumaczył dziewczynie. Jej pozostało uszanować tę prośbę.

Drugą chmurką na błękitnym niebie okazał się chroniczny brak pieniędzy. Doba miała tylko dwadzieścia cztery godziny.

Weronika wstawiała o świcie, żeby oporządzić zwierzęta, biegła do szkoły, w bibliotece odrabiała lekcje, po czym zarzucała plecak na ramię i jechała do lecznicy, która wkrótce stała się dla niej niczym nałóg.

Dziewczyna mogła nie spać i nie jeść, ale na Mehoffera, gdzie mieściło się królestwo weterynarii, zajrzeć musiała. Gdzie czas na korepetycje? Gdzie pieniądze na życie? Trochę zarabiała przepisywaniem tekstów na maszynie, którą znalazła na stryżku. Swoje „powieści” też zaczęła pisać na starej, ale nadal w pełni sprawnej, Olympii. Również maszyna do szycia, kupiona za grosze na targu staroci, przynosiła niewielkie pieniądze. Dziewczyna przyjmowała chałupnicze zlecenia i do późnej nocy potrafiła łączyć elementy bluzki czy sukienki.

Zarabiała bardzo skromnie, pieniądze znikwały w zastraszającym tempie. Młody organizm potrzebował energii, budulca i odpoczynku, a dostawał tyle co nic. Dziewczyna nie dojadła i nie dosypiała. Chodziła stale i permanentnie głodna. Bywały dni, kiedy stać ją było na dwie bułki kajzerki, serek topiony i kisiel w ramach ciepłego posiłku. Gdy przychodził rachunek za prąd czy inny niespodziewany wydatek, robiło się naprawdę ciężko.

Czasem z głodu i wyczerpania zaczynała po prostu płakać. Łzy kapały na wylizany do czysta talerz po kisielu. W drżącej dłoni trzymała dwa złote, które musiało jej wystarczyć na cały następny dzień i... nie miała już sił nawet na łzy.

Nie skarżyła się jednak, nie prosiła o pomoc. O tym, że chodzi głodna, naprawdę głodna, nie mógł wiedzieć nikt.

Lecz przecież przyjaciele widzieli, w jakim jest stanie. Magda, która odwiedzała ją raz na dwa tygodnie, nigdy nie przyjeżdżała z pustymi rękami. Dzięki niej mała lodówka wypełniała się zapasami na ładnych parę dni i Weronika choć przez tę parę dni mogła jeść do syta. To jednak ciągle było mało.

Zeszczuplała tak bardzo, że doktor Kochanowski musiał zapytać któregoś dnia:

— Dziecko drogie... — lubił się tak do niej zwracać, chociaż ona za każdym razem się obruszała, nie na serio, rzecz jasna! —

...ty masz anoreksję? Wyznaj mi tu szczerze, jak na spowiedzi.

— Nie! Oczywiście, że nie! Jem. Nawet sporo, przecież doktor sam widział.

Owszem, pączkiem, za którymi przepadał, nie pogardziła. Wchłonęła go w trzy sekundy. Skoro więc nie anoreksja, a dziewczyna wygląda jak śmierć na chorągwi, to może bulimia? Już miał się na serio zaniepokoić, gdy przyszło mu do głowy inne podejrzenie... Weronika była bardzo tajemnicza, jeśli chodzi o to gdzie mieszka i z kim mieszka. Może rodzice ją głodzą czy co? Musiał o to zapytać. Dla spokoju ducha.

Ale ona zaprzeczyła.

— Nie mieszkam z rodzicami, trudno więc, żeby mnie głodzili.

— Jeśli nie z rodzicami, to z kim? — zdziwił się.

Dziewczyna była zadbana, przyzwoicie ubrana, wypowiadała się pięknie i bez wulgaryzmów, pisała bezbłędnie, była przykładem panienki z dobrego domu.

Panienka z... dobrego domu, która całymi dniami i przez większość weekendów przesiaduje w lecznicy, zamiast z matką i ojcem? Co jest grane?

— Wynajmuję chatkę na Czeremchowej, całkiem niedaleko, za opiekę nad dwoma końmi i psami.

— I mieszkasz w tej chatce sama?

Przytaknęła spokojnie.

— A pieniądze na życie skąd bierzesz? Dostajesz alimenty?

— Zarabiam — ucięła.

— Niby jak i kiedy, skoro w dzień masz szkołę, a po szkole przychodzisz tutaj? Mam nadzieję, że nie handlujesz własnym... hmmm...

— Doktorze... — Spojrzała na niego, kręcąc głową. — Wieczorami szyję i przepisuję teksty. To wystarcza na skromne życie, a ja nie mam wielkich potrzeb.

— Dziewczyno, uczysz się, a potem pracujesz tutaj. Musisz mieć siły, więc musisz przyzwoicie jeść! Przyrzekam ci, że jeśli któregoś dnia zemdlejesz z wycieńczenia, więcej ciebie do lecznicy nie wpuszczę. Nie chcę mieć cię na sumieniu, jasne?

Kiwnęła głową, bliska łez.

— Dlaczego nie wystąpisz o alimenty? Jesteś niepełnoletnia, więc?

— Nie chcę ich o nic prosić! — odparła tak gwałtownie i tak odpychającym tonem, aż się zdziwił. Weronika była uosobieniem słodyczy i spokoju.

— Łaski nie robią. To ich zasrany obowiązek! — On też się w końcu zdenerwował.

Gdyby nie był pewien, że dziewczyna odmówi, sam zacząłby wypłacać jej pewną kwotę, choćby za pomoc w lecznicy, ale obraziłaby się. Przychodziła tutaj z miłości do weterynarii, nie dla pieniędzy. Lecznica była jej azylem, nie miejscem pracy. Chciała tu przebywać dla przyjemności, nie z obowiązku.

Piotr naprawdę nie miał pojęcia, jak jej pomóc. Wreszcie poprosił o radę starszego kolegę, a ten wpadł na genialny pomysł:

— Zaczyna się sezon szczepień, na który co roku zatrudniamy pomoc. Możemy wziąć naszą Weronkę, zamiast szukać obcych. Poza tym, skoro przebywa w lecznicy pół dnia, warto zadbać, by chociaż tutaj coś jadła. Poproszę Bożenkę — mówił o swojej żonie — żeby przygotowywała mi do pracy więcej kanapek. Ty żony nie masz, kanapek nie robisz, objadasz się, jakże zdrowo, pączkami...

— I jestem szczuplejszy od ciebie.

— Fakt, jesteś szczuplejszy. Musisz zamawiać tych pączków więcej, żeby wystarczyło dla was dwojga. Tylko tak... subtelnie, żeby nasza Weroniczka nie zorientowała się, że ją dokarmiamy.

— Jasne. Szczepienia, pączki, dokarmianie. A po szczepieniach coś się wymyśli.

I Weronika przestała chodzić głodna.

Aż nadszedł pewien magiczny wieczór, pierwszy czerwca, Dzień Dziecka, w którym wszystko się zmieniło...

## ROZDZIAŁ XXIX

WIKTOR



Wieczór był piękny, ciepły. Niebo bezchmurne i rozgwieżdżone. Doktor Kochanowski, który od jakiegoś czasu zaczął odwozić Weronikę do domu — „nie będziesz się pętała nocą po pustych ulicach” — zatrzymał się pod krzywym płotem i rzekł do zmęczonej dziewczyny:

— Jutro mamy usunięcie nowotworu. Będziesz?

Jej jak zwykle rozbłysły oczy, bo asystować mu przy zabiegach kochała najbardziej, i bez wahania odrzekła:

— Oczywiście!

Pochylił się i nadstawił policzek. Za podwózkę należał się całus. Cmoknęła szorstki od zarostu policzek przyjaciela.

— No. Spadaj — pożegnał ją żartobliwie.

Wysiadła i pomachała mu ręką, już miał ruszać, gdy nagle w światłach samochodu mignął mu jakiś cień. Zatrzymał auto, nie gasząc silnika.

Tak! Pod domem, w ciemnościach, ktoś się czaił!

— Nika! — krzyknął ostro.

Dziewczyna, która była już w połowie ścieżki zatrzymała się, a potem zawróciła. Podbiegła do samochodu.

— Co się stało?

Piotr już wysiadał.

— Ktoś się tam u ciebie czai. Nie zasnęłbym spokojnie, gdybym nie sprawdził kto i co.

Widział, jak z przestachu ogromnieją jej oczy. Okolica należała do spokojnych, ale parę lat temu zamordowano gdzieś tutaj samotnie mieszkającą kobietę.

Ruszył przodem. Dziewczyna za nim.

Nagle z mroku wychynęła ciemna sylwetka i padły ciche, groźne słowa:

— Kim, koleś, jesteś i co porabiasz w środku nocy z moją dziewczyną?

Piotr zatrzymał się w pół kroku, natomiast Weronika... ona krzyknęła, minęła go, wpadła na tego, kto pytał i z ni to jękiem,



ni szlochem, zawisła mu na szyi, powtarzając niczym miłosne zaklęcie:

— Wiktor! Mój Wikuś!

A doktor nagle zrozumiał. Oto ma przed sobą — patrzącego wilkiem, dodajmy — legendarnego Wiktora Helerta. Wielką miłość swojej uroczej podopiecznej.

„Nic tu po tobie, Kochanowski”, pomyślał. „Weronka jest w dobrych rękach. Chyba”.

Odwrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając tych dwoje za sobą.

Ona śmiała się i płakała na przemian, on tulił ją z całych sił, stęskniony do obłędu. Wreszcie odnalazł usta dziewczyny i zrobił to, o czym marzył od lat: zaczął całować ją mocno, namiętnie, już nie jak chłopak, a jak mężczyzna. Ona, na początku zaskoczona gwałtownością tego pocałunku, wyszła ukochanemu naprzeciw, zatracając się w nim bez pamięci. Noc spokojnie mogłaby się nie kończyć...

Nie odrywali się od siebie aż do świtu, całując się, tuląc i niewinnie pieszcząc. On wprawdzie był doświadczony w sprawach damsko-męskich, na nielicznych przepustkach uwodził i pozwalał się uwodzić, jednak Weronika była nietknięta, jedynym jej chłopakiem był Wiktor właśnie i zamierzał to uszanować, chociaż... doprawdy... trudno było trzymać pożądanie na wodzy.

Parę razy, gdy już, już miał się zapomnieć i sięgnąć po coś więcej, niż tylko jej usta, wstawał i nagle wychodził. Ona zostawała sama, nic nierozumiejąca. Wracał po zaspokojeniu głodu, znów czuły, łagodny i opanowany, przyciągał ukochaną dziewczynę i całował dotąd, aż oboje tracili oddech.

Piękne to było...

Ranek zastał Wiktora i Weronikę tak, jak wczoraj padli na łóżko: w ubraniu, ale mocno w siebie wtulonych. Dziewczyna obudziła się wcześniej i leżała cicho, patrząc na śpiącego chłopaka z niedowierzaniem i taką miłością, że aż bolała.

Był taki piękny... czarne, długie rzęsy rzucały cień na policzki. Szczupłą twarz o śniadej cerze, pamiętce po cygańskich przodkach, pokrywał ciemny zarost, dodający mu

męskości. Ramiona miał silne i opalone na brąz, dzięki pracy w przyzakładowym ogrodzie. Nagle zapragnęła, by zamknął ją ponownie w tych ramionach i znów zaczął całować. Zateśkniła za obezwładniającym uczuciem błogości, gdy to robił i słodkim bólem, tam na dole, na który on na pewno zna lekarstwo, ona się jedynie tego domyślała.

Dotknęła opuszką palca jego warg. Rozchylił je lekko, bezwiednie. Przysunęła się bliżej i zaczęła pieścić jego usta swoimi. Jeszcze nie do końca obudzony oddał pocałunek. Pocałunek leniwy, na dzień dobry, nie tak wściekle namiętny jak wczorajszej nocy, a czuły i słodki.

— Tylko dzisiaj mogę sobie pozwolić na wagary — odezwała się ze smutkiem Weronika, gdy w końcu zdecydowali się wstać i coś zjeść.

Wiktor nie przyniósł wprawdzie ze sobą zapasów, jak czyniła to Magda, ale miał zaoszczędzone pieniądze. Ani jemu jednak, ani Weronice nie chciało się iść do sklepu. Ten pierwszy wspólny dzień zamierzali spędzić w domu. Od rana do wieczora w domu.

— Jutro wracam do szkoły, a ty? — zapytała, stając na palcach, żeby go pocałować. Była o głowę niższa. I pomyśleć, że ośmioletni Wiktor tak się zadreślał swoim wzrostem...

— Zrobiłem kilka kursów zawodowych, na pewno znajdę jakąś fuchę, ale od września mam zamiar pójść do liceum wieczorowego, zdać maturę, a potem na studia.

Ucieszyła się, ale i zaniepokoiła.

— Po poprawczaku możesz iść na studia?

— Dlaczego nie? Piętna na czole nie noszę. Poza tym społeczeństwo jest mi coś winne. Nie jestem degeneratem, który pobił biednego tatusia, bo taki miał pomysł na spędzenie wieczoru. Byłem bity i poniżany. Skoro więc społeczeństwo nie potrafiło obronić dzieciaka przed katem, niech chociaż tak mi się zrekompensuje: bezpłatnymi, dziennymi studiami i sutym stypendium. Będę studiował, a wieczorami i w weekendy pracował. Damy radę, prawda, Nisia?

— Pewnie, że damy! A co chcesz studiować?

— Prawo.

Krótko, jasno i na temat.

— To bardzo trudny kierunek.

— Wiem, mimo to spróbuję. Może mi nie uwierzysz, ale do nauki się przykładałem. W karczerze, w którym spędzałem długie radosne tygodnie, możesz się jedynie uczyć albo medytować, więc się uczyłem, stopnie mam całkiem, całkiem, byle teraz maturę dobrze zdać. Zamierzam ciężko pracować, żeby się na uniwersytet dostać i go skończyć. Twoja weterynaria nie będzie łatwiejsza.

Tu musiała przyznać mu rację.

Usiedli do skromnego śniadania, ot chleb z masłem i dżemem truskawkowym domowej roboty, który przyniosła Weronice Magda.

Jak cudnie było tak we dwoje, w spokojny czerwcowy poranek spożywać razem posiłek... Ani Weronika, ani Wiktor nie doświadczyli tego w dzieciństwie. No, może ona, u babci Steni, ale dla Wiktora było to niesamowite doznanie.

Wzruszony nie po raz pierwszy tego dnia i nie ostatni, sięgnął przez stół po dłoń Weroniki i wtulił usta w ciepłe wnętrze.

— Dziękuję, że jesteś — wyszeptał. — Nigdy cię nie skrzywdzę.

Zadra powiedziałyby: słowa „nigdy” należy używać rzadko, a najlepiej wcale. Ale Zadry na szczęście z nimi nie było. Mogli bez pośpiechu dokończyć śniadanie, potem Wiktor zajął się końmi, Weronika zaś usiadła do szycia. Wpadnie parę groszy więcej...

Tak się ułożyło ich wspólne życie. Codziennie wstawali bardzo wcześnie, żeby oporządzić konie, potem jedli razem śniadanie, ciesząc się każdą wspólną chwilą. Przed ósmą szli do autobusu, Wiktor odprowadzał Weronikę pod drzwi liceum — powiedzieć, że koleżanki zazdrościły jej tak obłądnego faceta, to nic nie powiedzieć — potem sam szedł do pracy, którą znalazł w pobliskim warsztacie samochodowym.

Nie pił, nie palił, nie ćpał i zasuwał od rana do wieczora, robiąc bez protestów wszystko, co zlecił mu szef. Ten wkrótce nie mógł się bez Helerta obyć, więc dał mu podwyżkę.

Weronika wreszcie przestała głodować...

Do domu wracali późnym wieczorem, przy czym ją nieodmiennie podrzucał na Czeremchową doktor Kochanowski, co z kolei Wiktora nieodmiennie wkurzało. Był o dziewczynę chorobliwie zazdrosny i wcale się z tym nie krył.

— On się do ciebie lepi!

— Nie lepi się.

— Poutrącam mu łapy, jeśli spróbuje cię tknąć!

— Nie lepi się. I nie próbuje mnie dotykać.

— Ale całusków na dobranoc żąda?!

— Wikuuuś... Sama w ten sposób mu dziękuję. Za podwiezienie!

— Rozbiera cię wzrokiem.

— Widzi we mnie dzieciaka, nie kobietę i traktuje jak młodszą siostrę. Siostry wzrokiem się nie rozbiera.

— On rozbiera.

— Nie rozbiera!

— To ja cię rozbiore... — I kończyli kłótnię przytulankami, których i jej, i jemu nigdy nie było dość.

Któregoś jednak wieczoru, gdy Weronika wróciła znacznie później, niż zwykle, Wiktor zaczął poważnie, biorąc twarz dziewczyny w dłonie:

— Nisia, mam dosyć tego całego doktora i twoich nocnych powrotów. Tęskniłem za tobą całym latami i nie chcę się teraz tobą dzielić z nikim innym. Nie przemawia przede mną w tej chwili zazdrość, a zwykła potrzeba bliskości. Nie chcę stawiać ci ultimatum, ale...

Milczała przez chwilę, zbierając myśli.

— Lecznica daje mi tyle radości... Proszę cię, kochany, nie każ mi wybierać między tobą, a nią. To żaden wybór. Jesteście mi potrzebni do szczęścia oboje! Dzisiaj, zobacz, uratowaliśmy z doktorem konającą suczkę. Ktoś porzucił ją, ciężarną, w lesie, zaczęła rodzić, przywiązana do drzewa. W ostatniej chwili znaleziono bidulę i na wpół martwą przywieziono do nas. Walczyliśmy o psiaka ładnych parę godzin. Ja, tymi rękami, zmieniałam jej kroplówki, opatrywałam rany, dawałam zastrzyki i patrz, będzie żyła. Proszę, Wiktor, nie odbieraj mi tego. —

Oczy dziewczyny zaszkliły się łzami, a to zawsze łamało mu serce. Nie znosił, gdy Weronika płakała. Nienawidził, gdy płakała przez niego.

— Proszę, Nisia... — Przygarnął ją natychmiast do siebie. — Ja... ja po prostu odnoszę wrażenie, że dla ciebie liczy się bardziej on, niż to wszystko. — Zatoczył dłonią krąg. — I wolisz być z nim, niż ze mną — dokończył nieszczęśliwy i zażenowany brakiem pewności siebie i jednak zazdrością.

— Doktor Kochanowski? Przyjaźnimy się. Lubię go. Ale to ciebie kocham ponad wszystko. Jeśli więc postawisz mi ultimatum: lecznica albo ty, nigdy więcej tam nie pojedę.

Wypowiadała te słowa patrząc mu prosto w oczy, zdecydowana, że tak właśnie zrobi, ale na dnie swoich źrenic miała taki smutek, że Wiktor nie potrafił złamać jej serca. Dotknął wargami ust dziewczyny w najczulszej pieśczoce i poprosił jedynie, by doktor zatrzymywał się jedną posesję wcześniej. Żeby on, Wiktor, nie widział, jak Weronika całuje tamtego na pożegnanie.

To mogła mu przyrzec. I jeszcze, że skoro tak bardzo rani go tym niewinnym pocałunkiem, po prostu nie będzie tego więcej robiła. Doktor Kochanowski zrozumie...

Tak właśnie się stało.

Rozwiązali problem doktora, jednak pojawił się inny, znacznie poważniejszy. Jan Zadra.

— Nie wiem, jak wy to robicie, że ten koń was nie demoluje — zdumiała się pewnego dnia Weronika, patrząc jak Wiktor wchodzi do boksu wściekłej Huby i bez obaw zaczyna ją oporządzać. Klacz próbowała się stawiać, ale strzelił ją wierzchem dłoni w wyszczerzone zęby i od razu spokorniała.

— Dlaczego mówisz do mnie „wy”?

— Zadra też sobie z nią radził. Może ona uznaje tylko mężczyzn, a kobietami pomiata? — zastanawiała się Weronika, nie zauważając, jak w tej chwili patrzy na nią Wiktor.

Puścił końskie kopyto, które właśnie czyścił, wyprostował się i podszedł do bariery.

— Był tu Zadra? — zapytał jak gdyby nigdy nic.

— Był i tak samo...

— Nic mi o tym nie wspomniałaś — przerwał jej tonem tak ostrym, że spojrzała na niego zdziwiona.

— Nie było o czym gadać. — Wzruszyła ramionami. — Był. Wybył.

— W jakim niby celu? Co od ciebie chciał? — Ton chłopaka nie zmienił się ani na jotę.

— Ode mnie nic. Zakumplował się z Magdą. Razem wypuszczali się do lasu na przejażdżki. Więcej grzechów nie pamiętam. Wystarczy? — dokończyła żartobliwie, ale Wiktorowi daleko było do żartów.

— Ten facet jest... powiedzmy, że za nim nie przepadam.

— Ja również. — Poklepała chłopaka po dłoni. — Parę razy kazałam mu spadać, gdy... — I musiała ugryźć się w język.

Przecież nie powie Wiktorowi, że tamten stawiał jej niemoralne propozycje i to on, nie doktor Kochanowski, ją obłąpiał. Helert gotów połamać Zadrze łapy, jak to obiecał Bogu ducha winnemu lekarzowi.

— Nie chcę, żeby ten typ się tu kręcił! — Chłopak podniósł głos, chyba po raz pierwszy, od kiedy byli razem.

— Bardzo słusznie, ja też tego nie chcę. — Weronika nie dała się wyprowadzić z równowagi. — Ostatnio był tu w maju, przyniósł opinię, wręcz laurkę, dzięki której wyszedłeś warunkowo...

Chwycił ją za ramię tak nagle i tak silnie, że umilkła zaskoczona.

— Coś ty powiedziała? — syknął. — Dał ci opinię na mój temat?

— Puść, to boli. — Położyła rękę na jego dłoni i rozwarła palce, zaciskające się na jej ramieniu. Wyraz twarzy chłopaka z lekka ją przerażał.

— Nika... — zaczął nieswoim głosem. — Zadra nigdy nie wystawił żadnej opinii, a na pewno nie tej, dzięki której wyszedłem z poprawczaka. — Uniosła brwi w niemym zdumieniu. — Mieliśmy umowę. Jednym z jej warunków było zerwanie z tobą w zamian za przedterminowe zwolnienie. Pamiętasz? Zostawiłem cię, postępując niczym ostatnie bydło, w szpitalu. Chodziłem potem po ścianach, wariując z frustracji i

tęsknoty za tobą, poszedłem więc do Zadry i powiedziałem, że rezygnuję. Że wolę odsiedzieć te trzy lata, nawet jeśli miałbym cię stracić, niż stracić ciebie już teraz. Przyjął to do wiadomości bez entuzjazmu i zniknął z mojego życia. Więcej się nie kontaktowaliśmy. A pod ową laurką podpisał się dyrektor poprawczaka, nie Zadra.

Milczała, całkiem skołowana. Przecież tamten był tutaj! Dał jej tę opinię do ręki! Była pewna, że wysłał ją do sądu!

— Teraz rozumiesz, dlaczego sam dźwięk nazwiska „Zadra”, doprowadza mnie do furii? To kawał bydlaka, manipulant. Nie życzę sobie, by utrzymywał z tobą jakiegokolwiek kontakty.

— I nie utrzymuje — zapewniła Wiktora, chociaż pewności w sercu nie miała.

Parę razy zdawało się jej, że widzi samochód Zadry przejeżdżający Czeremchową. Wtedy myślała, że jest przewrażliwiona, teraz czuła niepokój. Odrzucony mężczyzna bywa niebezpieczny, a Weronika odrzuciła umizgi Zadry dwukrotnie. Miała nadzieję, że on odpuści. Zostawi ich w spokoju. Czyżby się myliła?

## ROZDZIAŁ XXX

MAGDA



To sobotnie przedpołudnie, o dziwo, Weronika z Wiktorem spędzali razem. Doktor Kochanowski nie zaplanował żadnej operacji, a właściciel warsztatu wyjechał na wczasy i zamknął biznes. Weronika postanowiła poświęcić ten dzień na przyjemności. Żadnej pracy! Tylko odpoczynek.

— Przejedziemy się? — zaproponowała. — Ja na Nevadzie, ty na Hubie?

— Nie ma sprawy. W lesie urządzimy sobie wyścigi. Ciekawe, czy mnie dogonisz. A jeszcze ciekawsze, co mi zrobisz, gdy mnie złapiesz. — Wiktor puścił do niej oczko. — Osiodłam obie, a ty przygotuj jakiś prowiant, zrobimy sobie piknik pod Oczyszczalnią Czajka.

Rzeczywiście za lasem, a więc niemal po sądziedzku, mieli największą oczyszczalnię ścieków w Polsce, ale specjalnie to okolicznym mieszkańcom nie przeszkadzało.

Weronika zakrzętnęła się przy pakowaniu do plecaka pyszności, których teraz w lodówce nie brakowało i nagle... poczuła takie szczęście i radość, aż łzy jej się w oczach zakręciły. Jeszcze niedawno, dosłownie trzy miesiące temu, była do bólu samotna, głodna i przerażona. Dziś kochała nad życie chłopaka, który kochał ją, lodówka była wypełniona po brzegi, a strach został przegnany przez poczucie bezpieczeństwa. Była szczęśliwa! A wszystko dzięki Wiktorowi!

— Kocham cię — wyszeptała, patrząc przez okno, jak on kończy siodłać Hubę, po czym wskakuje na jej grzbiet i zmusza konia do biegu.

Wyglądał jak przeniesiony z baśni książę. Weronika nie potrafiła oderwać od niego oczu, całkiem oczarowana. Że też taka ona, niepozorna, do bólu zwyczajna, nawet niezbyt ładna, dostała od dobrego losu takiego mężczyznę jak Wiktor...

Nagle do barierej grodzącej padok podeszła szczupła dziewczyna o długich, ciemnych włosach, oparła się łokciami o belkę i zapatrzyła na galopującego pod lasem konia, a w



szczególności na jeźdźca, który dosiadał cisawą klacz.

— Magda! — wykrzyknęła Weronika z nieukrywaną radością i pobiegła przywitać przyjaciółkę.

Uściskały się, ucałowały.

— Ależ przystojniak z tego twojego Helerta — w głosie Magdy zabrzmiała z trudem ukrywana zazdrość.

Od jakiegoś czasu przestała odwiedzać tych dwoje, bo prawdę mówiąc nie mogła znieść jak jedno jest wpatrzone w drugie. Dwa zakochane gołąbeczki. Chłopak z poprawczaka i uciekinierka z domu, też mi coś!

— Ważniejsze, że jest dobrym człowiekiem i mnie kocha — odparła Weronika i pomachała Wiktorowi ręką. Zasalutował z daleka i zmusił konia do szybszego biegu.

Przez chwilę wodziły za nim wzrokiem, wreszcie Magda rzekła:

— Nie przyjechałam w odwiedziny. No, nie tylko. Widzisz, Weronka... nie wiem, od czego zacząć... Rodzice stwierdzili, że nie będą utrzymywać wiecznej studentki, niby mnie, i obcinają mi kieszonkowe. Nie stać mnie na czynsz za mieszkanie na Mokotowie i muszę wrócić tutaj. Przykro mi, ale do końca miesiąca musicie się wyprowadzić.

Po jej słowach zapadła cisza.

„A miało być tak pięknie...”, westchnęła w duchu Weronika.

— Tak, oczywiście, dom jest przecież twój — odrzekła na głos. — Opuścimy go najszybciej, jak tylko zdołamy. Myślę, że w ciągu dwóch tygodni znajdziemy w okolicy coś podobnego, żeby Wiktor nadal miał pracę w warsztacie, a ja swoją lecznicę.

Nagle poczuła jakie to ważne.

— Chciałam ci podziękować za opiekę nad zwierzętami.

— Magda dotknęła ramienia dziewczyny przepaszającym gestem. — Naprawdę o nie dbałaś. — Odpowiedział jej uśmiech.

— Będę uciekać. Głupio mi, że was wyrzucam, bo kto jak kto, ale ty, Weronka, zasługujesz, by wreszcie być szczęśliwą...

— I będę — zapewniła z przekonaniem dziewczyna. — Nieważne: w tym domu czy gdzie indziej, byle z Wiktorem. On wystarczy mi za cały świat.

W niebieskich oczach przyjaciółki znów pojawił się cień zazdrości. Ona, Magda, nie miała tyle szczęścia do facetów. Co się w którymś zabujała, ten nie zwracał na nią uwagi, albo odchodził, gdy tylko znalazł lepszy towar. A przecież niczego jej nie brakowało. Była ładna, nieuboga, niegłupia. Umiała się dobrze ubrać i jeszcze lepiej bawić. Dlaczego to małe, rude, chude stworzenie załapało się na takie ciacho jak Helert, a ona jest sama?

Z trudem zmusiła się, by objąć przyjaciółkę na pożegnanie i po chwili znikła na ścieżce za domem.

— Co się stało, kochana moja? Złe wieści? — Wiktor wstrzymał klacz po drugiej stronie barierki i z troską pochylił się ku Weronice.

— Mamy dwa tygodnie na znalezienie nowego lokum.

— I tym się smucisz? Przecież damy radę, prawda?

Zeskoczył z końskiego grzbietu i przytulił dziewczynę.

Ona przez chwilę wdychała jego zapach, lekką woń wody po goleniu, skóry i potu. Zapach jej mężczyzny. Gdy zaczął ją całować — a nigdy nie mógł się od tego powstrzymać, gdy miał ją tak blisko — aż zakreśliło się jej w głowie.

Pocałunek stał się bardziej namiętny, Wiktor jak zawsze zatracił się w nim, pociągając za sobą dziewczynę. Ręce zsunął na jej pośladki i przycisnął do siebie, tak że czuła jego naprężoną męskość.

Może... może to już czas?

— Zróbmy to — wyszeptała bez tchu, gdy oderwali się od siebie. — Chodźmy do domu i zróbmy to.

Och... marzył o takich słowach od miesięcy... O tym, by zaspokoić palące pożądanie nie własną ręką, a w gorącym, wilgotnym wnętrzu ukochanej dziewczyny, marzył równie długo. I ona być może naprawdę tego chciała, a skoro tak, on musi być rozsądny za nich dwoje.

— Pierwszego marca przyszłego roku, kochana — odparł z czułością. — W dniu twoich osiemnastych urodzin. Nie wcześniej.

— To za długo! Ja chcę cię teraz! Jestem gotowa, naprawdę!

— Wierzę, Nisia, ale poczekamy do twojej osiemnastki. W

świetle prawa jesteś niepełnoletnia, a ja muszę go przestrzegać, przecież wiesz o tym. I, również jesteś tego świadoma, pragnę kochać się z tobą, jak niczego na świecie, ale musimy poczekać. Tak trzeba, Nisiuniu.

Uwielbiała, gdy spieszczął jej imię. Wymawiał je tak miękko i łagodnie...

— Masz rację, nie wolno nam ryzykować — odparła poważnie.

Ale za chwilę mało poważnie wskoczyła mu na biodra, objęła udami i ocierając się o jego lędźwie zadała mu torturę, po której musiał udać się w odosobnione miejsce i zaspokoić głód, który wzbudziła. Weronika zaś, już na tyle świadoma, że wiedziała dlaczego on nagle, w chwili bliskości, wstaje i wychodzi, po czym wraca po kilku minutach zmieszany i zaczerwieniony, zaśmiała się tylko.

— Poczekaj do marca, ty mała wiédźmo! — odkrzyknął. — Zobaczymy, kto będzie wtedy górą!

— Jeśli „na jeźdźca”, to ja!

Zachichotała, widząc jego minę, i pomachała mu koniuszkami palców.

Mijał pierwszy miesiąc, od kiedy Wiktor wyszedł z poprawczaka. Pierwszy miesiąc, gdy mieli siebie. Oboje świata poza sobą nie widzieli, zakochani bez pamięci jedno w drugim.

Los nie lubi przyglądać się beczynnemu takiej miłości. Ludzie jeszcze mniej. Jak długo pozwolą Weronice i Wiktorowi na ich szczęście?

— Cześć, kochanie, dobrze, że jesteś. — Doktor Kochanowski jak zwykle ucieszył się na widok podopiecznej, ona zaś jak zwykle pomyślała: Dobrze, że Wiktor nie słyszy tego „kochanie”, ale by się wściekł! Zazdrość chłopaka odrobinę Weronice pochlebiała, taką małą odrobinę.

— Dzisiaj mam parę... hmmm... zaufanych pacjentek — ciągnął lekarz — ale ty znajdziesz sobie zajęcie, prawda?

— Sprzątnę naszą kanciapkę — zaoferowała się.

Z korytarza wchodziło się do gabinetu, używanego jako podręczny magazyn leków i środków opatrunkowych, stamtąd zaś kilka schodków prowadziło na zaplecze socjalne z

niewielkim pokojem, kuchnią i łazienką. Kiedyś, gdy lecznica pełniła nocne dyżury dla tej części miasta, lekarze mogli się tu przespać, a nawet wykąpać pod prysznicem. Weronika podejrzewała też, że przyjmowali tutaj „gości”. Gdy sprzątała pomieszczenia po raz pierwszy znalazła nawet na to dowód. Brrr... Nigdy więcej się na coś takiego nie natknęła, ale też liczba lekarzy spadła do dwóch, starszy doktor Lutek był żonaty i dzieciaty, zaś Piotr Kochanowski, niesforny uwodziciel, przez wzgląd na młodą dziewczynę, która niemal zamieszkała w lecznicy, wyniósł się z amatorami gdzie indziej. I chwala mu za to.

Ostatnio obiecał Weronice, że dziś nauczy ją zakładania szwu śródskórnego, ale „zaufane pacjentki” mu na to nie pozwolą — Weronika uśmiechnęła się mimo woli — tak doktor określał co ładniejsze dziewczyny, z którymi flirtował nieco mniej niewinnie niż z resztą, przebywały w gabinecie nieco dłużej, niż pozostałe i wychodziły bardziej rozanielone, niż poprzedniczki.

Z doktorem Kochanowskim na stole operacyjnym raczej seksu nie uprawiały, ale pieszczoty za zamkniętymi drzwiami na pewno miały miejsce... I dobrze! Lekarz był młody, przystojny i samotny, dlaczego miałyby żyć w celibacie? Publicznie zachowywał się bez zarzutu, a to, co robił będąc z kobietą sam na sam, nikogo nie powinno obchodzić. Weroniki nie gorszył.

Dopiero późnym wieczorem napływ pacjentek, również tych „zaufanych” się skończył i dziewczyna mogła zejść do gabinetu, zmęczona całym popołudniem sprzątaniam.

— Kanciapka łśni — oznajmiła.

Lekarz obdarzył ją ciepłym uśmiechem. Serdecznie polubił tę uroczą, cichą, pracowitą dziewczynę. Wiedział, że ona także go lubi i jeszcze bardziej go to cieszyło. Jedyne, co mogło niepokoić, to jej chłopak o szemranej przeszłości, ale skoro byli razem szczęśliwi, a Weronika nie wyglądała już jak zagłodzony szczurek...

— Jesteś dzisiaj jakaś przygaszona — zagaił.

Wieczorami dziewczyna biegła do domu w takim pośpiechu, że nie mieli czasu na długie rozmowy, jakie prowadzili, zanim na horyzoncie pojawił się legendarny Wiktor. Dawno zwierzyła

się doktorowi z istnienia tego chłopaka i ze swojej miłości do niego. Mogła gadać o tym facecie non stop. Ostatnio jednak stała się dziwnie milcząca. Coś musiało być na rzeczy.

— Nisia? — Spojrzał na nią pytająco. — Wiesz, że mi możesz powiedzieć wszystko.

— Intymne szczegóły mojego pożycia z Wiktorem także? — uśmiechnęła się kokieteryjnie.

— O nich posłucham szczególnie chętnie! Może udzielę wam paru rad?

Roześmiała się i pokręciła głową.

— Wiktor jest człowiekiem honoru. Przed moją osiemnastką nic z tego, choćbym nalegała.

Zmilczał to wyznanie. Facet z poprawczaka i honor? Pewnie miewa skoki w bok — nastolatek, mając pod ręką taką dziewczynę, jak Weronika, nieźle musi cierpieć — a to niewiniątko myśli, że Wiktoerek jest taki honorowy... Rozwiąć jej złudzenia, czy pozwolić, by w nich trwała do chwili, aż ktoś inny to zrobi?

„Byłbyś skończonym bydlakiem, mówiąc Nisi o swoich podejrzaniach”, odpowiedziało mu sumienie. „No i rzucałbyś je w ciemno, zupełnie bez podstaw. Chłopak naprawdę może być porządnym draniem. Milcz więc, dobrze ci, Kochanowski, radzę”.

— Jeśli nie problemy z ukochanym, to...? — zawiesił głos.

Ona westchnęła ciężko.

— Wypowiedziano nam mieszkanie. Mamy już tylko tydzień na znalezienie nowego, a nic w okolicy nie ma. Wiktor wszędzie znajdzie pracę, ale ja... Nie chcę stąd odchodzić! — Zatoczyła ręką krąg, a głos jej lekko zadrżał. — Kocham to miejsce, uwielbiam pana doktora. Znalazłabym wolontariat pewnie gdzie indziej, ale ja chcę zostać tutaj!

Objął dziewczynę ramieniem i ucałował w czubek głowy. Po bratersku, jak zwykle.

— Wywieś ogłoszenie na naszej tablicy — poradził, a ona aż palnęła się w czoło, tak dobra i prosta była jego rada. Do lecznicy przychodzili pacjenci z bliższych i dalszych okolic. Kto, jak nie oni, będzie wiedział o stancji?

— Już po smutku?

Uśmiechnęła się do mężczyzny z wdzięcznością. Przed chwilą mówiła prawdę: uwielbiała go jako przyjaciela i mentora. Także za to, że uwodził wszystko co się rusza i na drzewo nie ucieka, tak dla sportu, ale Weronika była dlań nietykalna.

— Chodź, kochanie, odwiozę cię do domu. — Otoczył dziewczynę ramieniem, całe szczęście, że nie na oczach Wiktora, i wyszli z lecznicy w ciemną noc, bo jak zwykle oboje zasiedzieli się do późna.

— Mógłby pan zatrzymać samochód dwie posesje wcześniej — poprosiła, nieco zażenowana tą konspiracją.

— Wiktor? — domyślił się. — Myślałem, że pracuje do nocy, jak ty. — W głosie mężczyzny zabrzmiał lekki wyrzut.

— Och, pracuje! W dzień w warsztacie, wieczorami zaś ślęczy nad nową zabawką. Kupił na giełdzie pececik, tak pieśczośliwie to coś nazywa, i każdą wolną chwilę spędza na rozgryzaniu owego ustrojstwa.

Rzeczywiście chłopak sprowadził do domu coś, co od razu stało się jego drugą miłością — zaraz po Weronice rzecz jasna — mroczny przedmiot pożądania nastolatków: Commodore 64 i właśnie, podpierając się podręcznikami, które dostał w pakiecie z komputerem, próbował pisać proste programy. Wciągnęło go owo zajęcie do tego stopnia, że teraz Weronika czuła się zazdrosna. Oczywiście nie dosłownie. Dziękowała Bogu, że jej mężczyzna, zamiast szlajać się po mieście z kumplami i chlać piwsko, siedzi w domu i pisze programy, z innymi zapaleńcami wymieniając się przez ustrojstwo tajemną wiedzą.

— Mnie na otarcie łez kupił telefon Centertel — pochwaliła się.

Doktor zagwizdał z uznaniem.

— Droga zabawka. Musi naprawdę cię kochać ten cały Wiktor...

— Kocha — odparła bez cienia wątpliwości. Oczy jej rozblęły w tym momencie tak, że doktor przez chwilę pozazdrościł draniowi.

Zatrzymał auto jak prosiła, dwie posesje przed numerem 18

i...

— Macie gości? — Wskazał forda, stojącego pod ich furtką.

— Nic mi o tym nie wiadomo. — Weronika wyglądała na równie zdumioną, co on.

— Może twój Wiktor tym razem kupił na giełdzie samochód? — zażartował. — I to jaki! Ford mustang, nówka sztuka. Powodzi się wam, dzieciaki, bez dwóch zdań.

Weronika wysiadła z samochodu i podeszła do czarnego forda. Zajrzała do środka, chociaż noc ścieląca się dookoła, nie ułatwiała jej tego.

Na siedzeniu po przeciwnej stronie, z głową opartą na kierownicy siedział... Wiktor.

Krzyknęła cicho. Obiegła samochód dookoła i szarpnęła za klamkę. Drzwi ustąpiły. Doktor już był przy nich. Chwycił półmartwego chłopaka pod pachy, wyciągnął z samochodu i warknął do Weroniki:

— Bierz go za nogi. Musimy natychmiast zniknąć z ulicy.

Wspólnymi siłami zanieśli nieprzytomnego do domu, położyli na łóżku.

— Ten samochód... — zaczął Kochanowski. — Trzeba go wprowadzić na podwórze. Otworzysz bramę.

Skinął na śmiertelnie pobladłą dziewczynę. Pobiegła za nim.

Parę minut później podejrzane auto parkowało pod domem, brama została zamknięta, doktor mógł wracać do siebie, a Weronika...

— Poradzisz sobie? — zapytał sucho, nie wiadomo, czy bardziej wściekły na młodego moczymordę, co zalany w trupa prowadził samochód, czy na nią, że z takim moczymordą przestaje.

Skinęła głową, ocierając wierzchem dłoni łzy. Doktorowi serce się mimo woli ścisnęło na ten widok, ale... nie mógł uczynić nic więcej, niż uścisnąć ramię dziewczyny i pchnąć ją lekko w kierunku domu, jakby dawał jej w ten sposób znać, że w nią wierzy.

Mógł ewentualnie zadzwonić na policję i może to byłoby logiczniejsze wyjście, lecz z miejsca posłałby Helerta za kraty, a tego Weronika by doktorowi nie wybaczyła.

— Trzymaj się — krzyknął za nią. Uniosła dłoń i zniknęła za  
węglem domu.

Zaczyna się najtrudniejsza noc jej życia.

*Odwagi, moja kochana. Będzie ci potrzebna.*



## ROZDZIAŁ XXXI

### WIKTOR



*Jak trudno... jak bardzo trudno jest po prostu kochać.*

Dziecko alkoholika potrafi radzić sobie w takiej sytuacji. Przyholować denata do łóżka, rozpiąć mu marynarkę, zdjąć buty, przynieść miskę i pilnować, by się nie utopił we własnych wymiocinach.

Weronika postawiła miskę obok łóżka, na którym leżał nieprzytomny chłopak, po czym przysiadła na brzeжку i z przeogromnym smutkiem w sercu zaczęła gładzić Wiktora po sklejonych potem włosach.

Ten pierwszy raz mu wybaczy, bo przecież każdy zasługuje na drugą szansę, ale jeśli zacznie się to powtarzać... będzie musiała odejść. Nie zniesie powtórki z rozrywki. Pijacki bełkot ojca i zawodzenia matki pobrzmiwały jej w pamięci do dziś. Nie zniesie!

— Wiktor, jak mogłeś mi to zrobić? Naprawdę wódka jest ci potrzebna do szczęścia? Rozmawialiśmy o tym, zarzekałeś się, że nie pijesz.

Łza skapnęła na nieruchomą dłoń chłopaka. Świat Weroniki, który przez ostatnie tygodnie był jasny i pełen miłości, jak za czasów, gdy mieszkała z babcią Stenią, zaczął powoli pogrążyć się w mroku.

Dom będą musieli opuścić i być może wynieść się z Białoleki, ona straci ukochaną lecznicę, on będzie musiał szukać nowej pracy, znów będzie głodno i chłodno, ale przecież daliby radę! Mają siebie! Przynajmniej tak się Weronika do tej pory łudziła. Może się bowiem okazać, że Wiktor wybierze alkohol. Owo przekleństwo nieszczęśliwych...

Poruszył się. Targnęły nim torsje. Doskoczyła doń, odwróciła na bok i beznamiętnie patrzyła, jak żołądek chłopaka pozbywa się trucizny. Po długich męczarniach opadł bez sił na łóżko, a ona otarła mu twarz mokrym ręcznikiem. To musiało go odrobinę otrzeźwić, bo uniósł powieki, spojrzał wprost na Weronikę i... rzucił z nienawiścią:

— Suka. Zdradliwa suka.

Aż odskoczyła, zdumiona i tymi słowami, i tym tonem. Co on bredzi?! To delirium czy co?

— Wiktor... — Pochyliła się nad nim z powrotem, ale odrzucił jej wyciągniętą dłoń.

— Idź... idź do niego — wymamrotał. — Do niego, ty... zdradliwa... podła... Ufałem ci. Wierzyłem, a ty... Idź...

— Kochany... — spróbowała jeszcze raz.

— Nie dotykaj mnie! — ryknął z furją i odepchnął ją, aż wpadła na biurko.

Nic nierozumiejąca przyłożyła obie dłonie do ust, żeby nie krzyczeć i trwała tak, patrząc na miotającego obelgi chłopaka.

Wreszcie ucichł. Zasnął albo stracił przytomność — mniejsza z tym, bowiem wzrok dziewczyny przyciągało to, co przez cały ten czas ścisnął w ręce.

Gdy znieruchomiał, podeszła do łóżka i ze wstrzymanym oddechem rozwarła jego palce, wyjmując z nich... zdjęcie. Nagle wszystko stało się jasne.

Wiosenny dzień, droga do lasu, a na niej Weronika czule całująca Jana Zadrę.

— Wiktor, to nie tak! — wykrzyknęła słowa, które powinny być mantrą wszystkich zdrajców świata. — Magda, dlaczego mi to zrobiłaś?! — jęknęła w następnej chwili. — Wiedziałaś, że Wiktor jest o mnie zazdrosny, do szaleństwa zazdrosny, dlaczego...?!

Nie mieściło się dziewczynie w głowie, że przyjaciółka, której nigdy nie uczyniła nic złego, mogła wyrzucić jej, Weronice, taką krzywdę. Między nią a Wiktozem postawić znieprawionego przez oboje Jana Zadrę. Właśnie jego.

Wiktor nigdy nie wybaczy zdrady! Zdrady, do której nie doszło przecież...

— Dlaczego? — usłyszała pełen bólu szept chłopaka.

Nagle przytomny podniósł się, stanął na chwiejnych nogach przed Weroniką i oczami pełnymi niemęskich łez patrzył w jej pociemniałe z rozpaczki źrenice.

— Wysłuchaj mnie, proszę — zaczęła błagalnie. — On był tutaj, mówiłam ci. Przyjechał niedługo po tym, jak wyszłam ze

szpitala, zaprosił na przechadzkę, bo miał mi niby coś ważnego do powiedzenia i tam, na drodze, dał mi opinię, dzięki której miałeś wyjść na wolność. Ucieszyłam się. Obłędnie! Z tej radości pocałowałam go w policzek, ale nic więcej!!!

— Całowanie się z tym typem to dla ciebie takie nic?! — Chwycił ją za ramiona i potrząsnął, aż włosy wysypały się jej spod opaski.

Przeraził ją.

Nigdy nawet nie podniósł na Weronikę głosu, teraz ukazywał swoje dzikie, brutalne oblicze.

— Gdybym ja całował się z jakąś laską, a potem zapewniał, że to nic wielkiego, co byś zrobiła?! „Nie ma sprawy, kochany, to przecież tylko niewinny pocałunek”. Macanko też uznałabyś za nic wielkiego? Może i pieprzyć się na boku będziesz z każdym, kto się nawinie?!

Trzask! Strzeliła go w twarz.

Zamachnął się.

Zmrużyła oczy, pewna, że ją uderzy. W ostatniej chwili odzyskał nad sobą panowanie. Złagodniał. Odgarnął włosy z jej policzka i rzekł miękko:

— Zniósłbym wszystko, oprócz zdrady.

— Nie zdradziłam cię! — krzyknęła, wybuchając płaczem. — Durne cmoknięcie w policzek to jeszcze nie zdrada! Nie możesz przekreślać tego, co nas łączy ot tak, bo ktoś podrzucił ci wstrętą fotkę!

— Co więc nazwiesz zdradą?

— Choćby to, że jesteś na warunkowym, a po pijaku prowadzisz samochód! To jest zdrada! Czekałam na ciebie przez tyle miesięcy, ręczyłam przed Zadrą, że jesteś dobrym człowiekiem, gotowa byłam zrobić wszystko, rozumiesz?, wszystko, żeby cię tylko wypuścili! Gdyby Zadra zażądał haraczu w naturze, zgodziłabym się! Oddałabym się temu typowi w zamian za twoją wolność! Wyszedełś pod warunkiem, że nie popełnisz przestępstwa, pamiętasz?! I co robisz miesiąc później?! Wracasz do domu schlany, ale to nie wystarczyło, musisz w takim stanie prowadzić samochód! A gdybyś kogoś, ty draniu, ty bydlaku cholerny, zabił?!

Uderzyła go pięścią w pierś. I jeszcze raz. I jeszcze. Tłukła i płakała dotąd, aż całkiem opadła z sił. On stał pośrodku pokoju zupełnie nieruchomo. Twarz miał martwą. Oczy puste. Czuł jak nadzieja na normalne życie rozwiewa się niczym piękny, ulotny sen. On Weronice nie wybaczy zdrady, ona jemu tej cholernej wpadki.

W umyśle kołatała mu się jedna myśl: jak do tego doszło? Jak, do kurwy nędzy, mógł wsiąść do samochodu — czyjego?! — i prowadzić w takim stanie?! Nigdy nie siadł pijany za kółkiem. Nigdy!!!

Aż do dziś.

Nagle na biurku zadzwonił jej telefon. I nie przestawał dzwonić dotąd, aż Weronika nie odebrała.

— Daj tego gnoja — odezwał się bez wstępów i powitań znajomy głos.

Bez słowa oddała telefon Wiktorowi, a on, słysząc, kto dzwoni, zacisnął na telefonie palce tak silnie, jakby to było gardło tamtego.

— Coś ty narobił, skurwielu?! — syknął wściekle Zadra. — Gdzie jest ten samochód?!

— Pierdol się! — odwarknął i przerwał połączenie, ale dzwonek rozległ się ponownie.

— Słuchaj, Helert, tym tonem i tymi słowami możesz częstować swojego ojca, ale nie mnie. Gdzie jest ten samochód?! Przed chwilą dzwoniły do mnie gliny, że z parkingu pod pubem podpierdoliłeś forda mustanga, pytali, gdzie cię znajdują. Jesteś na warunku, ty durny skurwysynu! Pójdiesz siedzieć na dobrych kilka lat, rozumiesz, gnoju?! — Nagle urwał. Przez chwilę po drugiej stronie panowało milczenie, a potem Zadra dokończył cicho i groźnie: — Oni po ciebie jadą, Wiktor.

Chłopak zbladł. Nogi się pod nim ugięły. Musiał usiąść, bo byłby upadł.

— Weronika... — wyszeptał, patrząc na nią z obłędem w oczach.

Wyciągnął do niej błagalnie dłoń, ale dziewczyna odsunęła się o krok.

— Nie. Dotykaj. Mnie. — Trzy słowa zabrzmiały jak przekleństwo. Ten samochód... Nie dość, że Wiktor przyjechał nim pijany w trzy dupy, to jeszcze go ukradł!

— Weronika... Nie mogłem tego zrobić. Ja nic nie pamiętam. Poszedłem z kumplem do knajpki w mieście na jedno piwo, powspominać dawne dzieje. Powinienem zapytać cię o zgodę, ale to miało być krótkie, przyjacielskie spotkanie, żadna tam popijawa. Pamiętam, że zamówiłem Karmi z sokiem malinowym... Nisia, ono prawie nie ma alkoholu! I więcej nic. Mam w umyśle czarną dziurę. Nie mogłem ukraść samochodu! Nie jestem złodziejem, na miłość Boską! Proszę, Weronika...

— To skąd on się tu wziął?! Wracasz do domu urżnięty! Samochodem, który nie jest twój! Szarpiesz mnie! Omal nie uderzyłeś! Zarzucasz mi zdradę, chociaż nigdy, przenigdy bym cię nie zdradziła! Wyzywasz od suk!

— Proszę, Nisia, nie byłem sobą...

— A może właśnie byłeś? Może taki jesteś? Brutalny, nieobliczalny, złodziej i pijak?!

Ponownie chwycił ją za ramiona, tak silnie, aż jęknęła z bólu.

— No uderz! — krzyknęła przez łzy. — Strzel mnie w twarz, wynoś się i więcej nie wracaj! Nie nadaję się na dziewczynę bandziora, rozumiesz?! Po prostu się nie nadaję!

— Ale na dziewczynę skurwiela, co cię obmacuje pod lasem się nadajesz?! Na zwykłą szmatę, która mówi, że kocha, po czym zdradza cię z innym, się nadajesz?!

Ranili się tak strasznie, jak kochali.

— Niby dlaczego zacząłem w tym pubie chlać? Jak myślisz, moja święta Weroniko? Bo koleś pokazał mi zdjęcie, na którym pieprzysz się z Zadrą!

— Jak śmiesz?! Puść mnie, bydlaku, bo zacznę krzyczeć!

— Krzycz, akurat ktoś cię usłyszy... Gdy ten skurwiel cię pieprzył też krzyczałaś? Jęczałaś pod nim? Mnie odpychasz, „poczekajmy, aż skończę osiemnastkę”, a jemu dajesz?! — Potrząsnął nią, aż zaszczękała zębami.

— Puść mnie, bandyto!!! — zawyła.

— Nie jestem bandytą, kurwo!!!

Rozpląkała się. Usiadła na łóżku, objęła głowę ramionami i

— kiwając się w przód i w tył — łkała cicho, z takim bólem, że serce rozpadło się Wiktorowi na milion kawałków, ale przecież nie mógł ot tak wybaczyć i prosić o wybaczenie. Nazwała go złodziejem. I bandytą. Nie ukradł tego samochodu!!!

Zranieni do żywego, jeszcze przed chwilą bez pamięci w sobie zakochani, teraz dwoje śmiertelnych wrogów, patrzą na siebie z mieszaniną nienawiści i żalu. Ona zapłakana, on błądy z furii. Może gdyby dostali więcej czasu, gdyby ochłonęli, któreś raz jeszcze wyciągnęłoby rękę na zgodę, a drugie tej ręki by nie odtrąciło, ale...

...drzwi, kopnięte z całej siły, idą w drzazgi.

— Na glebę! — ryczy pierwszy gliniarz, który wpadł do środka. — Na glebę, mówię! Ręce na kark! Ręce!!!

Wiktor natychmiast wykonuje rozkaz. Pada na podłogę, rozsuwa nogi i czeka aż go skują. Weronika... ona stoi bez ruchu, oniemiała z szoku. Jeden z tamtych szarpie ją za ramię i ciska o ścianę. Dziewczyna krzyczy z bólu.

— Zostawcie ją! — Wiktor podrywa głowę. — Ona nic nie zro... — Kolba karabinu uciska go w pół słowa.

Dziewczyna, trzymana przez policjanta pod ścianą, patrzy jak skuwają Wiktorowi ręce na plecach, jak podnoszą go szarpnięciem do pionu. On chwieje się od uderzenia w potylicę, krew ścieka mu po szyi, wsiąka w kołnierz koszuli. Unosi głowę i posyła Weronice ostatnie spojrzenie.

Wyprowadzają go z pokoju, brutalnie popychając przed sobą.

— Do ciebie nic nie mamy — słyszy głos tego, który do tej pory jej pilnował. — Przyszliśmy tylko po Helerta. Trzymaj się od bandziorów z daleka, dobrze ci radzę, dziecko, bo następnym razem ciebie będziemy skuwać.

Ona kiwa mechanicznie głową, niczym piesek-zabawka.

Policjant kieruje się ku drzwiom.

— Dokąd... dokąd go zabieracie?

— Lepiej, żebyś nie wiedziała. Zapomnij o nim, dziewczyno. Naprawdę nie jest cię wart.

Mężczyzna wychodzi.

Z ulicy dobiega wycie syren. Oddała się. Milknie wreszcie.

Zostaje sama. Znow sama.

Za oknem wschodzi słońce bez promieni...

*W dorosłość wkraczam ze złamanym sercem. Zdradzona, rozczarowana, zawiedziona. Mając osiemnaście lat po raz drugi w życiu jestem bezdomna, niedługo przypomnę sobie, co to głód, zaś słowo „samotność” nauczę się odmieniać przez wszystkie liczby, rodzaje i przypadki.*

## EPILOG



Podeszła do okna i zapatrzyła się na lśniący w oddali ocean. Ciepła bryza rozwiała długie, kasztanowe włosy pisarki, musnęła policzki mokre od łez.

Ależ to bolało...

Gdy zaczynała tę podróż, miała świadomość, że nie będzie łatwo, ale nie przypuszczała, że powrót do przeszłości będzie aż tak bolesny!

Wróciły wspomnienia z tamtej nocy. Jak dwoje kochających się ludzi, może się tak poranić?! Przecież wystarczyło, żeby usiedli, porozmawiali, wyjaśnili sobie wszystko na spokojnie, bez krzyków i obelg. Bez potrząsania, rzucania o ścianę i trzaskania w twarz.

Może już wtedy doszliby do pewnych wniosków... Na przykład do takiego, że fotkę, na której Weronika całuje Zadkę, pstryknięto od strony lasu, natomiast Magda, która zostało o to oskarżona, była wtedy w stajni... Na przykład do takiego, że kumpel z poprawczaka nie mógł wiedzieć, gdzie Wiktor pracuje, bo on nikomu się z tego nie zwierzał... Na przykład do takiego, że Wiktor rzeczywiście wypił jedno karmi ze znikomą zawartością alkoholu, a do domu dotarł nieprzytomny, na dodatek z wykasowaną pamięcią... Na przykład do takiego, że samochód, który ponoć ukradł, znikł z podjazdu na Czeremchowej zaraz po policyjnej akcji... I na koniec do takiego, że komuś mogło bardzo zależeć, żeby Wiktor trafił z powrotem za kratki i tym kimś na pewno nie był on sam!

Dużo... bardzo dużo upłynie wody w Wiśle, zanim wszystkie te fakty wskoczą na puste miejsca w układance do dziś tak naprawdę niezłożonej w całość. Gdyby stało się to tamtej nocy, może dla Weroniki i Wiktora istniałaby szansa na szczęśliwą przyszłość.

Potem było za późno... Na wszystko...

Ewa westchnęła z głębi serca. Chciałaby przytulić tamtą dziewczynę, mocno, tak by poczuła, że nie jest sama, i



wyszeptać kilka słów pocieszenia. Że będzie dobrze, rozpacz kiedyś minie, słońce zaświeci na błękitnym niebie, a ona, Weronika, znów zacznie się uśmiechać. Znajdzie nowych przyjaciół, od nowa zaufa i pokocha, swoje własne miejsce na ziemi też kiedyś będzie miała. Ból, z jakim zostawił ją Wiktor, kiedyś zelżeje, stanie się wspomnieniem tamtego cierpienia. Tak właśnie będzie. Tymczasem musi być silna. Musi żyć.

„Bądź wierna. Idź”, te słowa chciałaby Weronice przypomnieć.

Och, dziewczyna na pewno wybuchnęłaby płaczem, tak jak szlochała w poduszkę każdej nocy przez wiele, wiele miesięcy. Pytałaby: dlaczego?! Pytałaby: za co?! Krzyczałaby: ja nic złego nie zrobiłam! I szeptała: tak bardzo go kocham... Jak wtedy. W noc, w którą straciła Wiktora.

Ewa przytknęła dłoń do oczu, powstrzymując łzy. Czas ponoć leczy rany, lecz potrzaskane serce nie zagoi się chyba nigdy.

Może zakończyć tę nie-autobiografię w tym miejscu? Nie brnąć we wspomnienia, które będą bolesne jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe? Wydawca i czytelniczki przecież wybaczą!

A może w ogóle jej nie wydawać? Skasować plik z „Pisarką”, wymazać go z pamięci komputera i ze swojej własnej?

Żeby to było takie proste... Przeszłość można wybaczyć, ale zapomnieć się przecież nie da.

A może ta powieść okaże się uzdrawiająca? Ukoj ból?

Jeszcze nie do końca pogodzona z samą sobą otwiera nowy dokument. Ręce na moment zastygają nad klawiaturą. Ewa znów czuje mrowienie w koniuszkach palców i ma pewność, że historia chce się dalej pisać. Dotyka więc klawiszy. Na ekranie pojawia się jedno jedyne słowo, które idealnie oddaje to, co ma nastąpić: „Zagubiona”.

KONIEC TOMU I

# TRYLOGIA AUTORSKA



PISARKA



ZAGUBIONA



MARZYCIELKA

**BIBLIOGRAFIA  
KATARZYNY  
MICHALAK**

**TRYLOGIA Z KOKARDKĄ**



**DOSTĘPNE  
TYTUŁY**

**SERIA DLA DOROSŁYCH**



**SERIA KWIATOWA**



**SERIA OWOCOWA**



**LEŚNA TRYLOGIA**



TRYLOGIA JABŁONIOWA



TRYLOGIA SŁONECZNA



SERIA MAZURSKA



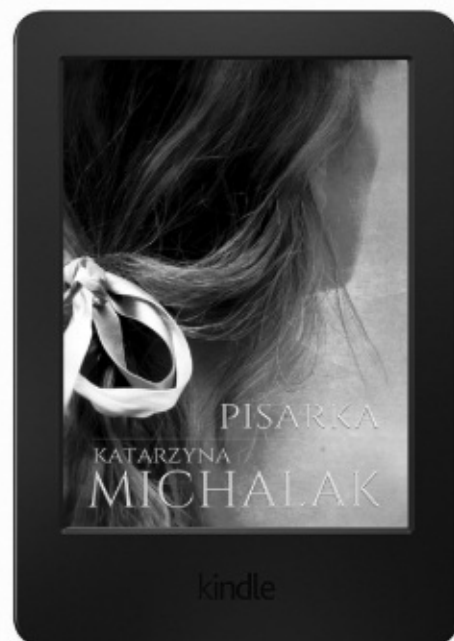
SERIA Z CZARNYM KOTEM



TYTUŁY  
ARCHIWALNE



„PISARKA” DOSTĘPNA TAKŻE JAKO  
EBOOK I AUDIOBOOK



## PRZYPISY

- <sup>1</sup> Adres fikcyjny.
- <sup>2</sup> Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei in Litzmannstadt — obóz utworzony na obszarze wydzielonym z łódzkiego getta dla dzieci i młodzieży polskiej od 2 do 16 roku życia.
- <sup>3</sup> Z. Herbert „Przesłanie Pana Cogito”.